



Ata / na Cejrowskiego

GRUPA PODRÓŻNIKÓW CHCE MU NARZUCIĆ POPRAWNOŚĆ POLITYCZNĄ

24 września FTSE Russell



Polska wśród najlepszych



#awansPolski

Ptasi mózdzek i propaganda



PAWEŁ LISICKI

Jerzy Urban byłby z nich dumny – myślę, patrząc na obecną kampanię antykościelną.

Naprawdę jej twórcy bardzo się starają. W przeciwieństwie do byłych agitatorów komunistycznych wykazują się znacznie większą skutecznością. Może dlatego, że środki artystyczne są mniej przaśne? I przekaz medialny lepiej dopracowany?

Ach, gdyby tak towarzysze w latach 80. mogli wykorzystać takich artystów jak obecnie i gdyby umieli tak sprawnie używać propagandy, to kto wie, kto wie, jakby się historia potoczyła i co byśmy dzisiaj opowiadali na przykład o ks. Jerzym Popiełuszcze? Myślę choćby, że pomysł Andrzeja Pągowskiego, żeby zachęcać do filmu „Kler” za pomocą różowofioletowego proszka z otworem w kształcie krzyża, doskonale by się wtedy przydał. Właściwie doskonale by pasował też do lat 40. i 50.

Ale cóż, w latach 80. XX w. takie plakaty rodziły się w głowach garstki zawodowych ateistów i wrogów Kościoła, dziś to wyraz oryginalności. Tak przynajmniej piszą liberalne media: atak na Kościół to obecnie przejaw odwagi. Nie trzeba im jednak wierzyć. I dlatego mimo zarzeków i zapewnień, to, co o Kościele mówi reżyser filmu, Wojciech Smarzowski, nie jest

ani oryginalne, ani odważne. Nie mogę się uwolnić od wrażenia, że wielokrotnie to słyszałem i że jego słowa doskonale pasują do mentalności pracowników wydziału IV SB.

Jak sam mówi: „Ważne było dla mnie, aby zrobić film o ludziach, których wyróżnia tylko to, że noszą sutanny. Są trzy wektory napędzające tę historię: żądza pieniędzy – chciwość, żądza władzy, no i żądza seksualna”. To niemal wypisz wymaluj tylko perspektywa byłych bezpieczeniaków, dla których Kościół to właśnie chciwość, seks i władza. No i jeszcze ignorancja, ale i pod tym względem współczesny reżyser powtarza stare slogany: „Kościół pierze mózgi dzieciom i wychowuje ich w przesądach”. Nic dziwnego, że co bardziej krewcy towarzysze nie byli w stanie wytrzymać takiej obłudy i musieli brać sprawy w swoje bolszewickie ręce.

Dzisiejsi wrogowie Kościoła walczą, można by powiedzieć, w białych rękawiczkach, przynajmniej na razie. No, chyba że i dzisiaj ktoś nie wytrzyma i widząc, jak księża chleją, oszukują i gwałcą (wszyscy księża są tacy, mówią liberalne media), weźmie sprawy w swoje ręce i rozprawi się z „czarnymi”. I co wtedy? Ano nic, bo przecież artystom takim jak Smarzowski nie chodzi o to, by podszczuwać, napuszczać,

nagonkę organizować, niewinnych oskarżać. O nie. Ich wrażliwym duszom chodzi o prawdę. I o oczyszczenie Kościoła. Jak znowu mówi ten sam reżyser: „Powtórzę: polski Kościół sam siebie nie oczyści. Waższe artykuły, mój film to są krople, które drążą skałę. No i młodzi będą odwracać się od Kościoła, to też będzie bolesne”. Bolesne – mówi. „Wasze” – to odnosi się z kolei do „Gazety Wyborczej”. Jak zauważył ostatnio w jednym z felietonów na Dorzeczy.pl Antoni Trzmiel, troska o oczyszczenie Kościoła jest wśród dziennikarzy „GW” tak wielka, że potrafią na jednej stronie dać siedem najważniejszych informacji, które wszystkie pokazują księży jako złodziei, pedofilów, oszustów, zboczeńców. To wyłącznie z troski się bierze.

Naprawdę chrześcijanie powinni być Wojciechowi Smarzowskiemu i innym wdzięczni. Bo on to wszystko robi ze szczerego serca. „Jestem ateistą, wpatrzonym trochę w kosmos, w naukę, w naturę, ale niewierzącym. Aha – dodam, że żaden ksiądz mnie nie skrzywdził”. W Boga nie wierzy, ksiądz go nie skrzywdził. Dzieci jego zresztą też nie, wynika z wywiadu, no chyba żeby za krzywdę uznać nadmiar lekcji religii. A mimo to postanowił polskiemu Kościołowi pomóc. Chociaż znowu, z przykrością muszę powiedzieć, że recepty, które oferuje, mało jakoś oryginalne i też nieco myśzką trącą: „O, jeśli chodzi o Polskę, to lepszym rozwiązaniem będzie wypowiedzenie konkordatu i wyprowadzenie Kościoła ze szkół”.

Smutne to wszystko razem. Nie, nie to, że kolejni artyści wykazują się ptasim mózdzkiem. To akurat ich nie wyróżnia. Jednak łatwość i szybkość, z jakimi antykościelna propaganda, tak podobna do tego, co przez lata serwowali bezpieczeniacy, się krzewi i zdobywa posłuch, naprawdę musi boleć. I to nawet jeśli w dużej mierze odpowiada za to sam Kościół, który tak niemrawo i z oporami zwalczał plagę pedofilii. Co się dzieje z Polakami, że taki chłam łykają? ©

RYСУNEK TYGODNIA





TEMAT TYGODNIA

18 MACIEJ PIECZYŃSKI
Z CENZURĄ PRZEZ ŚWIAT
Podróżnicy uderzają w Cejrowskiego

22 ROZMOWA Z PODRÓŻNIKIEM
STEFANEM CZERNIECKIM
**PODRÓŻNIK BEZ POGLĄDÓW
JEST NUDNY**

24 PIOTR SEMKA
„SZLACHETNY DZIKUS” I JEGO MIT

KRAJ

26 ROZMOWA Z DR. BARTŁOJEM BISKUPEM
**PSL PRZEŻYJE PRAWDZIWE
TRZĘSIENIE ZIEMI**
Wybory samorządowe – kto zyska, kto straci

30 WOJCIECH WYBRANOWSKI
WALKA O WIEŚ

32 ŁUKASZ WARZECHA
**POLSCIE I POLAKOM NALEŻĄ SIĘ
WOJENNE ODSZKODOWANIA**

34 MARCIN MAKOWSKI
PUDROWANIE GIER

36 ROZMOWA Z DR. ANDRZEJEM IGNACIUKIEM
BOTOKS TRAFIŁ POD STRZECZY

KULTURA

38 PIOTR GOCIEK
BĘKARCI LOS
„Kamerdyner” Filipa Bajona

40 PAWEŁ LISICKI
**FRAGMENT POWIEŚCI
„EPOKA ANTYCHRYSTA”**

44 WALDEMAR ŁYSIAK
**ŁATWOŚĆ
FAŁSZOWANIA OBRAZÓW**

NIE PRZEGAP

52 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

58 KAMILA BARANOWSKA
LUDZIE CHCIELI ZMIANY
Polemika „Do Rzeczy”: konserwatyzm zmiany
kontra konserwatyzm umiaru

60 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
TOTALNE WYGŁUPY

HISTORIA

64 PIOTR SEMKA Z MERSEBURGA
**THIETMAR, CZYLI NIEMIECKIE
LUSTRO POLAKÓW**
Niemiecki kronikarz z czasów Mieszka I

70 PIOTR WŁOCZYK
**OSTATNIE WINOBRANIE
W ZALESZCZYKACH**

ŚWIAT

72 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
EUROPEJSKI BEZPIECZNIK
Sąd nad Węgrami w Parlamencie Europejskim

76 JACEK PRZYBYLSKI
SPISEK?

78 TOMASZ WRÓBLEWSKI Z KANADY
TECZOWA DYSKRYMINACJA

EKONOMIA

80 ŁUKASZ ZBORALSKI
MIDAS I TOMBAK
Igor Chalupec – menedżerskie
złote dziecko III RP i jego porażka z Ruchem

84 TOMASZ CUKIERNIK
DRUGA EPOKA GIERKA

O ZDROWIU

92 ROZMOWA
Z KS. PROF. STANISŁAWEM DZIEKOŃSKIM
**CHCEMY KSZTAŁCIĆ
LEKARZY Z MISJĄ**
Medycyna na UKSW

FELIETONY: SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ (10), WARZECHA (12), GMYZ, GOCIEK (16), ZALEWSKI, WOLSKI (62), ZYCHOWICZ, KOPER (68), KOWALCZUK (74), GABRYEL, RYBIŃSKI (86), KOMUDA (94), TYRMAND (96), JASTRZĘBOWSKI (97), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

Moda na niepalenie

Z Ireną Przepiórką, terapeutką z Telefonicznej Poradni Pomocy Palącym z warszawskiego Centrum Onkologii, rozmawia Katarzyna Pinkosz.

Dlaczego tak trudno rzucić palenie?

Ponieważ równocześnie trzeba poradzić sobie z uzależnieniem fizycznym od nikotyny oraz psychicznym od samej czynności palenia. Przez lata palenia przyzwyczajamy się do tego, że papieros towarzyszy nam w różnych sytuacjach życiowych. Statystycznie palacz podejmuje około ośmiu prób, zanim skutecznie rzuci palenie. Oczywiście, są osoby, którym udaje się to za pierwszym razem, inne potrzebują więcej czasu i prób.

To kwestia małej motywacji, słabej woli?

Powodów jest wiele. Uzależnienie biologiczne u każdego ma inny charakter, w związku z tym mogą się pojawić inne objawy odstawienia, np. pogorszenie nastroju, drażliwość. To, czy uda się rzucić palenie, jest wypadkową tego, jak dobrze jesteśmy do tego przygotowani oraz czy mamy wsparcie. Ważne są też nasze predyspozycje: czy jesteśmy nastawieni do problemów zadaniowo i chcemy doprowadzić sprawę do końca, czy raczej ulegamy.

Nie ma jednej metody rzucenia palenia?

Każdy człowiek jest inny. Podczas rozmowy w poradni staramy się dowiedzieć, jak dużo pali, czy już próbował rzucać palenie, jak radził sobie z pokusą zapalenia, jak długo utrzymał abstynencję. Chcemy dobrze przygotować daną osobę do rzucenia palenia, wzmocnić jej motywację.

Najczęściej ludzie mówią, że nie mają silnej woli. Każdy jednak kiedyś poradził sobie z jakimś problemem życiowym, ma więc również szansę na rzucenie palenia.

Jeśli chcemy sami rzucić palenie, jak to zrobić?

Najlepiej zacząć od przeanalizowania, w jakich sytuacjach sięgamy po papierosa,

czy wypełnia on nuda, jest pocieszycielem, aktywizuje do pracy. Powody są ważne, bo papierosa trzeba czymś zastąpić. Po tem warto się zastanowić, na ile jesteśmy uzależnieni biologicznie. Podstawowym wskaźnikiem jest to, jak szybko po obudzeniu zapalamy pierwszego papierosa. Jeżeli dzieje się to w ciągu pierwszych 30 minut, może to świadczyć o uzależnieniu biologicznym. Inne wskaźniki to trudność z powstrzymaniem się od palenia w miejscach, gdzie nie wolno palić, regularne wychodzenie na papierosa, konieczność zapalenia w nocy. Jeśli mamy do czynienia z uzależnieniem biologicznym, należy się liczyć z silnymi objawami odstawienia. Warto się na to psychicznie przygotować.

Osoby, które palą tylko od czasu do czasu, w towarzystwie, mogą się uzależnić?

Niestety tak. Są osoby, które zaczęły palić regularnie w wieku 30-40 lat, a wcześniej tylko sobie popalały. Warto się zastanowić, po co sięgamy po papierosa. Być może powodem jest stres. Ale co będzie, gdy stanie się on przewlekły? Trzeba znaleźć inny sposób poradzenia sobie z nim.

Kiedy szukać pomocy specjalisty?

Zachęcamy do tego wszystkich, także tych, którzy pierwszy raz podejmują próbę rzucenia palenia. Zwiększa to szansę na skuteczność. Druga rzecz – nie można się poddawać: jeżeli zdarzy się wpadka, trzeba dalej próbować.

Często palacze sięgają po e-papierosy, proszą o leki lub inne środki wspomagające. To dobry pomysł?

Nie ma badań, które udowodniłyby, że e-papierosy nie szkodzą. Poza tym nadal pozostaje uzależnienie od nikotyny albo – jeżeli używa się liquidów bez nikotyny – uzależnienie psychologiczne od czyn-



Papierosy a nowotwory

Co piąty przypadek nowotworu jest spowodowany przez palenie.

Przyczynia się ono do powstania 14 nowotworów, m.in. płuca, piersi, krtani, przełyku, żołądka, jelita grubego, nerki, trzustki. Dym tytoniowy zawiera ponad 7 tys. związków chemicznych, 70 ma działanie rakotwórcze. Równie niebezpieczne jest bierne palenie, czyli wdychanie dymu tytoniowego.

ności palenia. E-papierosy to nie jest dobry zamiennik.

Jeśli zaś chodzi o leki, to wiele jest skutecznych, zarówno na receptę, jak i bez. Zalecam jednak, by wcześniej skontaktować się z lekarzem. Wszystkie tego typu środki są tylko wspomaganie naszych wysiłków w dążeniu do rzucenia palenia.

Gdzie szukać pomocy w rzuceniu palenia?

Coraz więcej lekarzy jest przeszkolonych w zakresie leczenia uzależnienia od tytoniu. Na każdej paczce papierosów znajduje się numer telefoniczny naszej poradni: 801 108 108.

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu opinia o funkcjonowaniu systemu więziennictwa w Polsce, a także list od czujnego czytelnika. E-maile prosimy wysyłać na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Zabójcy między nami” – Łukasz Zboralski, „DRz” 38/2018

Szanowna Redakcjo!

Bardzo dobrze, że Łukasz Zboralski w artykule „Zabójcy między nami” podjął problem nieroztropnego udzielania przepustek skazanym za najcięższe przestępstwa, gdyż funkcjonowanie więziennictwa ciągle dla znacznej części społeczeństwa stanowi tabu, z racji chociażby jego izolacyjnego charakteru. Problemów jest w więziennictwie znacznie więcej. Sami funkcjonariusze Służby Więziennej prześmiewczo określają swoją formację na związkowym forum internetowym jako Służba Więziom – niezadowoleni z polityki dyrektora generalnego SW prowadzonej zarówno wobec osadzonych, jak i wobec samych funkcjonariuszy, gdyż mają oni poczucie obniżającego się statusu funkcjonariusza SW oraz spadku bezpieczeństwa w jednostkach penitencjarnych.

Głównym powodem tego niezadowolenia jest nieudolna, permissywna polityka władz Służby Więziennej prowadzona wobec osadzonych, którą oni sami odbierają jako słabość systemu, a która doprowadziła do znacznego wzrostu liczby zdarzeń nadzwyczajnych w jednostkach penitencjarnych. Odnotowano ich wzrost mimo znaczącego spadku liczby osadzonych o ok. 20 proc. na przestrzeni lat 2012–2017 (źródło danych statystycznych: www.sw.gov.pl), np. napaści na funkcjonariuszy w służbie w 2012 r. było 50, a w 2017 r. – 112.

Politykę penitencjarną w Polsce determinuje obecnie strach przed pogorszeniem się statystyk skarg osadzonych oraz liczby zdarzeń nadzwyczajnych. Można odnieść wrażenie, że władze więziennictwa zataczają kontakt z rzeczywistością penitencjarną, zamiast dbać o bezpieczeństwo jednostek penitencjarnych i funkcjonariuszy działów ochrony i penitencjarnych poprzez konsekwentne wdrażanie skazanych do po-

rządku i dyscypliny, bardziej dbają o swoje kariery, układy polityczne, zatrudnianie swoich popleczników na wysokich stanowiskach, celebrowanie świąt kościelnych i państwowych, a także public relations.

Bulwersująca społeczeństwo oraz samych funkcjonariuszy była również polityka władz więziennych w postępowaniu związanym ze zwolnieniem M. Trynkiewicza – luty 2014, a także seria skandalicznych afer: spektakularna ucieczka trzech skazanych z ZK nr 2 Grudziądz – październik 2015 r., ujawnienie procederu sutenerstwa w ZK Wrocław – luty 2017 r., ZK-Wronki – CBŚ ujawniło trwający wiele lat proceder handlu narkotykami wśród więźniów, w który byli zamieszani funkcjonariusze SW – styczeń 2018 r., seria zgonów skazanych w ZK Włocławek [...].

Po takich kompromitujących „wpadkach” dyrektor generalny SW Jacek Kitliński bardzo często odwołuje podległych mu dyrektorów, zapominając, że to m.in. on ponosi odpowiedzialność za organizację i politykę bezpieczeństwa Służby Więziennej, która doprowadziła do rosnącej liczby ucieczek/niepowrotów z przepustek oraz innych zagrożeń bezpieczeństwa jednostek penitencjarnych.

Z poważaniem

Ppłk SW w st. spocz. dr Witold Kędziński,
były dyr. ZK w Przemyślu

„Triumf i upadek” – Joanna Bojańczyk, „DRz” 37/2018

Szanowni Państwo, w artykule red. Joanny Bojańczyk „Triumf i upadek” autorka mylnie podaje prawdziwe imię sądownej w Nowym Jorku mitomanki Anny Sorokin vel Anny Delvey jako Olga, w niezamierzony zapewne sposób kojarząc ją z właścicielką paryskiego domu mody Irfę, Olq Sorokin.

Z wyrazami szacunku
Piotr Sorokin Jankowski
Wiedeń

Szanowny Panie, dziękuję za to sprostowanie. Rzeczywiście pomyliłam się – to Anna Sorokin, nie Olga. I z Irfę nie ma nic wspólnego.

Z poważaniem
Joanna Bojańczyk



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batony Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPÓŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji),
Andrzej Dziekan, **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, **Piotr Gociel**, **Waldemar Łysiak**, **Krzysztof Masłoni**, **Piotr Semka**,
Łukasz Warzecha, **Rafał A. Ziemiakiewicz**

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, **Oliver Bault**, **Robert Bogdański**, **Joanna Bojańczyk**,
Grzegorz Brzozowicz, **Sławomir Cencikiewicz**, **Wiesław Chelminiak**,
Dominika Ćosić (Bruksela), **Krzysztof Czabański**, **Roman Graczyk**,
Piotr Gursztyn, **Katarzyna**, **Jacek Komuda**, **Sławomir Koper**, **Piotr Kowalczyk**
(Rzym), **Jakub Kowalski**, **Tomasz Lenczewski**, **Ewa Łosińska**, **Łukasz Majchrzyk**,
Marcin Makowski, **Karolina Marchlewska-Trzmiel**, **Gabriel Michalik**,
Filip Memches, **Agnieszka Niewińska**, **Maciej Pieczyński**, **Katarzyna Pinkosz**,
Witold Repetowicz, **Agnieszka Rybak**, **Krzysztof Rybiński**, **Stefan Sękowski**,
Teresa Stylińska, **Artur Szeremeta**, **Tomasz P. Terlikowski**, **Błażej Toraiski**,
Matthew Tyrmand, **Szewach Weiss**, **Piotr Włoczyk**, **Marcin Wolski**,
Tomasz Wróblewski, **Wojciech Wybranowski**, **Igor Zalewski**

DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej)
z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska**, **Małgorzata**
Puzyr, **Damian Cygan**, **Karol Gac**, **Przemysław Harczuk** (także SuperExpress),
Magdalena Złotnicka (także TVP Warszawa), **Jan Fiedorczuk**
Współpraca: **Mikołaj A. Łodowski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Leszek Miłoszewski**,
Jacek Nadratowski, **Anna Sobieska-Wojtowicz**, **Włodzimierz Zakrzewski**

Fotoedycja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**

Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**, **Anna Zaleska**,
Mazena Dobosz, **Agnieszka Wasilewska**

Rysownicy: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krystofa**

Okładka: **PIOTR TWARDYSKO/NEWSPIX.PL**, Fotolia, oprac. graf. **JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batony Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu: spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy

Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS

(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż):

Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),

prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu nakładu podstawowego 288829

Nr indeksu nakładu z filmem 296430

Nakład 90 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej

i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie

www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi

Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne

w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów

niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów

oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego

wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów

opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko

za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów

prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/



TOMMY**ICONS** TOMMY.COM

butiki **SWISS**

swiss.com.pl

eprasa.pl adcad37bcf



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Motyła noga

Na okładce „Polityki” Grzegorz Schetyna promienieje, wyposażony w dwa skrzydła motyla – jedno ze zdjęciem Katarzyny Lubnauer, drugie z Barbarą Nowacką. Wygląda to jak jakaś „szydera” z szefa PO, ale nie – „Polityka” naprawdę wpadła w nastrój uniesienia.

„Dołączenie Barbary Nowackiej do Koalicji Obywatelskiej wywołało efekt motyla [...], wyraźnie wzmocniło sojusz Lubnauer i Schetyny”.

Dzień później sondaż firmy Kantar pokazał, że na razie o żadnym „efekcie motyla” nie można mówić. PiS uzyskał 42 proc., a PO i Nowoczesna – odpowiednio 20 proc. i 4 proc. Wynik PSL – 4 proc. – także można uznać za zimny prysznic dla partii opozycji. SLD, który uzyskał 6 proc. poparcia, też musi zastanowić się, jak do rzeczywistości mają się przechwałki Włodzimierza Czarzastego o „dwucyfrowym wyniku” Sojuszu. Platforma zaczyna się martwić, że szyld „Koalicja Obywatelska” może wyborcom niewiele mówić. Teraz politycy największej partii opozycji mają dylemat: zająć się na gwałt podkreśleniem tego, że KO to głównie Platforma, czy nie. Jak się bowiem okazuje, brand No-

woczesna, sądząc z sondażowych 4 proc., raczej odstrasza. A kim jest Barbara Nowacka – mieszkańcy Końskich czy Miastka też raczej nie wiedzą. A przecież panie liderki – „skrzydła motyla” – miały być wartością dodaną. Co robić? I tak źle, i tak niedobrze.

PiS na razie wykazuje się mało rzucającym się w oczy, ale skutecznym sztabem kampanii wyborczej. I wychodzi na to, że ten wehikuł nie zmarnował ostatnich dwóch miesięcy. Premier Mateusz Morawiecki i posłowie PiS bez szumu objężdżali miasta i miasteczka Polski powiatowej. Wybór miejsc wieców i lokalnych konwencji wynika ze żmudnych symulacji wyborczych. Tak jak w USA obie strony skupiają się na „swing states”. Konwencje PiS we Wrocławiu, w Szczecinie czy Olsztynie wynikają ze strategii atakowania województw, w których wygrana jeszcze się waha między PiS a PO.

W efekcie, jak pokazują sondaże, rządząca partia ma szanse zdobyć władzę w sześciu województwach na 16. To nie brzmi oszałamiająco, ale pamiętajmy, że w obecnej kadencji PiS rządzi tylko w jednym województwie.

Inaczej jest w dużych i średnich miastach. Platforma już się chwali, że w Poznaniu, we Wrocławiu i w Zielonej Górze – jak wynika z sondaży – popierani przez KO kandydaci mają szanse rozstrzygnąć wybory w pierwszej turze.

Szczególnie bolesna dla PiS może być „pierwszotururowa” wygrana kandydata opozycji Jacka Sutryka we Wrocławiu. Bolesna, ale nie zaskakująca w sytuacji, gdy kandydatka PiS, Mirosława Stachowiak-Różecka, robi jak na razie niewiele.

Szanse na wygraną trojga młodych twarzy PiS – Małgorzaty Wassermann, Patryka Jakiego i Kacpra Płażyńskiego – są wciąż trudne do oceny. Najbardziej wybija się Jaki.

Jednak znawcy polskiej polityki wskazują, że utrata przez PO i PSL władzy nawet w sześciu województwach odbije się na sile opozycji. PiS nie chce ani nie ma szans odnieść w wyborach samorządowych spektakularnego zwycięstwa. Jednak niczym w długiej wojnie pozycyjnej Jarosław Kaczyński pragnie osłabić, jak tylko się da, rywala przed walką o wszystko w wyborach roku 2019 i prezydenckich rok później. ©



FOT. BLOMBERG/GETTY IMAGES

PIERWSZY TURYSTA W KOSMOSIE

42-letni japoński biznesmen i kolekcjoner sztuki Yusaku Maezawa (z prawej) będzie pierwszym turystą, który poleci komercyjnie w kosmos rakieta firmy SpaceX. Zaplanowana na 2023 r. wycieczka ma potrwać niecały tydzień. Rakieta do komercyjnego transportu turystów jeszcze nie istnieje. Właściciel SpaceX, Elon Musk (z lewej), oznajmił jednak, że dzięki zakupowi biletu przez Japończyka będzie można ją zbudować na czas. Koszt budowy rakiety i pasażerskiego statku kosmicznego może wynieść od 2 do 10 mld dol. (jap) ©



SWISS MILITARY
HANOWA

Challenge Time



Chrono Classic

Swiss Made



butiki **SWISS**

swiss.com.pl



ŁUKASZ
WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Siła jednego zdjęcia

Matt Bennett 13 września 1988 r. prawdopodobnie pogrzebał szanse demokratycznego kandydata Michaela Dukakisa na prezydenturę USA. Benett, wówczas 23-letni młódzian bez wielkiego doświadczenia politycznego, dostał polecenie zorganizowania kandydatowi Partii Demokratycznej wizyty w firmie Boston Dynamics, podczas której Dukakis wsiadł do potężnego czołgu Abrams i dał się w nim sfotografować. Miało to przekonać Amerykanów, że demokratą nadaje się na naczelnego wodza, a wyszło komicznie i żałośnie. Uśmiechnięty od ucha do ucha Dukakis, stojący na czołgu za karabinem maszynowym w pozie kompletnie sztucznej, jak wyjęty z partyjnego gabinetu, stał się obiektem powszechnych drwin – tak bardzo tam nie pasował. Wybory wygrał Bush senior.

Ujęcie Dukakisa w czołgu do dziś pozostaje jednym z najbar-

dziej znanych obrazów w fotografii prasowej. I dowodzi, że program programem, merytoryka merytoryką, a siła jednego zdjęcia potrafi rozłożyć na łopatki niemal każdego.

Zapomniało o tym najwyraźniej otoczenie prezydenta Dudy podczas wizyty w USA. Gdy piszę ten felieton, od podpisania deklaracji polsko-amerykańskiej mija już kilka dni, a zdjęcie pokazujące rozpartego w fotelu Trumpa i stojącego obok, zgiętego wpół polskiego prezydenta wciąż jest głównym tematem komentarzy. Nie to, co jest w deklaracji, nie wyraźny dysonans z gospodarzami wizyty w sprawie stałej bazy wojsk, ale właśnie to zdjęcie. Żeby było śmieszniej, ci, którzy zwykle naśmiewają się z godnościowej narracji PiS, nagle zażarcie bronią godności polskiej głowy państwa, a ci, którzy tę narrację godnościową zwykle uprawiają, nagle przekonują, że nie ma żadnego problemu. A nawet – tak jak

minister Czaputowicz – kontrują zastrzeżenia w sposób już naprawdę niemądry, mówiąc, że zaszczytem jest dopuszczenie do biurka prezydenta USA. „Murzyńskość” – jak powiedział klasyk. Dzisiaj na oucie.

Można się zżymać na to, że jedno zdjęcie zdominowało istotne spotkanie. Jednak to kopanie się z koniem, bo tak niestety dziś wygląda publiczna dyskusja. Otoczenie prezydenta powinno to rozumieć i przewidywać. Niestety, nawet jeśli rozumie, to nie przewiduje, a całość wygląda na nielichą amatorszczyznę wizerunkową.

Kibicom obu stron dni schodzą teraz na wyszukiwaniu zdjęć, na których prezydenci USA siedzą, a inni stoją (to kibice władzy), lub wskazywaniu, że żadne z tych zdjęć nie pokazuje głowy innego państwa w trakcie podpisywania umowy międzynarodowej (to kibice opozycji). I tak nam miło czas płynie w naszym grajdole. ©©



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Handlarze i tragarze

Stanął z lewej strony, a powinien z prawej. Żle spojrzął. Głupio się uśmiechnął. Prezydentowej spadł bucik. Spadł, ale włożyła. Prezydent nie bronił Unii. Zdradził Unię. Wydaje nie swoje pieniądze. Ale jak to? Nie zapytał o wizy? I wreszcie najważniejsze, zdjęcie, na którym: Trump siedział, a Duda stał. Że kamerdyner. I dalej w ten deseń. Niemal wyłącznie tak kształtował się przekaz większości lewicowo-liberalnych mediów w Polsce po spotkaniu prezydentów Andrzeja Dudy i Donalda Trumpa i podpisaniu przez nich deklaracji o współpracy.

Co z kolei odnotowali w mediach amerykańscy komentatorzy i analitycy życia politycznego? Że prezydent USA krytykował ostro UE, co może oznaczać, że Stany widzą w Polsce partnera w swojej grze przeciw unijnym baronom. Że deklaracja prezydentów to ważny krok w kierunku wzmocnienia współpracy wojskowej; przy okazji zastanawiali się też nad korzyściami dla amerykańskiej gospodarki.

Czym się różnią oba obrazy? Oczywiście. Amerykańskie media są dławione przez reżim Trumpa, wydawane w Polsce, lewicowo-liberalne to są jeszcze – wol-ne media! – niezależne i rzetelne. A jakże!

Kilka tytułów odnotowało jeszcze groteskowe reakcje nadwiślańskich redakcji komentujących wizytę Dudy. Dla strony amerykańskiej (i tej znad Wołgi także) to bezcenna informacja pokazująca istotne, wartości rozgrywania środowiska, które pomogą w osłabieniu pozycji politycznej (biznesowo-negocjacyjnej) strony polskiej.

Lewicowe ośrodki medialne często krytykują postawę Polski w negocjacjach z silnym partnerem, pisząc o oddawaniu się za sznur koralików. I, jak zwykle, odegrały rolę tragarzy, dzięki którym handlarze będą mogli owe paciorki opchnąć nam drogo, coraz drożej... ©©

Gersdorf stawia warunki

Zaognia się konflikt o Sąd Najwyższy. W czwartek doszło do spotkania prof. Małgorzaty Gersdorf, piastującej do czerwca bieżącego roku stanowisko I prezesa Sądu Najwyższego i premiera Mateusza Morawieckiego. O szczegółach spotkania opowiedziała dziennikarzom sama Gersdorf. Oczekiwanie byłej prezes SN, uczestniczki organizowanych przez opozycję antyrządowych protestów, są duże. – To są takie warunki, że sędziowie, wszyscy zwolnieni z uwagi na 65. rok życia, będą powracać na swoje stanowiska. Ja pozostaję nadal I prezesem Sądu Najwyższego z mocy konstytucji, bez warunków. Podniosłam również, że należy przywrócić konstytucyjny charakter KRS i procedowania w KRS – poinformowała w piątek w swoim oświadczeniu prof. Gersdorf.

Sam Morawiecki po spotkaniu mówił, że ustalił z prof. Małgorzatą Gersdorf, iż żadne szczegóły dotyczące rozmowy nie będą przekazane mediom. Wcześniej szef polskiego rządu spotkał się podczas szczytu UE w Salzburgu z przewodniczącym KE Jeanem-Claude'em Junckerem. – Rozmawiamy z Jeanem-Claude'em Junckerem nieustannie o sprawach polsko-europejskich w bardzo różnych kontekstach; w tym również ja podkreślam zasadność, konieczność reformowania wymiaru sprawiedliwości i odnoszę wrażenie, że przewodniczący stara się znaleźć jakiś możliwy kompromis – mówi dziennikarzom szef polskiego rządu.

Informatorzy „Do Rzeczy” z otoczenia premiera Morawieckiego mówią nam, że strona polska odnosi wrażenie, iż sam Juncker jest już mocno zmęczony sporem i byłby gotów na wypracowa-

nie satysfakcjonującego obie strony porozumienia, jednak zdecydowanie ostrzejsze jest stanowisko naciskającego na niego wiceprzewodniczącego KE Fransa Timmermansa oczekującego, że Polska wycofa się z przyjętych już nowel „ustaw sądowych”. – W efekcie pole manewru jest bardzo małe, to są rozmowy, w których obie strony mówią o szukaniu kompromisu, przy czym woli kompromisu po stronie Brukseli nie widzimy – mówi nasz informator.

W ubiegłym tygodniu także kilku sędziów SN skierowało do Trybunału Sprawiedliwości UE kolejne pytania prejudycjalne o niezależność władzy sądowniczej. – Pytamy, czy sposób powołania sędziów przez Sejm, a nie przez samych sędziów, jest zgodny z polską konstytucją i europejskimi standardami – mówił Michał Laskowski, rzecznik SN.

Dwóch sędziów SN: Krzysztof Cesarz i Andrzej Siuchniński, którzy po wejściu w wiek emerytalny otrzymali od prezydenta Andrzeja Dudy pisma zawiadamiające o ich przejściu w stan spoczynku, złożyło pozwy, domagając się ustalenia istnienia ich stosunku służbowego jako sędziów SN. Ich sprawą powinna zająć się Izba Dyscyplinarna Sądu Najwyższego. W ubiegłym tygodniu prezydent Duda powołał do niej 10 z 12 nowo wybranych przez KRS sędziów, nie podpisał natomiast nominacji dla prok. Jarosława Dusia, który nie spełniał wymogu 10 lat pracy na stanowisku prokuratora (brakowało mu ośmiu miesięcy), wcześniej wycofano też kandydaturę radcy Małgorzaty Kubackiej, która była karana przez sąd radcowski. (ww) ©©



FOT. MARCIN OBARA/PAP

KRYSTYNA GRZYBOWSKA (1940–2018)

„Ludzie mają dosyć i reagują na przestępczość obcych z przerażeniem i wzbierającą wściekłością” – napisała przed tygodniem w felietonie z cyklu „Z Krystyną Grzybowską dookoła Europy” w tygodniku „Sieci”. Felietonie zatytułowanym: „Allahu Akbar! – to nowy folklor zachodniej Europy”.

Odeszła Krystyna Grzybowska – urodzona publicystka i felietonistka, znawczyni zagadnień międzynarodowych, ekspertka w sprawach niemieckich. W stanie wojennym nie przeszła weryfikacji dziennikarzy przeprowadzonej przez władze PRL. Wraz z mężem, Maciejem Rybińskim, wyemigrowali wtedy do RFN, gdzie współpracowali z mediami wolnego świata. W latach 90., po odzyskaniu przez Polskę wolności, była korespondentką „Rzeczpospolitej” w Niemczech. Później, już po powrocie do ojczyzny, publikowała we „Wprost”, w „Rzeczpospolitej”, „Gazecie Polskiej”, „Gazecie Polskiej Codziennie”, „Nowym Państwie”. W ostatnich latach związała się z tygodnikiem „Sieci” i portalem wPolityce.pl.

Energicznie działała też w Fundacji im. Macieja Rybińskiego – zmarłego w 2009 r. męża, jednego z najwybitniejszych w historii Polski felietonistów. Pracując pod jej przewodnictwem kapituła co roku przyznawała najzdolniejszym młodym felietonistom Nagrodę Złotej Ryby.

Zapamiętam ją – z czasów wspólnej pracy we „Wprost” i później w „Rzeczpospolitej” – jako twardo broniącą swych racji, pełną niespożytego zapалу publicystkę. Zawsze ostro stojącą w obronie polskiego interesu.

Krystyno! – będzie nam Ciebie bardzo brakowało.

Łączymy się w żalobie z wszystkimi Bliskimi śp. Krystyny Grzybowskiej.

Piotr Gabryel



FOT. MICHAŁ DYJAK/FORUM

PŁYWANIE W KISIELU

Przez Wschód
do ZachoduRAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

Straszna jest w dzisiejszych czasach siła obrazka. Jedno fatalne zdjęcie, na którym prezydent USA siedzi, a prezydent Polski musi stać, bo nie dano mu krzesła, zdominowało cały przekaz o wizycie.

Oczywiście wiele w tym złośliwości mediów totalnej opozycji, które tak jak wcześniej rozdymały do absurdu znaczenie spotkania prezydentów, by poniżyć Andrzeja Dudę za to, że dotąd w Białym Domu nie gościł, tak teraz stają na głowie, by dowieść, że to spotkanie nie ma żadnego znaczenia, Donald Trump jest właściwie nikim, a USA to kraj odległy

W kontrapunkcie do rozmów z USA mieliśmy kolejne wzmożenie eurokracji w staraniach o „bantustanizację” naszego regionu

i zupełnie się w polityce europejskiej nieliczący. Oczywiście też dopuszczenie do takiej sytuacji i do publikacji tej fotografii to straszna wtopa oraz nieprofesjonalizm odpowiedzialnych za protokół urzędników po naszej stronie.

Jednak ich brak profesjonalizmu jest mniejszy od tego, którym wykazują się „analitycy” sprowadzający wszystko do wizerunkowych dupereli. W istocie prezydencki szczyt był owocny jak rzadko kiedy.

Polska wreszcie przemówiła językiem zrozumiałym dla Amerykanów, językiem interesów i wzajemnych korzyści, a nie sentymentów i historycznych zasług. A za ukucie frazy „Fort Trump” chwaliły polskiego prezydenta nawet niechętnie Trumpowi media amerykańskie.

Oczywiście w ważnych dla nas sprawach – amerykańskiej obecności wojskowej oraz ekonomicznej w Trójmórzu i udziału Polski w „nowym planie Marshalla”, o którym pisał niedawno na naszych łamach Tomasz Wróblewski – nie zapadły ustalenia, bo zapaść nie mogły. Sprawy jednak zostały popchnięte we właściwą stronę.

To tym ważniejsze, że w kontrapunkcie do rozmów z USA mieliśmy kolejne wzmożenie eurokracji w staraniach o „bantustanizację” naszego regionu. Staraniach, w których głównym propagandowym argumentem (kuriozalnym, gdy używa go kraj budujący kolejny Nord Stream) jest wysyłanie nas do Putina. Tam, gdzie liberalne elity wysyłają też Trumpa. Cóż, z przymrużeniem oka można przywołać klasyczną analizę Dmowskiego, który po zawiązaniu ententy i w obliczu jej konfrontacji z Niemcami i Austro-Węgrami tłumaczył, że droga na Zachód, do sojuszu z największymi mocarstwami ówczesnego świata, wiedzie przez Moskwę. Co było kiedyś na serio, dziś wraca jako propagandowy fantom. ©©



MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Młotki i gwoździe

Jak wygląda poziom TVP, każdy widzi, ale są jeszcze tacy, którzy potrafią zobaczyć rzeczy, których na antenie nie ma. „Nie sądziłam, że w wolnej Polsce telewizja państwowa na zamówienie władzy będzie produkować takie obrzydliwstwa, poniżające Polaków, którzy protestują przeciwko rządowi. I to mruganie okiem do antysemitckiego elektoratu, że opozycję sterują Żydzi. Wstyd!!!!” – oburzyła się Dominika Wielowieyska po emisji kukielkowego spektaklu, przedstawiającego głównych aktorów pozaparlamentarnej opozycji.

„Po pierwsze, to nie Żyd, tylko Farmazon.

Po drugie, to nie telewizja zrobiła, tylko osoba prywatna. Po trzecie, »na zamówienie władzy« to oszczerstwo, chyba że ma Pani dowody. Wstyd tym większy, że sprawa już wczoraj przewalkowana i wyjaśniona” – odpisała Katarzyna. Niestety, wytknięcie, że za Żyda uznało się „ochroniarza opozycji”, nie poskutkowało.

„Farmazon? Niech Pani nie żartuje.

Ale nawet bez tego jest to obrzydliwe” – odparła dziennikarka „Wyborczej”, dodając, że: „jak coś się puszcza w telewizji państwowej, to trzeba brać odpowiedzialność za skojarzenia”. „Niebezpieczna droga. Na tej zasadzie zagrozili zwolennicy PiS mogą skojarzyć coś z Pani tekstu w sposób, który stawiałby Panią w bardzo złym świetle” – włączył się do dyskusji Patryk Słowik z „Dziennika Gazety Prawnej”.

„Tak się często dzieje. I nieraz z tego powodu dostawałam po głowie [...]. Przecież cały tłum dziennikarzy zinterpretował to identycznie jak ja” – odpowiedziała z rozbrajającą szczerością redaktor Wielowieyska, a wsparł ją kolega z redakcji, Wojciech Czuchnowski. „W sprawie filmiku TVP prosty test: pokażcie go komuś, kto nie zna Farmazona. Na 100 proc. zobaczy w tej łalce klasyczne wyobrażenie Żyda” – argumentował.

„Prawdziwy problem polega na tym, że mimo oczywistego nonsensu jutro to zdjęcie jako dowód polskiego antysemityzmu obleci różne »giardiany«, a za rok jakiś Pankowski albo Bilewicz będzie pokazywał ten »dowód« na »naukowej« konferencji w Tel Awiwie. Fejk-news zawsze na prosię” – napisał na koniec dyskusji Rafał A. Ziemkiewicz. A mnie przyszło do głowy stare przysłowie. Gdy twoje jedyne narzędzie to młotek, wszystko dookoła wygląda jak gwoździe. ©©



Zmieniamy oblicze dworców
około 200 nowych
lub zmodernizowanych obiektów
w całej Polsce do 2023 roku



#ZMIENIAMYDWORCE
NAJWIĘKSZA MODERNIZACJA DWORCÓW

www.pkpsa.pl



FOT. PAMEL CROMBIA

WYPINDRZONA LALA

Polski show-biznes wciąż jeszcze nie otrząsnął się po aferze, którą rozpętały Kinga Rusin i Małgorzata Rozenek. Panie pokłóciły się publicznie na śmierć i życie. Poszło o to, że Rozenek została twarzą firmy kosmetycznej, którą Kinga Rusin oskarża o testowanie kosmetyków na zwierzętach. Rozenek najpierw została skrytykowana przez znaną z miłości do zwierząt Dżoanę Krupę, a następnie do grona krytyków dołączyła właśnie Rusin. Rozenek skwitowała sprawę stwierdzeniem, że Rusin wykorzystuje walkę o prawa zwierząt do promocji swoich kosmetyków (Rusin jest właścicielką marki kosmetycznej). I poszło! Kinga nie wytrzymała. „Nie będę udawać, że pada deszcz, kiedy na mnie pluja. Dosyć tego pseudo-Wersalu. Nie pozwolę, żeby wypindrzona, sztuczna lala, wdziecząc się do kamery, przekreślała jednym koślawym zdaniem ideały, o które walczę od lat! Rozenek zarzuca mi wykorzystywanie w biznesie walki o prawa zwierząt. Co za żałosna próba obrony jej własnej hipokryzji!” – napisała na swoim Instagramie. Nie sądziliśmy, że dożyjemy czasów, w których określenie „wypindrzona lala” stanie się w show-biznesie obelgą!

GORZEJ NIŻ W PRZEDSZKOLU

To jeszcze nie koniec tej historii. Odpowiedź Rozenek była bowiem dość zaskakująca. A raczej rozczarowująca tych, którzy zdążyli już kupić popcorn i czekać na rękoczyny. „Kochani, nie oczekujcie ode mnie żadnej reakcji. Jest mi po prostu, po ludzku przykro” – napisała, psując zabawę wszystkim. Sprawa zakończyła się tym, że Rusin skasowała wszystkie swoje wpisy, atakujące Rozenek i wydała długie oświadczenie. „Kończę spór personalny, w którym broniłam mojego dobrego imienia. Zdecydowałam się jednak skasować te oświadczenia, bo zaczęły przesłaniać rzeczy najważniejsze” – napisała. Rzeczą najważniejszą okazała się interwencja władz stacji, a konkretnie dyrektora Edwarda Miszczaka, który uznał, że sprawy zaszły za daleko, i przywołał swoje gwiazdki do porządku. Wymierzył im też dotkliwą karę. Bardzo dotkliwą. Zabronił obu paniom przyjścia na doroczny bal TVN. A obie miały już gotowe kiecki. No jak można być tak bezdusznym?

STRACH SIĘ ODZYWAĆ

Ledwo uspokoiła się sprawa z Rusin, a już Lady Rozenek znów podpadła innej celebrytce. Chodzi o Dodę, czyli poprzednią żonę jej obecnego męża Radka Majdana. Najpierw panie pokłóciły się o stylistę. Doda chciała odebrać go Małgosi, a ta

się sprzeciwiła. W efekcie stylistą został bez pracy. Potem Doda poskarżyła się tabloidom, że Radio na oficjalnych bankietach ją ignoruje i że to wina zazdrosnej Małgosi. – Strach Gosi urósł, bo zabroniła Radkowi się ze mną witać – wyznała. Teraz piosenkarka znów wraca do tematu i atakuje Lady Małgonię. Widać, że sprawa nie daje jej spokoju. – Przechodziliśmy przez różne etapy. Najpierw było mi trochę przykro. Potem byłam zdziwiona, że Radek dał sobie odebrać tożsamość – mówi w „Twoim Imperium”. – A teraz zwyczajnie mnie to bawi. Myślę, że gdyby jego obecna żona pogodziła się z tym, że ja również byłam żoną Radka, miałyby świetny układ. Nie musiałaby kopiować mojego wizerunku, bo mogłabym jej oddać swoje ciuchy za darmo – dodaje. Rozenek na wszelki wypadek nie odpowiada na te zaczepki. Pewnie ma jeszcze kilka bali do obskoczenia. Lepiej nie ryzykować!

ROSZCZENIOWA MŁODZIEŻ

Podróżniczka Martyna Wojciechowska postanowiła wyrazić swoje zdanie na temat dzisiejszej młodzieży. Okazuje się, że jest nią bardzo rozczarowana. Zwłaszcza pokoleniem millennialów, czyli tym urodzonym w latach 80. i 90. Stwierdziła, że ludzie ci są „nie tylko roszczeniowi, ale i mają poważne problemy z adaptacją czy pracą zespołową”. Martyna narzeka, że ma problemy ze znalezieniem dobrych pracowników. – Jestem rozczarowana obecnym rynkiem pracy. Niby wszyscy świetnie się prezentują, mają pasję, chęć do pracy, chcą się rozwijać, w CV znakomicie to wygląda, w rzeczywistości jest już jednak gorzej. U młodych dominuje postawa roszczeniowa. Millennialsi wiele oczekują i wiele chcą, ale nie potrafią się odnaleźć na rządzącym się swoimi prawami rynku – ubolewa.

Narzeka też, że młodzi nie chcą pracować dla idei i – o zgrozo! – za swoją pracę oczekują wynagrodzenia! – Ja zawsze pracuję dla idei, nie dla produktu, zawsze z misją. Często realizuję projekty, z których nie czerpię korzyści finansowych. [...] A kiedy materialny zysk nie stoi na pierwszym miejscu, gdy pieniądze i stabilna praca nie mogą być kluczową motywacją, wówczas bez wewnętrznej determinacji wiele się nie zdziałają. Dlatego tak ważne jest to „why?” u wszystkich ludzi, z którymi pracuję – mówi Martyna. Ona sama nie pracuje dla pieniędzy, zawsze dla idei. Nawet grając w reklamach telefonii komórkowej. I pozując dla „Playboya” też! ☺



FOT. RADOSŁAW NAWROCKI/FOTUM

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, mieliśmy ostatnio nietypową przygodę w korpo. Otóśh Nowy z Tarnowa uznał, iż przyszedł czas na integrację, i postanowił zabrać nas do lasu na grzyby, iżby sobie przypomnieć hobby, jakiemu oddawał się w dzieciństwie na wakacjach u babci na podkarpackiej wsi, a nam pokazać, jak można atrakcyjnie spędzać czas na świeżym powietrzu.

W sumie to nawet się zgodziliśmy, chociaż do końca nie jesteśmy pewni, nawet teraz, czy grzyby są wege. Bo wiadomo, osobokotlet to zwierzę, jarmuż to warzywo, a grzyby? Takie chooy wie co. Dopóki więc doktryna nie jest jednoznaczna i nie wiemy, czy grzyby to zwierzęta, czy rośliny, to okej. Możemy zbierać.

Na miejscu okazało się jednak, iż do zbierania grzybów przydaje się nożyk. Of kors my nie używamy takich narzędzi ani tym bardziej nie wychodzimy z nimi z domu. Nowy z kolei taki przyrząd miał, więc zadzwoniliśmy na policję, iż nasz znajomy nosi niebezpieczny przedmiot w przestrzeni publicznej. Możecie się śmiać, iż donos, ale przestraszyliśmy się fashysmu i nie mogliśmy dopuścić, iżby Nowy terroryzował osobogrzyby.

Sushi prawem, nie towarem! Może słyszeliście, iż pewien gość sushi baru w Niemczech w modelu „zapłać raz i zjedz,

ile chcesz” zjadł aż 100 porcji. Sushi bar się na niego obraził. To niestety fashysm i neoliberalizm.

Naszym zdaniem podobny model powinien obowiązywać we wszystkich placówkach handlowych jako rozsądny kompromis pomiędzy postępową zasadą „towar prawem, nie towarem” a neoliberalną zasadą płacenia za wszystko.

W takim idealnym modelu można byłoby zapłacić raz przed wejściem do supermarketu, a następnie korzystać z niego do woli. Of kors opłata byłaby znieśiona dla mniejszości etnicznych, seksualnych, religijnych oraz dla społeczności LGBTQWERTY, a wnosiliby ją wyłącznie biali heteronormatywni mężczyźni.

Musimy się przyznać, iż coraz bardziej boimy się 100. rocznicy odzyskania przez ten kraj niepodległości oraz

związanej z tym celebry, jaką bez wątpienia uraczą nas środowiska prawicowo-katofashystofskie.

Już teraz widzimy więcej flag tego kraju na różnych budynkach, atmosfera gęstnieje z dnia na dzień, a nastroje ksenofobiczne i rasistowskie są coraz wyraźniejsze, a tym groźniejsze, iż wcale nie tak widoczne. Of kors prawica zrobi sobie z tego wielkie wydarzenie połączone z piętnowaniem postawy Niemiec i Rosji, czyli urządzi sobie tradycyjny seans nienawiści wobec sąsiadów.

A już zupełnie przykre jest to, że obchody 100-lecia niepodległości przypadają w roku, w którym po raz kolejny złamano konstytucję, demokrację i prawa obywatelskie. ©©

f FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

REKLAMA

Zrozum, tania siła robocza
musisz pozostać dla naszego
wspólnego dobra...



CO WSPÓŁCZEŚNIE
NAJBARDZIEJ ZAGRAŻA
LUDZKOŚCI?



Znajdź odpowiedzi na odwieczne pytania i odkryj trafne refleksje na temat walki duchowej, zła działającego w świecie, grzechu pierwotnego, łaski sakramentów, ofiary, zemsty i przebaczenia.

44,95 zł
34,95 zł

oferta ważna do 30.09.2018 r.

Szukaj na **www.edycja.pl** i w dobrych księgarniach



✉ ksiegarnia@edycja.pl

☎ 605 313 543

Zaczniemy od tanich złośliwostek. Jak donoszą wiewiórki, sędzia Żurek Waldemar jest już najmniej pracującym sędzią w Krakowie. Odmawia bowiem przyjmowania nowych spraw, a starych zostało mu bardzo niewiele. Zdobyty w ten sposób wolny czas spędza zgodnie z zasadą apolityczności i bezstronności sędziowskiej – jako komentator antyrządowy w rozmaitych telewizjach. #WolneSądy = #WolnyŻurek. Wolny od pracy.

Zszokowała nas natomiast informacja rzecznik rządu Kopcińskiej Joanny, że premier Mateusz w siedzibie Sądu Najwyższego pół godziny rozmawiał z Małgorzatą Gersdorf o reformie sądownictwa. Myśleliśmy, że o malarstwie prerafaelitów albo sztuce wyplatania wiklinowych koszyków. Reforma sądownictwa nigdy nie przysłałaby nam do głowy.

Zmiany, zmiany. W MSZ szykuje się roszada. Andrzej Papierz ma stracić stanowisko wiceministra, a zastąpić ma go Maciej Lang. I to jest koniec dobrych wiadomości dla złogów gomułkowsko-bierutowskich w gmachu przy Szucha. Papierz obejmie bowiem stanowisko dyrektora generalnego, z czym łączy się nadzór nad kadrami. A kadry – jak mawiał towarzysz Lenin – decydują o wszystkim. Na dodatek Lang to najbliższy kumpel Papierza. Taki sam antykomuch jak on.

To nie koniec złych wieści dla złogów w MSZ. Otóż w Sejmie urodził się pomysł nowelizacji ustawy o służbie zagranicznej. Ma się w niej znaleźć zapis identyczny jak w ustawie o CBA zakazujący komuszom potomkom pracy w tej służbie. Przeciągamy się z lubością. Jakże kochamy łamanie praw człowieka i obywatela!

Zrządu. PiS chce budować drogi, nie tylko szybkiego ruchu, lecz także lokalne. Całkiem jak Hitler w III Rzeszy. Co było do udowodnienia. Faszyzm, wszędzie faszyzm.

Zapytaliśmy pewnego ministra, o co dokładnie chodzi z tymi drogami samorządowymi. Zacytujemy dosłownie, co odpowiedział: „Chodzi o pszeniczny kłos wyrosły na tej ziemi, znajome boćki, co przycupnęły

Były plany pięcioletnie, będą czterdziestoletnie? „Trasa 40” to nowe przedsięwzięcie Inicjatywy Biedron

na przyjaznej mazurskiej chacie, widzę bursztynowy świerczop tańczący wśród fal burzanów...», a w te wszystkie piękne miejsca trzeba jakoś dojechać”. Z uznaniem odnotowujemy to, że mamy w rządzie ludzi znających na pamięć teksty z „Poranka kojota”.

Zrządu cd. No i Patryk poszedł na urlop, tak jak zapowiadaliśmy. Ale to cwany gapa, więc wziął bezpłatny. Upiął zatem dwie wiewiórki na jednym różnie. A) nikt nie będzie mu mógł wytykać, że bierze z ministerstwa kasę za urlop, w którego trakcie prowadzi kampanię B) zostanie mu na „po wyborach” coś ze trzy miesiące niewykorzystanego prawdziwego urlopu. Będzie mógł odpoczywać przez całe listopad i grudzień. Wtedy intronizacja Jakiego na fotel króla Warszawy mogłaby się odbyć na Trzech Króli (dla opozycji – na Sześciu Króli).

A więc jednak rasista. Tak podejrzewaliśmy. Rafcio Trzaskowski ogłosił, że swą ofertę kieruje do prawdziwych warszawiaków z „krwi i kości”.

dwaj panowie g



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

„Wkurza mnie ta rozmowa o tożsamości warszawskiej, o tym, kto jest prawdziwym warszawiakiem, a kto słoikiem. Jak to mierzyć? A jak pod kategorię warszawiaka podstawić Polaka, to co? Z takiej dyskusji robi się czysty rasizm” – komentowała Sylwia Chutnik, pisarka z zamiłowania, z zawodu autorytet moralny. Komentowała z wyprzedzeniem, bo znaleźliśmy jej opinię w „Lisweeku” z 2013 r. Taka tam była drobna dyskusja o sensie sporu słoiki-warszawiacy.

Mnij kumatym wyjaśniamy, który pisarz jest autorytetem moralnym. Otóż z definicji każdy pisarz bądź pisarzycza, posiadający bądź posiadająca poglądy zbieżne z samozwańczymi salonami III RP, jest autorytetem moralnym. Pisarz który salony III RP i ich ideolo-michnikolo kontestuje, jest z definicji „prawicowym grafomanem”. „Lewicowi grafomani” nie istnieją. Im z definicji przyznaje się tytuł „interesujących eksperymetatorów”.

Przy okazji jako ludzie kompulsywnie czytający, kiedy już zajrzeliśmy do tego „Lisweeka” z 2013 r., przeczytaliśmy i inne teksty. Najbardziej zdumiało nas zdanie z komentarza Aleksandry Pawlickiej: „Donald Tusk musi przekonać Polaków, zniechęconych i rozczarowanych rządami PO, że nie jest premierem wypalonym”. Jak to – wypalonym? Jak to – zniechęceni i rozczarowani Polacy? Przecież to był kraj miodem i mlekiem płynący dopóty, dopóki boty PiS nie ukradły wyborów w 2015 r.! Oj, ty pisóweczko, niegrzeczna, Pawlicka ty! Albo co gorsza – symetrytsko!

Zżycia lewicy. Były plany pięcioletnie, będą czterdziestoletnie? „Trasa 40” to nowe przedsięwzięcie Inicjatywy Biedron. Biedronki będą jeździć po 40 mniejszych polskich miastach i słuchać ludzi. Inicjatywę uważamy za nieco spóźnioną. Biedron Robert skończył w kwietniu 42 lata. Do ZSMP już by go nie przyjęli. Mamy też pewne podejrzenia co do tego, co ludzie będą chcieli powiedzieć Biedroniowi. Zwłaszcza w Słupsku. Tam jednak – co za pech – biedronki akurat nie pojadą.

Zżycia starszej lewicy. Ośli upór kosztuje. Jak informowaliśmy tydzień temu, w przedprocesowym piśmie Leszek Miller domagał się od

Axela Ringiera Springera okrągłego miliona za haniebny tytuł tekstu o samobójstwie syna. Do podziału na trzy: on, żona plus wnuczka Monika. Germańcy stwierdzili, że nie zapłacą, więc od minionego czwartku jest już w sądzie normalny, tradycyjny pozew. Opiewa już jednak na 1,5 mln zł. Kibicujemy Germańcom, im dłużej będą zwlekać, tym więcej będzie ich to kosztowało.



Zsamorządu. Warzecha na radnego. Kandydat reklamuje się w Katowicach plakatami z wielkim napisem WARZECHA i malutkim imieniem „Adam”. Dziękujemy w imieniu kolegi redakcyjnego, Łukasza, za uznanie i wiarę w moc wylansowanego już nazwiska. Dodajemy, że sprawa jest wyjątkowo perwersyjna, bo katowicka podróbka Warzechy startuje z list PeŁo. Znaczą KoŁo (Koalicji Łobywatelskiej).

Katowicka podróbka Warzechy promuje się na swej stronie internetowej słowami: „Napisali o mnie »Warzecha [...] einen begabten Analytiker, von dem man künftig wohl noch hören wird«. To

jedyny cytat z prasy, jakim się chwali. Dla mniej kumatych tłumaczenie: „Warzecha [...] to zdolny analityk, o którym z pewnością jeszcze usłyszymy”. Źródło: „Neue Zürcher Zeitung”. W sumie o naszym Łukaszu też moglibyśmy tak powiedzieć.

Zżycia Eine Totalopposition. Grzegorz Schetyna został bielinkiem schetynkiem, czyli motylem, na okładce „Polityki”. Z informacją, że przyprowadził Platformie skrzydła. Na jednym skrzydle Lubnauer, na drugim Nowacka. No dobrze, przyprowadził skrzydła, ale dlaczego oba lewe?

ZEuropy. Podejrzliwie patrzymy na próbę zniesienia zmiany czasu przez Komisję Europejską i pozostawienia poszczególnym krajom decyzji, czy obowiązuje u nich czas letni czy zimowy. Przecież wiadomo, że faszystowskie reżimy Polski i Węgier wprowadzą zimowy, bo u nich zima dla demokracji. No i będą chciały rządzić o godzinę dłużej.

Przy okazji powyższej debaty Peezel chwali się Polsce, że to była zielona inicjatywa i że ludowcy przejdą do historii jako ludzie, którzy zatrzymali czas. Zgadza się. Dla PSL czas zatrzymał się dawno temu.

Tymczasem w świecie celebrytów. Charytatywny Bal TVN przypominał bardziej stypę. Oglądalność i wpływy z reklam spadają, a na parkiecie ani jednego ministra – nie to co za czasów Złego Donalda. W dodatku wiele gwiazdeczek nie dopisało, gdyż woła dzielącego pieniądze Kurę-Kurskiego. Z przedstawicielami wielkiego biznesu też było kruch, gdyż nie chcą być kojarzeni z atakami na rząd. ©©

REKLAMA

MIĘDZYUCZELNIANY KOMITET OBCHODÓW 100-LECIA UNIwersYTETU POZnańskiego,
AGENCJA PRESTIGE MJM ORAZ MARCELIN MANAGEMENT
WE WSPÓŁPRACY Z KLASSICS MUSIC MANAGEMENT ZAPRASZAJĄ NA KONCERT

ANDREA BOCELLI

THE WORLD'S MOST BELOVED TENOR

11 MAJA 2019
STADION POZNAŃ

BILETY: PRESTIGEMJM.COM, EBILET.PL, EMPIK, www.andreabocelli.com/tickets

andreabocelli.com



KMM
Klasyczny Management

Prestige
MJM

MARCELIN
MANAGEMENT

100
LECIENIE
UNIWERSYTETU
POZNAŃSKIEGO
1918-2018

POZnań*

TERY
MUM
CZYM

WP

SKOS
WIELKOPOLSKI

ŻYCZĄ

VIVA!

URÓDA

pap

cgm.pl

WP

racomedia

MuRidno

empik

PRESTIGE
SERVICE

Voxen

ams

W Internecie wystartowała akcja pod hasłem „Z szacunkiem przez świat”. Na Facebooku powstał profil o takiej nazwie. Jego administratorzy zachęcają do kontaktu: „Jeśli widzisz w narracji podróżniczej brak szacunku do innych ludzi, religii lub kultur, to oznacz ten profil lub zgłoś nam”. Twórcy akcji zapewniają, że nie jest ona wymierzona w konkretną osobę. Sami jednak sobie zaprzeczają, przyznając jednocześnie, że do działania zainspirował ich Wojciech Cejrowski. „W prywatnych rozmowach w gronie osób podróżujących często (reportersko, dziennikarsko, ale i prywatnie) po świecie zauważyliśmy, że narracja przez niego prowadzona w opisywaniu świata bardziej dzieli, niż jednoczy” – piszą. „Osoba znana i publicznie rozpoznawalna, ale przy tym szerząca w swojej narracji podróżniczej europocentryczne podejście do odwiedzanych miejsc, krytykę odmiennych religii, homofobię i ksenofobię w stosunku do ludzi mających odmienne poglądy, zamiast podkreślać zalety, jakie z tych różnic płyną, wykorzystuje je do budowania swojego wizerunku i manipulowania przekazem medialnym” – dodają.

TAK SIĘ NIE ZWIEDZA?

Dlatego postanowili wystosować do Cejrowskiego list z prośbą o „zmianę narracji swoich opowieści”. Twierdzą, że nie odpowiedział, dlatego też postanowili swój apel opublikować. Napisany został w umiarkowanie protekcjonalnym tonie. Jego autorzy zwracają się jak do „kolegi po fachu”, pouczając go, jak powinien wykonywać swoją pracę. „Kiedy wybieramy się w podróż, żeby poznawać inne miejsca, ludzi i kultury [...] zabieramy ze sobą nie tylko ciekawość, ale też empatię i właśnie szacunek. Nie czujemy się lepszymi, bo jesteśmy z Europy. Nie mówimy, że nie kolegujemy się z innowiercami, bo to niebezpieczne. Nie wspieramy podziałów i dyktatur. Szczerze i z serca – chcemy zrozumieć drugiego człowieka” – czytamy w treści listu. Jego autorzy zarzucają Cejrowskiemu „utrwalanie stereotypów, europocentryzm i ksenofobię”, które „prowadzą do niewiedzy”, „strachu, lekceważenia i nienawiści”.

Pod listem podpisało się ponad 170 osób. Ta liczba ciągle rośnie. Wśród sygnatariuszy można znaleźć wielu rozpoznawalnych podróżników i dziennikarzy: Elżbietę Dzikowską, Mariusza Szczygła, Aleksandra Dobę, Andrzeja Stasiuka, Jacka Hugo-Badera. Protest poparli organizato-



Maciej Pieczyński

Twierdzą, że są „zmęczeni obrażaniem i wysmiewaniem ludzi za ich odmienność”. Jednocześnie sami odmawiają innym moralnego prawa do głoszenia własnych poglądów. Prawie dwustu podróżników i dziennikarzy dołączyło do medialnego ataku na Wojciecha Cejrowskiego



Z cenzurą przez świat

FOT. TRICOLORS/FAST NEWS

rzy festiwalu podróżniczych: gryfińskiego „Włóczykija”, Mikołowskiego Festiwalu Rajzefiber, Projektu Multikulti, Beskid Extreme Festiwal Szczyrk. Wśród sygnatariuszy są również m.in.: Anna Alboth, współzałożycielka bloga „Rodzina bez granic”, inicjatorka „Marszu dla Aleppo”, który wyruszył z Berlina i dotarł do granic Syrii w geście solidarności z uchodźcami; Michał Cessanis, redaktor naczelny portalu podróżniczego NaWalizkach.com; Maciej Wesołowski, redaktor prowadzący „National Geographic Traveler”.

Pod listem podróżników podpisała się także Aleksandra Łojek, która zasłynęła próbą zablokowania wrześnieowego występu Cejrowskiego w Belfaście. Mieszkająca w Irlandii Północnej dziennikarka i tłumaczka języka perskiego napisała do organizatorów prośbę o odwołanie wydarzenia. Jako uzasadnienie przesłała „niektóre homofobiczne wypowiedzi” Cejrowskiego. „Polacy absolutnie nie mogą być kojarzeni z czymś takim, zwłaszcza w Wielkiej Brytanii, w której słowa skierowane przeciwko ludziom z powodu ich orientacji seksualnej, koloru skóry, pochodzenia, traktowane są bardzo poważnie” – tłumaczyła później w rozmowie z portalem Wp.pl. Występ Cejrowskiego miał mieć formę stand-up comedy i treść podróżniczą, nie zaś polityczną, ale to nie miało znaczenia: Łojek była pewna, że „w opowieści wpłatałyby żarty na temat innych nacji i kobiet czy ostre rasistowskie treści”.

Swoją cenzorską inicjatywą udało jej się zainteresować BBC. Wystąpiła w popularnym „Nolan Show”. Prowadzący audycję, tytułem wprowadzenia słuchaczy do tematu, stwierdził, że Cejrowski jest

znany z „ekstremalnie homofobicznych, antyislamskich i seksistowskich komentarzy”. Aleksandrze Łojek nie spodobało się, że występ podróżnika miał być częścią programu Tygodnia Kultury Polskiej w Belfaście: „On nie reprezentuje mojej kultury jako Polki i wielu Polaków jest mu przeciwnych” – mówiła w rozmowie z brytyjskim dziennikarzem.

Znaczna część podpisanych pod uderzającym w Cejrowskiego listem nie kryje swojej niechęci do prawicy. Andrzej Stasiuk w wywiadzie dla „Newsweeka” stwierdził, że elektorat PiS „zręka się wolności z wyjątkową pokorą”. „Ten kraj byłby za ciasny dla Mickiewicza” – mówił z kolei „Rzeczpospolitej”, odpowiadając na pytania o swój najnowszy projekt, związany z tekstami wielkiego wieszcz. Jacek Hugo-Bader, ceniony reportażysta, od lat związany z „Gazetą Wyborczą”, dwa lata temu bezskutecznie próbował udowodnić rasizm środowisk narodowych, gdy ucharakteryzowany na osobę czarnoskórą w ramach prowokacji dziennikarskiej pojawił się na Marszu Niepodległości. Choć nie został zaatakowany, pisał później, że czuł ze strony uczestników nienawiść, nawet jeśli jej nie okazywali.

„Panie Cejrowski, tak się nie zwiedza w 2018 roku” – poucza portal Gazeta.pl, rozwijając argumentację podróżników i podając przykłady, które mogły autorów listu oburzyć. „Taki ma styl, że jest połączeniem globtrotera z epoki kolonializmu, pokazującego »dzikich« »cywilizowanym«, ze współczesnym turystą z Europy” – pisze o podróżniku autor, podpisany inicjałami MAW. Jego zdaniem narracja Cejrowskiego nie dziwiłaby pewnie w XIX w., „kiedy »biali« odkrywali, że poza Europą

są też inni ludzie, którzy żyją i tworzą. Ale zdecydowanie nie są w porządku w XXI w., kiedy naprawdę nie trzeba długo szukać, żeby poczytać o wpływie takiego »turysty« na nieeuropejskie społeczności. Programy Wojciecha Cejrowskiego, wciąż puszczane w TVP, zatrzymały się w pewnej epoce i powinny tam pozostać”.

CZYM ZAWINIŁ CEJROWSKI?

Autor przyznaje przy tym, że Cejrowskiemu „wiedzy i doświadczenia nie można odmówić”. Podaje kilka przykładów rzekomo nieodpowiedniego zachowania podróżnika w różnych odcinkach cyklu „Boso przez świat”. „Chłopiec ma na imię Nasrallah. Tłumaczę mu, że nie bardzo pasuje do kontekstu restauracyjnego” – to fragment relacji z Jerozolimy. Chłopiec, o którym mowa, to syn jednego ze sprzedawców, z którymi na ulicach Świętego Miasta rozmawiał Cejrowski. Zarzut jest oczywisty: podróżnik naśmiewa się z imienia bohatera swojego reportażu, które znaczy „Zwycięstwo Boga”. Tymczasem żart był adresowany do polskiego widza – nie chodziło o to, by kogoś obrazić.

W kolejnej „oburzającej” scenie Cejrowski pokazuje kadr z bananami przeznaczonymi na eksport do Europy. Chwyta jedną z kiści, pokazuje do kamery, komentuje, że ta akurat nadaje się tylko jako pasza dla świń, i wyrzuca ją poza kadr. Rozbawieni robotnicy, pracujący przy bananach, mówią coś w tle, słychać tylko słowo: „Chile”. „Przepraszam bardzo, wyrzuciłem dla świń, a to jedzie do Chile, w Chile takie jedzą, pyszne banany, tylko do Europy pojechać nie mogą” – reaguje Cejrowski, tak naprawdę tłumacząc polskiemu widzowi to, co przed chwilą usłyszał po hiszpańsku. ■

Kilka faktów o Wojciechu Cejrowskim

Odwiedził ponad 60 krajów na sześciu kontynentach. Jest trzecim w historii Polakiem przyjętym jako członek do Królewskiego Towarzystwa Geograficznego w Londynie. Na trasie jego podróży znalazły się m.in. Meksyk, Kuba, Gwatemala, Honduras, Kostaryka, Nikaragua, Salwador, Belize, Kolumbia, Panama, Peru, Brazylia, Wenezuela, Peru, USA, Kanada, Australia, Izrael, Palestyna, Maroko, Tajlandia. Najczęściej jeździł do amazońskiej dżungli, dokumentując zwyczaje Indian i Metysów. Meksyk nazywa miłością swojego życia. Ma

dom w Arizonie. Swoje podróże opisał w książkach: „Podróżnik WC”, „WC na końcu Orinoko”, „Gringo wśród dzikich plemion”, „Rio Anaconda”, „Wyspa na prerii”. „Rio Anaconda” znalazła się na listach bestsellerów. W pierwszym miesiącu sprzedano 15 tys. egzemplarzy. „Gringo wśród dzikich plemion”, według danych na marzec 2015, rozszedł się w liczbie pół miliona egzemplarzy. Świat opowiedziany przez Cejrowskiego można obejrzeć w reportażach telewizyjnych z cyklu „Boso przez świat” oraz „Wojciech Cejrowski. Boso”. Podróżnik zabiera widzów m.in.

do Meksyku (odcinki „Największe miasto świata”, „Mariachi – uliczna balanga”), Hiszpanii („W krainie flamenco”), Namibii („W krainie duchów”, „Polowanie z Buszmenami”), Ziemi Świętej („Opowieści biblijne”). Cejrowski jest także komikiem. Rocznie tylko w Polsce daje 50 występów w formie stand-up comedy, sprzedając 20 tys. biletów i wypełniając średnio 95 proc. sali. Wojciech Cejrowski prowadzi również sklep kolonialny, w którym, oprócz książek i płyt, można kupić koszulę egzotyczne, kosmetyki naturalne czy yerba mate. ©

■ A jednak dziennikarz Gazety.pl także tutaj dostrzegł najwyraźniej europocentryzm: „Rozumiecie, banany dla świni, a to jednak w Chile zjedzą, hehehe. Poziom żartu pijanego wuja na świętach. Slabo” – pisze, choć przecież był to żart latynoskich robotników, który polski podróżnik tylko przetłumaczył.

„Jedyną skuteczną metodą dla białego chodzenia w tłumie murzyńskim tutaj jest iść »na rympał«. Oni się wszyscy rozstępują. Do dzisiaj mają to we krwi” – tego cytatu autor artykułu nie komentuje w żaden sposób, tak jakby było oczywiste, że to dowód na jakiś radykalny europocentryzm Cejrowskiego. Bez konkretnego uzasadnienia przytacza też opowieść o tym, jak to podróżnik myje Indianom głowy szamponem koloryzującym, bo „lubią takie sztuczki” i potem „cieszą się tygodniami”, że zmienili kolor włosów. Według dziennikarza Gazety.pl „to zwyczajnie kiepsko brzmi”, ponieważ „to są normalni ludzie, którzy właśnie zostali upupieni, bo mieszkają w środku dżungli i przyszedł do nich biały

Cejrowski, jako katolik, nie ukrywał w nim swojego radykalnie negatywnego stosunku do buddyzmu. Jednak obiektem jego krytyki byli przede wszystkim turyści z Europy, którzy brali udział w obrzędach religijnych, o których nie mieli pojęcia. To ich nazwał głupimi ludźmi.

Apel do Cejrowskiego o zmianę narracji poparł również Adam Szostkiewicz z „Polityki”. Lewicowy publicysta poświęcił prawicowemu podróżnikowi wpis na swoim blogu „Gra w klasy”. „Masz dość drwin, prostackich dowcipów, przekłamań i zwykłego rasizmu, podpisz list” – zachęca Szostkiewicz. Jak zaznacza, podpisuje się pod apelem „jako dziennikarz i jako obywatel, a także jako szef kapituły Nagrody im. Beaty Pawlak, która powstała po jej tragicznej śmierci w zamachu islamistycznych terrorystów”. Nagroda przyznawana jest polskim autorom piszącym w duchu poszanowania kultur i religii. „Znałem Beatę Pawlak osobiście. Z pewnością także ona przyłączyłaby się do apelu o podró-

sens podróżowania wiąże się z akceptacją różnorodności, a nie jej wyśmiewaniem z pozycji wyższości białego człowieka z Europy i Polski” – peroruje Szostkiewicz, wyrażając jednocześnie nadzieję, że przemianie, personifikowana przez Cejrowskiego, moda na antymulti-kulti.

HEJT Z ZAZDROŚCI

Jan Pospieszalski nie zgadza się z tezą, jakoby Wojciech Cejrowski pogardzał ludźmi, o których opowiada. – Powiedziałbym, że raczej afirmuje styl życia Indian, pokazując, jak bardzo atrakcyjne są ich zwyczaje, jak mądry jest ich sposób patrzenia na świat – przekonuje dziennikarz. – Jego europocentryczne spojrzenie jest uczciwe. Jako człowiek wychowany w polskiej kulturze, mocno przywiązany do wartości takich jak katolicyzm czy patriotyzm, konfrontuje te wartości z rzeczywistością, o której opowiada. I właśnie to porównanie jest niezwykle ciekawe – dodaje.

Pospieszalski nie dziwi się atakom lewicowo-liberalnych mediów na Cejrowskiego: – Te środowiska, szermując hasłami tolerancji, tak naprawdę dążą do zniszczenia przeciwnika. Wojtek jest niezwykle popularny, jego pasja podróżnicza, nieprzeciętne kompetencje językowe, umiejętność nawiązywania kontaktów ponad podziałami kulturowymi, zasięg jego podróży oraz oglądalność jego programów niewątpliwie budzą zazdrość, dając dodatkowy powód do hejtu – mówi.

– Dziwne jest pisanie apelu o zmianę narracji o świecie do człowieka, który tak naprawdę pomaga nam ten świat poznać i zrozumieć. Jeżeli komuś nie podoba się sposób, w jaki Wojciech Cejrowski opowiada o konkretnym miejscu, może sam tam pojechać i opowiedzieć o nim inaczej, jeśli oczywiście ma wystarczająco dużo charyzmy. Jeśli ktoś nie zgadza się z ideami Dostojewskiego, to nie pisze listu otwartego w sprawie Dostojewskiego, tylko własne dzieło, w którym podejmuje polemikę z pisarzem – komentuje w rozmowie z „Do Rzeczy” Krzysztof Skowroński, prezes Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

– Krytycy Cejrowskiego nie potrafią zrozumieć, jakim cudem człowiek o jego poglądach może być dla wielu Polaków autorytetem w dziedzinie poznawania świata. Te ataki są więc częścią większego krajobrazu batalii ideologicznej, z jaką mamy do czynienia. Jednak Cejrowski mierzył się już w swoim życiu z groźniejszymi przeciwnikami i zawsze dawał radę – dodaje.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Właśnie za zaangażowanie ideowe Wojciech Cejrowski najczęściej bywa krytykowany

podróżnik, który następnie ich opisze ku ucieście innych »cywilizowanych« ludzi daleko stąd”.

Następny przykład: w Buenos Aires Cejrowski pluje na chodnik i wylewa resztki yerba mate do studzienki kanalizacyjnej. Skandal! Tymczasem dokładnie tak zachowują się tamtejsi mieszkańcy – w kategoriach argentyńskich to „pełna kultura”. Przyznaje to również dziennikarz Gazety.pl. A jednak stwierdza, że co wolno „lokalsom”, tego nie ma prawa zrobić podróżnik, bo „w niektórych plemionach oddzieliby mu to i owo za »udawanie«, że jest swój”. Zaskakująca troska o zdrowie Cejrowskiego.

Jeszcze bardziej zaskakuje formułowanie pod adresem podróżnika zarzutu o to, że za bardzo naśladuje ludzi, o których opowiada – wydawałoby się, że im bardziej reporter wtopi się w otoczenie, tym rzetelniej może je opisać. To zresztą także dewiza Jacka Hugo-Badera. Nie mówiąc już o tym, że chodziło przecież nie o to, by obrazić „lokalsów”, ale żeby możliwie skutecznie ich zwyczaje zobrazować polskiemu widzowi. Bodaj największe kontrowersje spośród wszystkich odcinków wzbudził ten nakręcony w Tajlandii.

zowanie z szacunkiem dla Innego” – pisze Szostkiewicz.

Publicysta postanowił wykorzystać pamięć zmarłej podróżniczki do ataku na Cejrowskiego. „Wskreszanie” autorytetów i wkładanie im w usta deklaracji, których zza grobu nie są już w stanie potwierdzić ani którym nie są w stanie zaprzeczyć, to praktyka od czasu do czasu stosowana przez lewicowe media w walce z prawicą. Szostkiewicz pisze, że w rozumieniu Beaty Pawlak opisywanie różnorodności świata było rodzajem misji, nie zaś wyłączną pracą czysto reporterską. Wiele można zarzucić Cejrowskiemu, ale z pewnością nie to, że jego aktywność zawodowa jest pozbawiona „misyjności”. Przecież właśnie za to zaangażowanie ideowe najczęściej bywa krytykowany. Jednak najwyraźniej według lewicowych komentatorów problemem jest to, że misja Cejrowski jest „niewłaściwa”. „Beata na pewno by się zgodziła, człowiek religijny, tak samo jak niereligijny, widzi w [...] zagadce wielokulturowości rodzaju ludzkiego jakiś głębszy, uniwersalny sens, i choćby dlatego zajmuje wobec niej postawę pewnej pokory i szacunku, a nie tylko fascynacji. Tak, prawdziwy



Wejdź już teraz
na www.jamam.pl

MAM Ci coś do opłacenia...

Poznaj MAM – platformę do obniżania rachunków

Kupujesz z MAM
np. ubrania, elektronikę,
produkty spożywcze
lub rezerwujesz wyjazd.

Po każdym zakupie
część złotych wraca
na Twoje Konto
w MAM.

Na koniec **opłacasz**
Złotówkami MAM
rachunki.



25 Złotówek
MAM na start

Do 176 sklepów
w 11 kategoriach

Niższe opłaty
za media



MACIEJ PIECZYŃSKI: Grupa ponad 170 podróżników i dziennikarzy wystosowała do Wojciecha Cejrowskiego apel o zmianę narracji, która ich zdaniem polega na „obrażaniu i wyśmiewaniu ludzi za ich odmienność”. Pan jest podróżnikiem i dziennikarzem, ale pańskiego nazwiska tam nie widzę.

STEFAN CZERNIECKI: Nie podpisałem i nie zamierzam tego apelu podpisywać. Swoją drogą myślę, że pan Wojciech nieźle się uśmieł, czytając ten – nazwijmy to wprost – ideologiczny manifest, krzyk rozpaczliwych ludzi w znakomitej większości o poglądach lewicowych,

materiału tego języka oczywiście nie znają. Bądźmy jednak poważni – przecież taka jest konwencja programu, który jest adresowany do widza z Polski.

W liście czytamy: „Kiedy wybieramy się w podróż, żeby poznawać inne miejsca, ludzi i kultury – ot, po prostu jako podróżnicy – zabieramy ze sobą nie tylko ciekawość, ale też empatię i właśnie szacunek. Nie czujemy się lepszymi, bo jesteśmy z Europy. Nie mówimy, że nie kolegujemy się z innowiercami, bo to niebezpieczne. Nie wspieramy podziałów i dyktatur. Szczerze i z serca – chcemy zrozumieć

z nimi nic wspólnego. Dlatego uważam, że jeżeli pan Wojciech wierzy w Boga i w Maryję, jeżeli nie zamierza bić pokłonów przed Mahometem, Buddą czy innymi bóstwami, to dlaczego ma o tym nie mówić?!

Może dlatego, że podróżnik powinien przede wszystkim opowiadać o świecie takim, jaki jest, bez filtrów ideologicznych?

Pamiętajmy, że każdy z nas ma swoje poglądy, swoje wartości, które wyznaje. Pismo Święte nakłada obowiązek mówienia o Bogu tym, którzy

Jednak bez choćby odrobiny otwartości nie da się poznać świata.

Pamiętam, jak atakowano pana Wojciecha za odcinek „Boso...” o Tajlandii. Rozmawiałem z nim potem na ten temat. Tłumaczył mi, że własną wiedzę o buddyzmie uzupełnił wyjaśnieniami mnicha buddyjskiego, z którym rozmowa była przecież częścią programu – każdy widz mógł ją usłyszeć i wyrobić sobie własne zdanie. Nie było tam żadnej manipulacji. I to jest właśnie rzetelność: podróżnik opiera się na swojej wiedzy, oddaje głos autochto-



Ze Stefanem Czernieckim, podróżnikiem i dziennikarzem rozmawia Maciej Pieczyński

Podróżnik bez poglądów jest nudny



którym się wydaje, że mają monopol na sposób opowiadania o podróżach.

Czy uważa pan, że Cejrowski nie „obraża” i nie „wyśmiewa ludzi za ich inność i odmienność”?

Faktycznie zdarza się, że pan Wojciech kreuje się na kogoś, kto zawsze wie więcej i lepiej. Taki już ma charakter. Trzeba nam z tym żyć. Jest przy tym mistrzem dyalektyki – potrafi skutecznie przekonać do każdego argumentu. Znamy się prywatnie i niejednokrotnie się spieraliśmy. Jako człowiek o silnej osobowości nie lubi też przyznawać się do błędów. Jednak ja nigdy nie zauważyłem, żeby traktował z góry Indianina, tubylca, mieszkańca kraju, o którym akurat kręci program podróżniczy. Być może autorzy listu odnieśli takie wrażenie, ponieważ pan Wojciech mówi do kamery po polsku, a towarzyszący mu bohaterowie

drugiego człowieka. Otwieramy się na świat i ludzi”. Brzmi pięknie.

Piękna idylla (śmiejcie się). A właściwie utopia. Typowy przykład myślenia tego środowiska. Właśnie dlatego przestałem jeździć na festiwale podróżnicze, na których kiedyś często występowałem, opowiadając o swoich wyprawach. Na tego typu imprezach dominuje lewicowa narracja. Dlatego dopóty, dopóki opowiadałem o różnych przygodach, publiczność dobrze się bawiła, słuchała z zainteresowaniem. Jednak gdy tylko zaczynałem mówić o pochodzących z innych kultur zagrożeniach duchowych, gdy przestrzegałem przed jogą, magią czy okultyzmem, zazwyczaj robiło się nerwowo – niektórzy wstawali i demonstracyjnie opuszczali salę w proteście przeciwko moim poglądom. I to jest właśnie ta lewicowa tolerancja! Jestem katolikiem, boję się innych religii i nie chcę mieć

w niego nie wierzą. Dlatego pan Wojciech, jako katolik, nie może udawać, że przyznaje rację buddystom, szamanistom czy muźulmanom, bo w ten sposób zaprzeczyłby własnej religii. Bardzo szanuję tę jego bezkompromisową postawę i w pełni się z nią zgadzam. Nie widzę w tym żadnej wyniosłości, tylko wierność swoim ideałom. Szczerze mówiąc, niesamowicie wkurza mnie stereotyp podróżnika jako osoby bezgranicznie otwartej na świat, propagującej równość i tolerancję. Niestety, taki obraz się ugruntuwał. Znam wielu ludzi, którzy zwieździli pół świata, przewędrowali zamarznięty Bajkał, przeszli Himalaje, przeżyli mnóstwo świetnych przygód, ale wolą być nazywani wędrowcami czy eksploratorami, bo „podróżnik” kojarzy im się z lewackim bełkotem o związkach partnerskich i prawach LGBTQ. To symptomatyczne.

nom, przedstawia ich perspektywę, a następnie, siłą rzeczy, nadaje całości własną interpretację, zgodną z własnymi poglądami, bo przecież ma swój mózg, swoją wolę, swój sposób patrzenia na świat. Od tego się nie ucieknie. Oczywiście można próbować wcielać się w rolę obiektywnego obserwatora i udawać, że jest się czystą kartką, na której da się zapisać każdą treść, w imię pochwały inności. Jednak, niezależnie od kwestii wierności poglądom, taka bezstronna narracja byłaby strasznie nudna. Widzę po reakcjach czytelników moich książek i widzów mojego programu, że oczekują ode mnie emocji, wyrazistości, tej esencji. Chcą wiedzieć, czy coś, co opisuję, podoba mi się, czy nie. Tutaj już wchodzimy w sferę filozofii – optyka, nakierowana na konkretny przedmiot, musi mieć też swój podmiot. Czyli: opis podróży po konkretnym

kraju musi mieć swojego autora, a ten autor ma swoje poglądy, od których odcięcie się nie jest możliwe.

Jak opowiadać o innych kulturach w sposób rzetelny, ale z zachowaniem wierności własnym poglądom?

Opowiem przygodę, którą przeżyłem w dżungli na granicy kolumbijsko-wenezuelskiej. Płynęliśmy pirogą do indiańskiej wioski na spotkanie z lokalnym szamanem. Zaproponował nam wspólne wypalenie fajki, która miała nas omamić, wywołać halucynacje. Po krótkiej refleksji i walce własnego sumienia z ciekawością musiałem odmówić. Gdybym się zgodził, z pewnością zdobyłbym świetny, unikatowy materiał na reportaże. To byłby hit, bestseller! Jednak szczerze bałem się spróbować. Powiedziałem, że niestety nie mogę zapalić, gdyż nie pozwala mi na to moja religia. Szaman zrozumiał, odłożył fajkę i zapewnił, że nie ma problemu. Nie wiem, co się stało później z tym człowiekiem, czy się może kiedyś nawrócić, czy też nie, ale moim zdaniem tak właśnie powinna wyglądać zdrowa „otwartość na świat”. Bez obrażania, bez poniżania, ale też w zgodzie z własnym światopoglądem. Tak właśnie moim zdaniem o świecie opowiada Wojciech Cejrowski.

Podpisani pod listem podróżniczym zarzucają mu europocentryzm. Czy to coś złego?

Przepraszam, ale czy my jesteśmy Azjatami albo Amerykanami?! Żyjemy w Europie, w Polsce, w kraju, który ma konkretne tradycje. Nasi dziadkowie i rodzice wychowali nas w ten, a nie inny sposób. Na wakacje jeździliśmy nad Morze Bałtyckie, w Tatry, na Suwalszczyznę... Zachody słońca oglądaliśmy nad mazurskim jeziorem, a nie w amazońskiej dżungli. Mieszkaliśmy w blokach i kamienicach, a nie w chatkach na drewnianych balach

w Kambodży. Siłą rzeczy jesteśmy ukształtowani przez świat, z którego pochodzimy, który od dziecka oglądaliśmy. Odbieramy bodźce przez pryzmat tego, co już wcześniej odczuwaliśmy. Myślę, że każdy polski czytelnik czy widz, czytając czy też oglądając relację polskiego podróżnika, oczekuje od niego porównań do rzeczywistości, którą zna. Wysokość wieży w Kuala Lumpur jest w stanie sobie wyobrazić, jeśli zestawimy ją np. z wysokością wieży Pałacu Kultury. Bez tego typu porównań odbiorca opowieści jej nie zrozumie.

Dlaczego większość znanych podróżników to ludzie o poglądach lewicowych?

To część szerszego zjawiska. Od ponad 20 lat kultura w Polsce znajduje się w rękach lewicy. Ludzie prawicy muszą rozpychać się łokciami, żeby dotrzeć do odbiorcy. To o tyle niesprawiedliwe, że przecież społeczeństwo mamy raczej konserwatywne. Wierzę, że istnieje Bóg, ale istnieje też diabeł, który chce naszej zguby, i w tym celu zagłusza chrześcijańską wizję świata, którą głosimy. Domyślam się, że po tym wywiadzie ja też dostanę łatkę „faszysty” i „mohera”, trudno.

A może po prostu ludzie o poglądach prawicowych nie mają aż takiej potrzeby poznawania innych kultur?

Ależ ja uwielbiam różnorodność – jeśli, oczywiście, poznaję ją w podróży, a nie we własnym domu. Moją motywacją do wędrowania była właśnie chęć poznania czegoś, czego nie doświadczę w swoim kraju. Po tym, jak zobaczyłem nasze obłe Beskidy Śląskie, zapragnąłem na własne oczy się przekonać, jak wygląda patagońska turnia. Zapach sprzedawanych w Warszawie perfum chciałem porównać z zapachami indiańskiej wioski. Na Boga, przecież nie trzeba się wyrzekać własnej tożsamości, żeby poznać inny

świat! Dlatego nie rozumiem tej zachodniej, typowo lewicowej mody na buddyzm, na chodzenie w muzułmańskich czapczkach kufi itd. Mam wrażenie, że ludziom, którzy temu ulegają, nie chodzi o poznanie obcej kultury, ale o wyrzeczenie się kultury własnej. Gdyby tak rzeczywiście było, oznaczałoby to przeraźliwie smutną sytuację.

Wśród sygnatariuszy apelu są m.in. Elżbieta Dzikowska, Andrzej Stasiuk, Jacek Hugo-Bader, Aleksander Doba... Co pan sądzi o ich dokonaniach?

Nie da się ukryć – wielu z nich w swojej podróżniczej karierze odniosło prawdziwy sukces. Są znani, rozpoznawani... Jednak żadne dokonania nie uprawniają ich do tego, by z góry pouczać innych. Choćby podróżników.

Czyby brakowało im tolerancji?

Od dawna wiadomo, że rzekoma „tolerancja” ludzi o poglądach lewicowych to

mit. Cóż, trzeba im przebaczać i modlić się za nich. A jednocześnie walczyć dalej o rząd dusz i dominację w świecie kultury. Niestety, tę walkę na razie przegrywamy.

Wojciech Cejrowski, pomimo ataków, jest wciąż niezwykle popularnym autorem książek i programów podróżniczych. Na jego występach sale pękają w szwach. Może więc ataki wynikają też z zazdrości?

Przyznaję, że jako młody chłopak też panu Wojciechowi zazdrościłem i szukałem na siłę błędów w jego książkach (śmiech). Rozumiem więc, że krytykującym go podróżnikom może również o to chodzić. Myślę jednak, że główny powód ataków jest inny – front lewicujących sił przegrał już walkę o władzę polityczną, przegrał walkę o wpływy w społeczeństwie, dlatego tak kurczowo trzyma się swojego ostatniego szafica – kultury.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że 13 września 2018 r. zmarł w Lublinie



**pptk Zbigniew Matysiak
ps. Kowboj, Dym**

urodzony 26 marca 1926 r. w Lublinie.

Od marca 1944 r. żołnierz Armii Krajowej
w Lubelskim Okręgu AK.

W lipcu 1944 r. uczestniczył w akcji „Burza”.

Od kwietnia do września 1945 r. żołnierz Ruchu Oporu Armii Krajowej w Oddziale „Juranda” w składzie Zgrupowania „Zapory”. Uczestnik starć z siłami komunistycznego aparatu bezpieczeństwa. Aresztowany w kwietniu 1946 r., następnie więziony w lubelskim areszcie przy ul. Krótkiej, na Zamku Lubelskim oraz w Sieradzu. W kwietniu 1947 r. zwolniony na mocy amnestii.

Zasłużony sportowiec i trener,
wielokrotny mistrz Polski w rajdach motocyklowych.
U honorowany Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski
oraz innymi odznaczeniami.

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym.
Cześć Jego Pamięci!

**Jan Józef Kasprzyk
szef Urzędu do spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych**

Myśliciel z Genewy postawił tezę, że człowiek rodzi się z natury dobry, a jedynie cywilizacja i postęp pchają go ku złym instynktom.

Takie poglądy były początkiem jego całej działalności pisarskiej. Gdy w 1750 r. akademia w Dijon rozpisała konkurs na pracę mającą odpowiedzieć na pytanie: „Czy odnowienie sztuk i nauk przyczyniło się do odnowienia obyczajów?”, traktat Rousseau zdobył pierwszą nagrodę. Pisał w nim: „Usuńcie ten nieszczęsny postęp, zabierzcie nasze błędy i nałogi, zabierzcie wytwory cywilizacji, a wszystko będzie dobre”.

W swoich kolejnych dziełach obwinił cywilizację i postęp o istniejące zło świata, równocześnie rzucał hasła powrotu do natury. Jak wskazywał, wszelkie ograniczenie naturalnych intuicji i popędów przez cywilizację prowadzić musi do degradacji moralnej. Krytykował własność prywatną, która w jego opinii była źródłem nierówności, a w konsekwencji powodem zazdrości, przemocy i tyranii.

Skoro własność, cywilizacja i konwenans były złe, to jasne stawało się, że najlepsi ludzie to ci żyjący poza cywilizacją. Rousseau, który nigdy nie ruszył się poza Europę, stworzył wyobrażenie osób pierwotnych jako czystych, prawych, wrażliwych. Ludzie ci dopiero po wejściu w krąg cywilizacji nasiąkają złem i podłością.

Po karierze, jaką zrobiły traktaty Rousseau, spopularyzowało się określenie „bon sauvage”, czyli „szlachetny dzikus”. Sam Rousseau tego nie wymyślił, ba nie użył go nawet w swoich tekstach. Ten koncept pojawiał się już wcześniej – jako kontrpunkt dla krytyki wad Europejczyków. Pisarz Michel de Montaigne w swoim esej „O ludożercach” przyznaje, że mieszkańcy Amazonii są wprawdzie kanibalami, jednak za o wiele bardziej barbarzyńskie uznaje palenie ludzi w Europie z powodu herezji. I orzeka: „Każdy nazywa barbarzyństwem wszystko to, do czego nie jest przyzwyczajony”. Innym filozofem, który idealizował stan pierwotny jako wcielenie niewinności i cnót, był lord Shaftesbury (1671–1713).

Rousseau wszystkie te istniejące wcześniej koncepty „pochwały dzikości” wzmocnił i spopularyzował w stopniu wcześniej niespotykanym.

WYRWANIE Z CIEMNOŚCI

Na czym jednak polegała ta zmiana w myśleniu elit Europy? Genewski filozof



Piotr Semka

Jak wykazuje treść listu podróżników do Wojciecha Cejrowskiego, mimo upływu 240 lat od śmierci Jeana-Jacques'a Rousseau jego idee zdają się być zaskakująco żywotne. Czy nie powinniśmy oceniać innych kultur?

„Szlachetny dzikus” i jego mit

zrywał z chrześcijańskim założeniem grzechu pierworodnego, który był założeniem przekonania o niedoskonałości człowieka, który nie zna lub odrzuca Boga. Setki lat wierzone, że dopiero chrzest zmywał grzech pierworodny.

Gdy Hiszpanie zdobywali władzę nad Ameryką czy Portugalczycy obejmowali kolonie w Azji – towarzyszący im zakonicy uznawali ludzi żyjących w dzikości za stworzenia Boże, które jednak wymagały chrztu. Tubylcy mogli mieć niektóre cechy dobre i godne szacunku, ale obowiązkiem władzy było wyrwanie ich z ciemności po-

gaństwa i przyzwyczajanie do cywilizacji. Te założenia przekreślały często podłości i zbrodnie konkwistadorów, ale założenie było jasne.

Rousseau to wszystko przekreślił.

Niektórzy pisarze starali się pogodzić jedno z drugim. Tak czynił François Chateaubriand, którego powieść „Atala, czyli miłość dwojga dzikich na pustyni” opowiadała o tym, jak Indianka z francuskiej Luizjany przyjmuje wiarę w Jezusa i wiedzie ku nawróceniu swego uratowanego od śmierci ukochanego, też Indianina. Nawrócenie występuje tu jako dopełnienie

szlachetnych cech mających korzenie w naturalnych instynktach.

Jednak wszyscy Europejczycy, którzy kolonizowali kraje Azji i Afryki, wiedzieli, że zastane społeczeństwa miały obyczaje, które nie sposób było białym zaakceptować. Kolonizatorzy nie mieli szczęścia do pisarzy, którzy sportretowali takie sytuacje. Kazimierz Dzierżanowski w książce „Brzemie białego człowieka” opisuje postać brytyjskiego gubernatora Indii, Warrena Hastingsa, który w drugiej połowie XVIII w. wydał w swej kolonii ostrą walkę dwóm zjawiskom: paleniu żon po śmierci mężów i działalności sekty wyznawców bogini Kali, którzy na chybił trafił mordowali niewinnych ludzi w ofierze. Hastings konsekwentnie karał za takie praktyki śmiercią. Gdy odwiedziła go delegacja braminów przeciwna egzekucjom i argumentująca, że hindusi mają taki zwyczaj – Brytyjczyk oschle odparł: „A my mamy zwyczaj karać morderców strykiem”.

Hastings jasno dał znać, że są granice akceptowalności lokalnej tradycji. Nie oznaczało to, że Brytyjczycy chcieli zbyt daleko ingerować w miejscowe zwyczaje. Pozostawili strukturę władzy maharadzów i interweniowali tylko tam, gdzie w ich opinii było to niezbędne. Takich wyraźnych „nie” dla zjawisk zbrodniczych w europejskim rozumieniu było więcej, ale dziś, gdy kolonializm przedstawia się jako pasmo zbrodni, rzadko się je wspomina. Kto pamięta, że Francuzi ukrócili w Afryce potężne wpływy handlarzy niewolnikami, że Brytyjczycy umożliwili ponadkontynentalny handel morski, tępiąc piractwo, a Francuzi i Belgowie skutecznie walczyli z kanibalizmem.

Oczywiście biali kolonizatorzy, na czele z urzędnikami króla Leopolda w Kongu czy Niemcami w Namibii, dopuszczali się też zbrodni na tubylcach. I wtedy obrońcy „szlachetnych dzikich” zamieniali się w rzeczników „nieszczęśliwych dzikich”. Tyle że skupienie się na czynach „białych ludzi” tym mocniej spychało w cień pewne szokujące cechy niektórych plemion. Albo sposoby myślenia o etyce, takie jak ten, który Henryk Sienkiewicz utrwalił jako „moralność Kalego”.

Odpychającymi zwyczajami nie chwaliły się zbyttno władze kolonialne, bo to one teraz odpowiadały za rozwój podległych sobie ludów. Milczeli też misjonarze, bo ci wierzyli, że z czasem wiara odmieni najbardziej szpetne praktyki.

Jednak „bon sauvage” – „szlachetny dzikus” – był atrakcyjny dla literatów, którzy wiedzieli, że europejski czytelnik jest ciekawy wszystkiego, co obce i nieznanne. Na tej zasadzie powieści Karola Maya (1842–1912) wylansowały pełnego najwyższych cnót Indianina Winnetou, który wraz z dobrym kowbojem Old Shatterhandem walczy ze złymi białymi i niekiedy złymi czerwonoskórymi. W nowszych ekranizacjach starannie pominięto fakt, że wołał Maya książkowy Winnetou przyjmując w jednej z powieści chrześcijaństwo.

Na palcach jednej ręki można policzyć próby polemiki z idealizacją tubylców z odległych krain. Jednym ze śmiałków był Charles Dickens, który w 1851 r. w eseju zatytułowanym „Szlachetny dzikus”, wyraził odrazę do Indian i do ich sposobu życia. Wskazywał, że Indianie są brudni, okrutni i bezustannie walczą między sobą. Na Dickensa posypały się głosy potępienia, choć wielu z krytyków pisarza nigdy nie było w USA. Dla odmiany Dickens w 1842 r. odbył podróż po Ameryce.

Mody intelektualne XIX w. już szły w innym kierunku. Wraz z rozwojem antropologii społecznej Amerykanin Franz Boas (1858–1942) postawił tezę, że nie ma sensu porównywanie kultur Afryki czy Azji do europejskich norm cywilizacyjnych. Jego teoria relatywizmu kulturowego zakładała, że kultury nie mogą być obiektywnie oceniane jako lepsze lub gorsze. Według Boasa należy przyjąć, że ludzie z poszczególnych kultur widzą świat poprzez pryzmat własnych, przyswojonych norm kulturowych. Zadaniem antropologii musi być zrozumienie, w jaki sposób kultura warunkuje postrzeganie i rozumienie świata przez ludzi, a nie ich ocena.

Popularyzacji takich idei sprzyjały trzy trendy myślenia w XIX i XX w. Pierwszym była laicyzacja społeczeństw zachodnich, która osłabiła nawracanie ludów Trzeciego Świata. W wielu wypadkach misjonarze traktowani byli jako kłopot, a nie wsparcie dla budowy kolonii.

Po drugie, wraz z popularyzacją idei Karola Marksa postępową inteligencją zaczęła widzieć w kolonizatorach awangardę imperializmu i kapitalizmu. Mieszkańcy państw kolonialnych awansowali do tej samej grupy co robotnicy – uciemiężonej klasy, która winna być obiektem emancypacji.

Kwestionowano i wyśmiewano wysiłek cywilizowania tubylców: albo minimalizując jego znaczenie, albo przedstawiając

go jako zasłonę dymną dla kolonialnego wyzysku.

Obu tym trendom sprzyjał trzeci – skłonność Zachodu do samooskarżania się. I dopiero na tym gruncie Rosja sowiecka rzuciła hasło rewolucji ludów kolonialnych jako dopełnienie światowej rewolucji. Od tej chwili wyobraźnię postępowej opinii publicznej wypełnili bojownicy walki z kolonializmem. Tubylcy byli w relacjach o tej walce z definicji szlachetni, a biali kolonizatorzy zawsze podli i zdegenerowani. Owszem, były i irytujące kontrwzorce w kulturze popularnej międzywojnia – o wiernych Zulusach i Gurkach, odważnych askarysach i algierskich Beduinach – patriotach Francji. Ten świat znikł jednak wraz z powojenną dekolonizacją.

ZGUBNA POPRAWNOŚĆ

W Polsce idealizację walki herosów Trzeciego Świata z imperializmem podjął Ryszard Kapuściński, który oszczędzał mieszkańcom PRL informacji o okrucieństwie czerwonej guerilli w Angoli czy neostalinowskich eksperymentach marksistowskiego dyktatora Etiopii – Mengystu Hajle Marjama.

Poprawność polityczna kazała pisać na Zachodzie o zbrodniach US Army, ale milczeć o okrucieństwie Wietkongu w Wietnamie. Dzięki temu parasolowi ochronnemu mediów na Zachodzie świat dowiedział się o ludobójstwie reżimu Pol Pota dopiero wtedy, gdy komunistyczny Wietnam pokonał maoistowską Kambodżę, a Moskwie było na rękę skompromitować sojuszników Pekinu.

Swoje grzechy mieli też Amerykanie, którzy w epoce Reagana milczeli o islamskim fanatyzmie bojowników w Afganistanie dopóty, dopóki ci dzielnie walczyli z sowiecką okupacją.

Dzisiaj zasada nieoceniania innych kultur wkroczyła już na teren zachodnich państw. Coraz częściej słyszymy, że nie wolno oceniać kultur przy polityce imigracyjnej. A tam, w krajach Zachodu, gdzie już są duże wspólnoty muzułmańskie – zdarzają się przypadki uznawania, że państwo winno uznawać wyroki szariackie i akceptować wielożenstwo.

Gdyby Rousseau żył, pewnie przekornie pytałby nas dziś na łamach „New Yorkera”: Skąd przekonanie Europejczyków, że wielożenstwo jest złe? I skąd się bierze ich pycha, że lepiej wiedzą, co jest dobre, od przybyszów z Kabulu czy Mogadyszu?

MARCIN MAKOWSKI: Czy za miesiąc czekają nas najważniejsze wybory samorządowe w historii III RP?

DR BARTŁOMIEJ BISKUP: Nie sądzę. To raczej myślenie życzeniowe części polityków i publicystów, którzy chcieliby widzieć w wynikach kampanii samorządowej rozstrzygnięcia o skali dziejowej. Oczywiście wszyscy mamy świadomość, że to początek tzw. czteroboju, dlatego głosowanie w październiku i listopadzie może wyznaczyć trend w wyborach europejskich, parlamentarnych i prezydenckich. Tak się już jednak w przeszłości zdarzało, np. w cyklu głosowań w latach 2001–2002.

A może ich „wyjątkowość” polega na skali przenoszenia polityki ogólnopolskiej na grunt regionalny?

Jeżeli chodzi o polaryzację polityczną, to zjawisko zaczęło narastać od 2005 r., z wyraźnym pogłębieniem w 2010 r. Obecne narracje wyborcze są jedynie wariacją na temat dychotomii posmołejskiej. Prawdziwą wagę starcie samorządowe uzyskałoby wtedy, gdyby któraś ze stron poniosła spektakularną klęskę albo uzyskała widowiskowe zwycięstwo. Dla obozu władzy stawką jest jej umocnienie i kontynuowanie kursu, który – jak zapowiedział Jarosław Kaczyński – nie zrealizuje się krócej niż podczas dwóch kadencji. Dla opozycji porażka w sejmikach i kilku większych miastach oznaczałaby pożegnanie się z perspektywą przejęcia sterów na najbliższe lata. Byłbym jednak ostrożny z nadmuchiowaniem balonika oczekiwań, ponieważ wybory samorządowe mają to do siebie, że często brakuje im jednoznacznych rozstrzygnięć, a każda ze stron może się czuć w pewnej mierze wygrana.

Jaki wynik będzie można traktować w kategorii realnego zwycięstwa PiS? Politycy partii rządzącej studzą emocje, ale widać, że apetyt rośnie w miarę jedzenia.

Dzisiaj trudno przewidzieć, ponieważ wszystko zależy i tak od zdolności koalicyjnych poszczególnych partii oraz komitetów na poziomie lokalnym. W ciemno możemy jednak założyć, że bez względu na szczegółowe rozstrzygnięcia PiS ogłosi zwycięstwo, bo będzie rządził w więcej niż jednym sejmiku wojewódzkim. Czyli zwiększy swój stan posiadania przynajmniej o 100 proc.

Przypomnijmy – do tej pory, pomimo wygranej w pięciu województwach w wyborach z 2014 r.,



Z dr. Bartłomiejem Biskupem, politologiem z Uniwersytetu Warszawskiego rozmawia Marcin Makowski

PSL przeżyje prawdziwe trzęsienie ziemi

samodzielną większość PiS uzyskał jedynie na Podkarpaciu.

Tymczasem – jeśli wierzyć sondażom – w 2018 r. partia Kaczyńskiego może liczyć na dwa, a w optymistycznym wariantcie nawet cztery sejmiki. Zwykłą

większość da się zapewne wywalczyć w dziewięciu. W każdym rozdaniu będzie to znaczące zwiększenie stanu posiadania, nawet pomimo wkalkulowanej w bilans zysków i strat porażki w większych miastach. Jeśli jednak dodamy do

Doktor Bartłomiej Biskup: „Premier Morawiecki ewoluje na naszych oczach w kierunku prawdziwego lidera partyjnego, być może z czasem następcy Jarosława Kaczyńskiego”

FOT. MAREK ŁASYK/REPORTER



wiedzi np. marszałka Struzika, który nie wyklucza żadnej opcji, bo wie, jak działa polityka. Podobnie jest z SLD, który ustami Włodzimierza Czarzastego rzuca gromy na burzycieli demokracji, ale gdy przyjdzie co do czego, Sojusz może wejść w taktyczne umowy z PiS, bo obie partie są w sferze społecznej socjalistyczne. Skoro Patryka Jakiego mógł poprzeć lewicowy Piotr Guział, to znaczy, że oba środowiska przyparte do muru będą skłonne do współpracy.

Jakie sejmiki i województwa mogą być polskimi swing states?

Na pewno województwa łódzkie, dolnośląskie, może po części kujawsko-pomorskie i ewentualnie Opolszczyzna. Na te regiony zwróciłbym szczególną uwagę, obserwując zmianę nastrojów w stosunku do 2014 r.

Myśli pan, że ewentualne przetasowania mogą wynikać również z faktu „przeszacowania” wyniku PSL podczas ostatnich wyborów, związanego z nieprawidłowościami wyborczymi i źle skonstruowaną książeczką wyborczą? Mówiąc prościej: czy korekta na rzecz PiS odbędzie się kosztem ludowców?

Nie ma co do tego wątpliwości. W sejmikach PSL przeżyje prawdziwe trzęsienie ziemi, będzie miało ono dużo mniej radnych, a brutalna arytmetyka polityczna pokaże, że czasami jedyną koalicją, w którą będą mogli wejść – i tutaj wracam do mojej wcześniejszej myśli – będzie koalicja z PiS. Bez względu na to, co dzisiaj zapowiada Władysław Kosiniak-Kamysz.

Porozmawiajmy o języku kampanii. Koalicja Obywatelska ruszyła do boju z serią billboardów pod hasłem: „PiS wziął miliony”. Tabloidowy przekaz okaże się pana zdaniem skuteczny?

Badania moich kolegów i koleżanek z Uniwersytetu Warszawskiego pokazują, że poziom tabloidyzacji dyskursu publicznego faktycznie rośnie i przynajmniej od lat jest to wzrost stały oraz miarowy. Może dlatego akcja opozycji specjalnie mnie nie zaskoczyła, ale odbieram ją jako wyraz bezradności, a nie skuteczności. Platforma, nie mając recepty na oryginalną komunikację, w pewnym sensie skopiowała przekaz PiS z kampanii 2015 r. Nuta populizmu, trochę udawania, że słucha się zwykłych ludzi i rozumie ich problemy, a do tego wyraźny akcent na straszenie przeciwnikiem (pamiętamy przecież o „Polsce w ruinie”). Gdyby jeszcze ten mechanizm przynosił efekty sondażowe, można byłoby przymknąć oko na formę, ale

nawet w słupkach procentowych nie widać wyraźnego wzrostu poparcia dla PO i Nowoczesnej, a najnowsze badania opinii publicznej pokazują wręcz trend odwrotny. Zresztą sama tabloidowość może mieć ogromną siłę oddziaływania, jeśli historia za nią stojąca jest wiarygodna. Tutaj opozycja nie wyciągnęła wniosków ze skutecznej akcji z „Konwojem wstydu”, czyli konkretnymi twarzami polityków PiS i kwotami nagród. Zamiast tego poziom ogólności o „zabranych milionach” czy „wyższych rachunkach”, przy realnym wspomoczeniu budżetów domowych programem „500+”, nie okazał się przekonywujący.

Przyzna pan, że podczas poszczególnych konwencji wyborczych było już jednak lepiej. Przynajmniej oficjalnie na pierwszy plan wysunęły się programy: nowa „piątka Morawieckiego” i „sześciopak” Koalicji Obywatelskiej. Czy jednak w polityce XXI w., opartej na emocjach i osobowościach liderów, programy mają realną wartość?

Czy się to nam podoba, czy nie, programy mają coraz mniejsze znaczenie. O ile kiedyś w wyborach parlamentarnych partie zaczynały od stworzenia podwalin merytorycznych, a dopiero później tworzyły całą resztę swojej tożsamości, dzisiaj ten proces przebiega odwrotnie. Najpierw bada się potrzeby wyborców, potem tworzy strategię kampanii, kreuje liderów, hasła i slogany, a dopiero na piątym, szóstym miejscu, pod sam koniec, ujawnia program. Pewnym wyjątkiem od tego stanu rzeczy mogą być jednak wybory samorządowe, w których konkretność i namacalność programów oraz obietnice wyborczych nadal coś znaczą. Tylko że podobny efekt osiąga się na poziomie mniejszych miast, wsi, powiatów, a nie w trakcie kampanii ogólnopolskiej, która z definicji jest ogólna, a więc nie ma najważniejszego komponentu, który nadal pozytywnie wyróżnia samorządy w kontekście ideologicznego sporu o parlament. Paliwo partyjne może wystarczyć w sejmikach czy metropoliach, ale im niżej, tym słabiej oddziałuje na wyborcę, któremu na koniec dnia zależy na załatwieniu dziury czy przeprowadzeniu rury, a nie utożsamianiu się z PSL czy PiS.

Jak na tym tle ocenia pan projekt Roberta Biedronia, który krok po kroku realizuje wspomniany przez pana scenariusz „najpierw lider, potem program”?

Szczerze mówiąc, dosyć dobrze oceniam pierwsze kroki Biedronia,

tej układanki opcję koalicyjną, to Prawo i Sprawiedliwość może rządzić nawet w sześciu albo siedmiu sejmikach. Przy takiej opcji mówilibyśmy o gigantycznym sukcesie.

Tylko z kim tworzyć koalicję, skoro PSL, SLD oraz Koalicja Obywatelska mówią niemal wprost o samorządowym „kordonie sanitarnym”.

Oczywistą opcją wydaje się Kukiz. Nawet jeśli nie będzie wiele znaczył w regionie, to czasami jeden mandat albo dwa w sejmiku mogą przełożyć się na stworzenie większości. Paradoksalnie, choć kampanijna retoryka na to nie wskazuje, w doraźne koalicje z PiS może wejść również PSL.

To samo PSL, które bije się o życie na wsiach, na które chrapkę ma Mateusz Morawiecki, podbijający „elektorat socjalny”?

W tej chwili obie partie biją się o ten sam elektorat, ale słyszałem już wypo-

Doktor Bartłomiej Biskup

FOT. TELEWIZJA REPUBLIKA



■ zmierzające ku samodzielności politycznej. Widać, że to przemyślany projekt celebrycko-polityczny, w którym motorem napędowym są jego wizerunek i towarzyszące mu emocje. Tu ślubu udzieli, tam rowerem do ratusza pojedzie...

Kiedy indziej spotka się z Magdą Gessler na rynku w Słupsku i zamiesza kocioł bigosu w sylwestra.

Prawda, ale z bigosem czy bez niego Biedroń mieści się w ramach współczesnej polityki. Ważne, że do rozpoznawalności dokłada komponent tzw. objazdu po Polsce, gdzie spotyka się z potencjalnymi wyborcami, przybija im piątki i słucha o ich potrzebach. To w prostej linii przymiarka do stworzenia partii i programu, o którym później będzie mógł powiedzieć, że powstał ze słuchania ludzi. Schody zaczną się jednak przy sprawdzanie wyborczym, którym w pierwszej kolejności mogą być stosunkowo łatwy logistycznie wyścig do europarlamentu, a następnie właściwy test potencjału prezydenta Słupska – bój o parlament. W tej chwili czas działa na jego korzyść, bo nie kandydując do samorządów, zawsze może zwracać uwagę na chochole taniec wojny PO-PiS, mówiąc: „Patrzcie, oni się kłócą, a ja chcę jednej i radosnej Polski”. To może wystarczyć na wprowadzenie swojego ugrupowania, tak jak zrobił to Janusz Palikot, ale wszyscy pamiętają, jak kończył partia, która nie ma za sobą niczego więcej poza wizerunkiem lidera, któremu zaczyna brakować wiarygodności.

Jeśli chodzi o wiarygodność, to przekonuje pana kampanijny premier Morawiecki z podwiniętymi rękawami, przemawiający w małych miasteczkach

o Platformie, która przez osiem lat nie wybudowała żadnych dróg?

Premier Morawiecki ewoluuje na naszych oczach w kierunku prawdziwego lidera partyjnego, być może z czasem następcy Jarosława Kaczyńskiego. Z tego powodu, co oczywiste, musi się czasami ubrać w wiecowe buty i z pozycji menedżera oraz bankowca zejść nieco na ziemię. Czasami to Mateuszowi Morawieckiemu nie wychodzi, ale widać, że przez czas premierowania naprawdę wiele się nauczył i nie boi się ciężkiej pracy. Jest widoczny i aktywny.

Zarówno jednak premier, jak i prezydent, choć ten drugi nie uczestniczy formalnie w kampanii samorządowej Zjednoczonej Prawicy, coraz częściej podnoszą w swoich przemówieniach wątki rozczarowania Unią Europejską. Czy w regionach, gdzie przy co drugiej drodze i nowym przedszkolu stoi tabliczka z napisem: „Współfinansowane ze środków unijnych”, taka retoryka przyniesie dodatkowe głosy?

Wydaje mi się, że ostra retoryka antyunijna może PiS zaszkodzić. Słowa prezydenta o „wymaginowanej wspólnocie” w kontekście Unii traktuję jako wypadek przy pracy. Czym innym jest jednak straszenie przez opozycję polexitem, a czym innym realistyczne podejście do tego, co nam Bruksela daje i ile na tym zyskuje. Myślę, że rządzący powinni raczej akcentować to, że Unia nie jest instytucją charytatywną, dużo zyskała poprzez otworzenie się rynków wschodnich na produkty z Zachodu, dlatego mamy prawo w dojrzały sposób wymagać od niej akceptowania polskiego punktu widzenia, ewentualnie reformować. Przy nadal tak

wysokim poparciu dla Unii w polskim społeczeństwie każda inna opcja wpleciona w tok wyborów samorządowych okazałaby się kontrskuteczna.

Z poziomu wojewódzkiego przejdźmy do miast. W 2014 r. Polacy wybrali 106 prezydentów; w 67 miastach wygrali kandydaci komitetów lokalnych, w 23 – Platforma, w 10 – kandydaci PiS, w pięciu – SLD, a jedno miasto zgrał człowiek z PSL. Po czterech latach proporcje będą podobne?

Na pewno zostanie utrzymane prowadzenie kandydatów niezależnych, pod których często chcą się podczepiać partie polityczne. Nie przewiduję także zepchnięcia na trzecie miejsce podium Platformy. Praktyka polityczna uczy, że jak wielkiego poparcia nie miałyby PiS w regionach, miasta to tradycyjny bastion elektoratu liberalnego i centrolewicowego. W tym sensie dużym sukcesem prawicy byłoby odbicie chociaż jednego fotela prezydenckiego w miastach formatu Warszawy, Krakowa, Łodzi, Poznania czy Gdańska. Myślę, że realnie można powalczyć w stolicy, w której Rafał Trzaskowski oswoił się z myślą o swojej nieprzegrywalności, do kampanii zapraszając nawet Bronisława Komorowskiego. Pamiętajmy przecież, że choć w drugiej turze elektorat głosuje głównie przeciw kandydatowi, to kiedyś w Warszawie wygrał przecież Lech Kaczyński. Jakiemu sporo brakuje do byłego prezydenta RP, ale ma jedną cechę,

Ostra retoryka antyunijna może PiS zaszkodzić. Słowa prezydenta o „wymaginowanej wspólnocie” w kontekście Unii traktuję jako wypadek przy pracy

która może uczynić z niego czarnego konia wyborów. Chodzi o mobilizację elektoratu, który tradycyjnie bojkotuje wybory samorządowe. Jeśli to zadanie się uda, to każdy scenariusz jest możliwy. Nie zapominajmy, że będzie również trzeci kandydat – Jan Śpiewak albo Jacek Wojciechowicz. Od tego, komu przekażą swoje poparcie, może zależeć wynik bitwy o stolicę. A w konsekwencji dalsza stabilność Platformy, która – w przeciwieństwie do PiS – swojej twierdzy oddać po prostu nie może.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Na Kanał Gliwicki powraca intensywna żegluga

Kanał Gliwicki staje się na powrót jednym z głównych szlaków transportowych południowo-zachodniej Polski. Dynamicznie wzrasta liczba jednostek transportowych oraz tonaż towarów przewożonych Odrzańską Droga Wodną na tym odcinku. W sezonie żeglugowym w 2017 roku przez służę Kanału Gliwickiego do końca lipca przepłynęło niespełna 700 jednostek transportowych. W trwającym obecnie sezonie, do końca lipca prześluzowano na Kanale już ponad 3.200 barek i transportowców! Intensyfikacja ruchu w odrzańskich żegludze śródlądowej staje się możliwa dzięki modernizacji służ i szlaku wodnego, które prowadzi Państwowe Gospodarstwo Wodne Wody Polskie na Kanale Gliwickim.



Żegluga śródlądowa odżyje

Odrzańska Droga Wodna ma stać się jednym z kluczowych polskich szlaków żeglugi śródlądowej o znaczeniu międzynarodowym. Stosowne porozumienie europejskie (Konwencja AGN) ratyfikował swym podpisem w ubiegłym roku Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Andrzej Duda. Ministerstwo Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej z końcem bieżącego roku ma przedstawić studium wykonalności dla modernizacji i rozbudowy Odrzańskiej Drogi Wodnej. W ciągu najbliższych 2 lat na rozbudowę jej infrastruktury zaplanowano wydatki na wysokości 2,9 mld zł. Natomiast zgodnie z opracowaną przez MGMIŻ i przyjętą przez rząd strategią rozwoju śródlądowych dróg wodnych, do roku 2030 ma to być w sumie około 30,7 mld zł.

Obecnie w Polsce jedynie 0,4 procent transportu odbywa się drogą wodną (dla porównania transport drogowy to aż 86 procent). Wkrótce te proporcje mają się zmienić – w roku 2030 droga wodną oraz kolejową powinno odbywać się 30 procent całego transportu. Żegluga śródlądowa ponownie rozkwitnie.

Barki zamiast TIR-ów

Wzrost znaczenia żeglugi śródlądowej nie leży wyłącznie w sferze strategicznych planów i przewidywań. Dzięki modernizacji służ i udrożnieniu szlaku, dynamicznie wzrasta liczba jednostek pływających korzystających z odcinka Odrzańskiej Drogi Wodnej w południowej Polsce. W roku 2017 do połowy sezonu nawigacyjnego przez służę Kanału Gliwickiego przeszło 2,7 tys. jednostek, z czego niecałe 700 stanowiły barki transportowe. W analogicznym okresie bieżącego roku prześluzowano zaś aż 5,5 tys. jednostek pływających, z których 3,2 tys. stanowiły barki i statki transportowe.

Wzrósł również wolumen przewiezionych drogą wodną towarów. W roku 2017 wznowiono w Śląskim Centrum Logistyki S.A. przetładunek urobku i w efekcie tego z Portu Gliwice

wyłynęło do Wrocławia ponad 120 tys. ton węgla. W obecnym sezonie nawigacyjnym tylko do końca sierpnia Kanałem Gliwickim przetransportowano już 150 tys. ton „czarnego złota”, a ostateczny wolumen do końca roku przewidywany jest na 250 tys. ton.

Dane dotyczące ożywienia żeglugi na Kanale Gliwickim wskazują wyraźnie, jak wielkim potencjałem dysponuje transport wodny.

Służy - kluczowy element infrastruktury

Kanał Gliwicki pozostaje do dziś monumentalnym dziełem inżynierii. Przeprowadzono go w głębokim wykopie, a częściowo także w nasypach w trudnym, niestabilnym i piaszczystym terenie. Zaczyna swój bieg od Odry w Kędzierzynie-Koźlu, by po prawie 41 km, zakończyć go w porcie w Gliwicach. Różnica wysokości lustra wody między tymi skrajnymi stanowiskami wynosi 43,6 m. Pokonuje się ją dzięki systemowi 6 dwukomorowych bliźniaczych służ, które dzielą kanał żeglugowy na siedem odcinków. Wszystkie mają długość 71,5 m i szerokość 12 m, różnią się natomiast spadem. Najmniejsza różnica poziomów występuje na służie Łabędy – 4,2 m, gdzie na jedno służowanie zużywa się 3,9 tys. m sześć. wody. Największa różnica poziomów występuje na służie Kłodnica – 10,4 m, a jedno służowanie wymaga tam 9,5 tys. m sześć. wody.

Służy stanowią kluczowy element infrastruktury Kanału Gliwickiego, a ich bezawaryjne i efektywne funkcjonowanie w najwyższym stopniu determinuje przepustowość szlaku wodnego. Znaczący wzrost żeglugi na Kanale, który nastąpił w bieżącym roku, jest efektem realizacji przez Państwowe Gospodarstwo Wodne Wody Polskie projektu modernizacji służ współfinansowanego ze środków Unii Europejskiej (POLIS 2014-2020). W pierwszym jego etapie kompleksowo zrewitalizowano stopnie w Rudzińcu i Kłodnicy oraz wykonano poważną część prac (które są kontynuowane) w Dzierżynie i Łabędach.

Modernizacja z korzyścią dla regionu

Aktualnie w ramach projektu „Modernizacja służ odrzańskich na odcinku będącym w zarządzie RZGW Gliwice – przystosowanie do III klasy drogi wodnej – etap II”, którego wartość wynosi 72,3 mln zł prowadzona jest przebudowa ostatnich z sześciu bliźniaczych, dwukomorowych służ: Sławieńce i Nowa Wieś. Prace przebiegają kolejno komorami (w pierwszej kolejności komory północne), aby zachować drożność szlaku wodnego i ciągłość obsługi jednostek pływających, które bez zakłóceń służowane są w komorach południowych.

Prowadzone obecnie roboty polegają na oczyszczeniu komór z namulów i wzmocnieniu ich stalowych ścian, wymianie wrót, rekonstrukcji betonów na głowie górnej i dolnej. Nastąpi przystosowanie awanportów do obsługi intensywnego ruchu żeglugowego, a także renowacja istniejących i budowa nowych budynków socjalnych. Nowe instalacje elektryczne oraz urządzenia sterowania pozwolą na pełne zautomatyzowanie pracy służ. Blisko jedna czwarta zaplanowanych w Sławieńcach i Nowej Wsi robót już za nami.

Warto przypomnieć, iż służy Kanału Gliwickiego stanowią zabytek techniki i przykład kunsztu inżynierskiego sprzed 80 lat. Modernizacja przebiega pod okiem konserwatora zabytków. Głównym celem przedsięwzięcia realizowanego przez Wody Polskie jest ulepszenie warunków transportu wodnego na Kanale Gliwickim, które ma nastąpić poprzez zwiększenie przepustowości i bezpieczeństwa ruchu na Kanale. Dzięki modernizacji służ, a w kolejnym etapie modernizacji samego toru wodnego Kanału Gliwickiego, spodziewane jest także podniesienie atrakcyjności inwestycyjnej regionu.

Państwowe Gospodarstwo Wodne Wody Polskie
Regionalny Zarząd Gospodarki Wodnej w Gliwicach
ul. Sienkiewicza 2, 44-100 Gliwice
tel.: +48 (32) 777 49 50 fax: +48 (32) 777 49 99
e-mail: gliwice@wody.gov.pl
www.gliwice.rzgw.gov.pl

Walka o wieś



Wojciech Wybranowski

Dla ludowców wybory samorządowe to bój o polityczne życie i utrzymanie wpływów w terenie, dla PiS szansa na ostateczne „wykoszenie” ludowego rywala

Główne media żyją rywalizacją między Patrykiem Jakim a Rafałem Trzaskowskim o fotel prezydenta stolicy, ale z dala od Warszawy, w miejscowościach, których mieszkańcy niedawno hucznie obchodzili rolnicze dożynki, rozkręciły się także „dożynki polityczne”. Batalia między Prawem i Sprawiedliwością a przebudowanym w ostatnich latach Polskim Stronnictwem Ludowym zapowiada się szczególnie ciekawie. Partia Kaczyńskiego od lat systematycznie odbierała ludowcom wiejski elektorat, teraz PSL twierdzi, że rolnicy są już zmęczeni i rozczarowani działaniami rządu, dzięki czemu oni sami dostaną polityczny wiatr w żagle.

– Widać, że nasz największy przeciwnik, czyli PiS, zaczął się mocno nas obawiać, bo od lipca ostro atakuje PSL. Tyle że po raz pierwszy w historii wyborczych zmagani naszych ugrupowań spotkał się z twardą, stanowczą ripostą z naszej strony, i to także w przestrzeni internetowej – przekonuje w rozmowie z „Do Rzeczy” Władysław Kosiniak-Kamysz, lider ludowców. Podkreśla: „Na każdym kroku rywalizacja przez nas będzie podjęta, nie odstawimy nogi”.

W wyborach samorządowych w 2014 r., którym towarzyszyły liczne kontrowersje dotyczące rzetelności ich przygotowania

i przeprowadzenia, PSL odniosło spory sukces w wyścigu do sejmików województw, zdobywając 23,88 proc. głosów (PiS – 26,89), co dzięki koalicji z PO dało PSL możliwość współrządzenia w 15 województwach i fotele marszałków w pięciu z nich. Jednak pomimo tego już rok później, w wyborach parlamentarnych 2015 r., to Prawo i Sprawiedliwość bezapelacyjnie zwyciężyło w małych miastach, gminach rolniczych i na wsiach. A opublikowany wiosną tego roku raport „Polska wieś 2018”, przygotowany przez Fundację na rzecz Rozwoju Polskiego Rolnictwa wskazuje, że na obszarach wiejskich PiS może liczyć nawet na ponad 50-procentowe poparcie.

– Spokojnie, my też mamy swoje badania pokazujące, jakie są potrzeby rolników i jak wygrać z PiS. Stąd pomysł, by kampanię centralnie prowadzić tylko w ograniczonym zakresie, natomiast główną oś skierować na pracę w terenie, dostosowując kampanię indywidualnie do problemów każdego regionu. I to się sprawdza – mówi nam jeden z PR-owców PSL, bliski współpracownik Adama Jarubasa.

Ludowcy mocno liczą na tzw. wyborców lokalnych, czyli takich, którzy idą do urn głównie w wyborach na wójta, burmistrza, prezydenta miasta, natomiast nie intere-

Lider PSL Władysław Kosiniak-Kamysz stawia na kampanię bezpośrednią

FOT. MATEUSZ GROCHOCKI/EAST NEWS



sują ich elekcje parlamentarne. Według politologa dr. Jarosława Flisa z Uniwersytetu Jagiellońskiego taka część wyborców to blisko 2 mln osób. Ludowcy są przekonani, że to w dużej części ich elektorat.

– Samodzielny start PSL w wyborach był najlepszą możliwą decyzją – mówi nam Władysław Kosiniak-Kamysz. Dlaczego? – Już dziś widzimy, że tylko dwa komitety wyborcze: my i PiS, będą miały porównywalną liczbę zarejestrowanych kandydatów, pozostałe ugrupowania wystawiają ich znacznie mniej. Nasi ludzie kandydują w każdym okręgu, do każdego szczebla samorządu, spowodują, że kampania będzie powszechna – przekonuje lider PSL.

„KONICZYŃKA” W NATARCIU

Ludowcy będą chcieli wykorzystać to, co PiS zaniedbał, a także to, na co rząd nie miał wielkiego wpływu, a co mocno ugodziło rolników. Na przykład, że Prawo i Sprawiedliwość nie radzi sobie z rozszerzającym się afrykańskim pomorem świń, który staje się coraz większym problemem dla hodowców tych zwierząt. A także kryzys w polskim rolnictwie: spadki dochodów plantatorów i sadowników spowodowane suszą.

– I fatalne stosunki z Rosją, przez co poważne rynki zbytu są dla nas zamknięte. Odczuwają to zwłaszcza rolnicy eksportujący jabłka do Rosji. Poważni gracze na tym rynku jeszcze kilka lat temu mogli systematycznie inwestować w swój biznes, w nowe technologie i jeszcze stać ich było na dobre auto, teraz zaciskają pasa i sarkają na PiS – mówi nam jeden z działaczy PSL.

Ludowcy zaczęli batalię ostro, nie zostawiając suchej nitki na swoich rywalach z PiS.

– Był las, nie było was, będzie las, nie będzie was. Był PSL, nie było PiS-u, będzie PSL, nie będzie PiS-u – grzmiał Władysław Kosiniak-Kamysz podczas konwencji wyborczej ludowców. Premiera Morawieckiego nazwał kłamcą. – Nie widziałem jego wrażliwości społecznej, gdy był doradcą Tuska i kiedy zablokował emeryturę bez podatków. Morawiecki, zejdz z boiska, nie rób z siebie pośmiewiska – mówił lider PSL.

Ludowcy przedstawili też swój program, którego głównymi punktami są decentralizacja władzy, darmowy transport publiczny, budowa świetlic kulturalnych – tzw. reymontówek – rozbudowa dróg

lokalnych i nieopodatkowana emerytura. Ostatni postulat, jak przekonują ludowcy, jest najważniejszą częścią ich programu wyborczego. Jako jedni z pierwszych rozpoczęli kampanię wyborczą w terenie i korzystają ze sprawdzonej metody, jaką wcześniej stosował i nadal stosuje PiS. Ich czołowi politycy jeżdżą po Polsce, starając się odwiedzić ważne wyborczo gminy. Często zanim zrobią to politycy PiS.

Tylko w ubiegłym tygodniu Kosiniak-Kamysz odwiedził m.in. województwa łódzkie, zachodniopomorskie, Małopolskę i Lubelszczyznę. Wcześniej był też na proteście rolników w Rębowie, gdzie przy aplauzie rozżalonych polityką PiS rolników kpił z rządowego programu dla wsi.

– Codziennie chcę być w innym województwie. Zaczynając każdy dzień od spotkań na targowiskach, później rozmów z seniorami, bo to jest grupa, z którą bardzo mocno pracujemy, i wreszcie wieczorem otwarte spotkania – mówi nam lider PSL.

Ludowcy przygotowali także spot uderzający w PiS. Jego przesłanie jest zbieżne z narracją Stronnictwa podczas spotkań wyborczych i regionalnych konwencji: PiS jest fałszywym obrońcą wsi, lekceważył problemy rolników i nie ma pomysłu na rozwiązanie problemów mieszkańców wsi.

Najsilniejsze uderzenie szykują jednak – co nie dziwi – na koniec kampanii. O szczegółach na razie działacze PSL nie chcą rozmawiać, nam udało się jednak dowiedzieć, że w dwóch ostatnich tygodniach przed wyborami PSL zintensyfikuje m.in. kampanię w mediach społecznościowych. – Będzie też trochę z przy-mrużeniem oka, z dystansem do siebie, ale też bardzo merytorycznie, będziemy podkreślać nasze propozycje i odpowiadać na kłamstwa na nasz temat. A jak? Myślę, że zaskoczymy – opowiada nam osoba zaangażowana w kampanię PSL.

PIS TEŻ UDERZY

W batalii o głosy żyjącej z roli części mieszkańców Polski PiS nie jest bezbronny. Pod koniec lipca premier Mateusz Morawiecki i minister rolnictwa Jan Krzysztof Ardanowski zaprezentowali „Plan dla wsi”. Jego główne punkty to m.in. utworzenie Narodowego Holdingu Spożywczego, pomoc dla rolnictwa na terenach górskich, wsparcie produkcji wysokiej jakości i zwiększenie dofinansowania paliwa rolniczego. W promocję programu i walkę o „serca polskiej wsi”

zaangażowali się najbardziej rozpoznawalni politycy partii z Nowogrodzkiej. Pomysł na budowanie poparcia? Taki sam jak zawsze i dokładnie ten sam, który realizuje PSL – dotrzeć do jak największej liczby rolniczych gmin.

– Zaplanowane są tysiące spotkań, również w bardzo małych gminach. Rozmawiamy, staramy się uwypuklać kwoty, które otrzymają rolnicy z tytułu strat, jakie ponieśli w wyniku suszy, podkreślamy, że nasz rząd przeznaczył na ten cel blisko 1,5 mld zł i że te pieniądze nie pójdą do urzędów, ale do poszkodowanych – mówi nam Tomasz Poręba, szef sztabu wyborczego PiS.

Pomysł może okazać się skuteczny. W wyniku tegorocznej suszy poszkodowanych zostało ponad 130 tys. gospodarstw, a łączne straty spowodowane

Ludowcy mocno liczą na tzw. wyborców lokalnych, czyli takich, którzy idą do urn głównie w wyborach na wójta czy burmistrza

klęską żywiołową szacuje się już na ok. 3,6 mld zł. Przy okazji PiS nie zaprzepaści też szansy, by uderzyć w ludowców.

– Będziemy też mówić i pokazywać na konkretnych przykładach, jaki jest problem z obiegiem dokumentów dotyczących rządowej pomocy w tych miejscach, gdzie rządzi PSL, jak bardzo nieudolność decydentów i urzędników z tego ugrupowania wpłynie na terminowość i wysokość wypłacanych poszkodowanym świadczeń – wskazywać winnych takich zaniedbań – słyszymy od innego z członków sztabu wyborczego PiS.

Kampanijne spotkania w mniejszych miejscowościach nie zawsze bywają całkiem bezpieczne i spokojne, o czym przekonały się już oba rywalizujące ugrupowania. W lipcu rolnicy zagłuszyli gwizdami i ostrymi okrzykami wystąpienie premiera Mateusza Morawieckiego w Kraśniku, w ubiegłym tygodniu grupa rolników w Sieradzu podobnie wygwizdała i wyzywała Władysława Kosiniaka-Kamysza. Przed siedzibą PSL, gdzie odbywała się konwencja tej partii, rolnicy wysypali na flagę ludowców odpady po kapuście.

Polsce i Polakom należą się odszkodowania



Łukasz Warzecha

Kwestia reparacji wojennych od Niemiec jest już zamknięta. Sprawa odszkodowań za straty wojenne jest wciąż otwarta, ale jej załatwienie leży w gestii polityków

Institut Zachodni zorganizował w Warszawie 6 września naukową konferencję o reparacjach i odszkodowaniach wojennych od Niemiec. Było to wyjątkowe wydarzenie, bo nigdy dotąd w Polsce naukowcy na ten temat nie debatowali, a w spotkaniu wzięli też udział goście z Niemiec. Wcześniej, w lutym, Instytut Zachodni zorganizował konferencję na ten sam temat w Parlamencie Europejskim w Brukseli, ale tamto wydarzenie wzbudziło znacznie mniejsze zainteresowanie.

Tym razem duże zainteresowanie przerodziło się w burzę, która nie dotyczyła wcale stanowiska niemieckiego, ale wystąpienia jednego z najbardziej znanych pracowników IZ, aktywnego użytkownika Twittera, prof. Stanisława Żerki. Profesor Żerko bowiem, znany z niezależności, odmówił wpisania się w bojową, hurraoptymistyczną narrację, zgodnie z którą nasza moralna racja jest w tej sprawie silniejsza niż realia

prawnomiędzynarodowe, polityczne i historyczne.

Tutaj trzeba przypomnieć, że czym innym są reparacje w ścisłym tego słowa znaczeniu, a czym innym odszkodowania lub innego rodzaju zadośćuczynienie. Reparacje nie są wprawdzie nigdzie w prawie międzynarodowym ujęte jako pojęcie ogólne, ale tym terminem określano odszkodowania przyznawane w traktatach pokojowych po zakończeniu działań wojennych państwu zwycięskiemu przez przegrywające na ogół na podstawie traktatu pokojowego. Jako że prawo międzynarodowe w dużym stopniu opiera się na uzusie, można uznać, że tym właśnie reparacje są z definicji.

Po zakończeniu I wojny światowej Niemcy miały zapłacić zwycięzcom ogromną sumę 132 mld marek w złocie (obecna wartość – ponad 350 mld dol.). Niemcy jednak nie regulowały zobowiązań, również z powodu głębokiego kryzysu politycznego i gospodarczego, co spowodowało na przełomie lat 1922–1923 wkroczenie do Zagłębia Ruhry wojsk francuskich i belgijskich. To jedynie spotęgowało kryzys. Reparacji nigdy nie spłacono.

REPARACJE A ODSZKODOWANIA

Po II wojnie światowej alianci pamiętali lekcję z międzywojnia. Wygrała koncepcja, że nie można przegranych Niemców reparacjami zniszczyć, bo w ten sposób stworzy się podglebie dla jakiegoś nowego Hitlera. Dlatego

powojenne reparacje ograniczono na konferencji poczdamskiej do 20 mld dol. (mających dziś wartość ok. 270 mld dol.). Polsce miało przypadać 15 proc. z sowieckiej puli, stanowiącej połowę ogólnej sumy, czyli ok. 1,5 mld dol. Dzisiaj byłoby to ok. 20 mld dol., czyli ok. 73 mld zł. W skali polskich finansów suma niebagatelna, ale też nie oszałamiająca. Dla porównania – dochody polskiego budżetu w 2018 r. zostały zaplanowane na 355 mld zł.

Z przyznanej nam sumy dostaliśmy niewielką część, głównie ze względu na bardzo niekorzystną umowę węglową ze Związkiem Sowieckim. W 1953 r. zaś Rada Ministrów zrzekła się dalszej części reparacji. I tu właśnie jest kość niezgody między naukowcem z Instytutu Zachodniego i innymi trzeźwo patrzącymi na sprawę analitykami a zwolennikami hurraoptymistycznej narracji oraz „właścicielem” tematu reparacji – posłem Arkadiuszem Mularczykiem. Posła Mularczyka nie było jednak ani na konferencji w Warszawie, ani na wcześniejszej konferencji IZ na ten sam temat w Brukseli, tak jakby obawiał się konfrontacji z twardymi danymi.

Hasło reparacji – właśnie tak, nie odszkodowań innego rodzaju – stało się częścią antyniemieckiej narracji, która w opowieści Prawa i Sprawiedliwości o nowej Polsce oraz jej wstawaniu z kolan ma swoje stałe miejsce. Można wręcz odnieść wrażenie, że ta nowa Polska bez ciągłego odnoszenia się do Niemiec

nie istnieje – na tej samej zasadzie jak totalna opozycja w kraju nie istnieje bez odnoszenia się do Jarosława Kaczyńskiego. To już rytuał.

Tymczasem prof. Żerko na podstawie analizy dokumentów od dawna stoi na stanowisku, że nie ma wątpliwości co do zrzeczenia się reparacji przez Polskę, co tę utartą narrację podważa. Jak mówił w wywiadzie dla „Do Rzeczy” rok temu: „Dokument [potwierdzający zrzeczenie się reparacji] znajduje się w archiwum Kancelarii Prezesa Rady Ministrów (sygnatura 88/15/11), a ponadto został opublikowany w 2005 roku w tomie wydany przez Polski Instytut Spraw Międzynarodowych. W dodatku we wrześniu 1953 roku ówczesny wiceminister spraw zagranicznych PRL potwierdził polską decyzję na forum Zgromadzenia Ogólnego ONZ”.

Można by oczywiście próbować podważać ważność polskiej decyzji, wskazując, że została podjęta w warunkach ograniczonej suwerenności. Tyle że III RP jest prawnym kontynuatorem Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, a to znaczy, że trudno byłoby dziś zakwestionować jakąkolwiek decyzję podjętą przez PRL-owskie władze. Ba, mogłoby to mieć druzgocące konsekwencje, bo skoro podważylibyśmy jedną z nich – akurat dla nas niewygodną – to otworzylibyśmy drogę do podważania innych. W tym choćby traktatu PRL-RFN z grudnia 1970 r., w którym Republika Federalna Niemiec uznawała w końcu faktycznie istniejącą granicę na Odrze i Nysie. To porozumienie stało się jedną z podstaw do podpisania polsko-niemieckiego traktatu granicznego w 1990 r. Prawo międzynarodowe to subtelna konstrukcja – wystarczyłoby wyjąć z niej jedną cegiełkę, żeby doprowadzić w przyszłości do nieobliczalnych skutków.

POLICZYĆ STRATY

To wszystko sprawia, że kwestia reparacji jest zamknięta – i o tym na konferencji Instytutu Zachodniego mówił prof. Żerko. Jednocześnie jednak ani on, ani inni uczestnicy spotkania, w tym z Niemiec, nie wykluczali starań o odszkodowania innego rodzaju. Ba, stwierdzali wyraźnie, że Polsce jako państwu, ale także Polakom, którzy padli ofiarami zbrodni niemieckich, odszkodowania się należą, bo ta sprawa nigdy nie została należycie załatwiona.

W wywiadzie dla „Tygodnika TVP” wkrótce po konferencji w Warszawie jeden z jej niemieckich gości, prof. Stefan Garsztecki z Technische Universität w Chemnitz, mówił: „Trzeba powiedzieć jasno, że Niemcy nigdy nie wypłacili Polsce reparacji wojennych, choć trzeba było to zrobić. A odszkodowania wypłacone indywidualnie były za niskie, nie mówiąc o tym, że nie wszystkie grupy pokrzywdzonych zostały uwzględnione. Popieram więc indywidualne roszczenia. Uważam też, iż rząd niemiecki powinien wypłacić Polsce odszkodowania. Sęk w tym, że jest to kwestia polityczna, a przez to jej pomyślnie dla Polski rozwiązanie nierealne. Za to realne i niezwykle ważne jest ustalenie strat materialnych i ludzkich poniesionych przez Polskę w czasie ostatniej wojny. Przecież wciąż nie zwrócono zagrabionego przez Niemcy w Polsce mienia. Potrzebna jest szczegółowa dokumentacja i w tej akurat sprawie to, co zaczął robić parlamentarny zespół do spraw reparacji, jest pozytywne”.

PRESJA MUSI BYĆ REALNA

Ogólna konkluzja z konferencji była taka, że rezygnacja z reparacji nastąpiła, i tu rzecz jest zamknięta, sprawa innego rodzaju odszkodowań dla Polski jest zaś wciąż otwarta, ale jej załatwienie nie leży w sferze prawnomiędzynarodowej, tylko politycznej. Najprościej mówiąc – jeżeli mielibyśmy cokolwiek od Niemiec dostać, to musieliśmy zawrzeć z Berlinem w tej sprawie dwustronne porozumienie. Nie istnieje bowiem żadna międzynarodowa instancja, do której moglibyśmy się zwrócić. Statut haskiego Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości stwierdza, że może on orzekać jedynie w tych kwestiach, które państwa same przekażą mu w jurysdykcję. Polska tymczasem podjęła już dawno temu decyzję, że MTS nie będzie rozpatrywał spraw jej dotyczących sprzed 1989 r. – a więc sami zamknęliśmy sobie drogę do zajmowania się przez MTS reparacjami.

Niedługo po konferencji, zanim jeszcze dostępne było jakiekolwiek jej podsumowanie – nie mówiąc już o nagraniu poszczególnych referatów – zaczęło się nękanie prof. Żerki za to, że w sprawie reparacji powiedział, co powiedział. Poseł Mularczyk odbył tour po sprzyjających władzy mediach, gdzie przy na ogół kompletnej ignorancji i bierności prowadzących opowiadał, że

zrzeczenie się przez Polskę reparacji to „jakiś świstek”. „Może to jest czasem tak, że uderz w stół, a stypendyści Humboldta się odezwą?” – mówiła prowadząca program „O co chodzi” w TVP Magdalena Ogórek do posła Mularczyka, nawiązując do tego, że prof. Żerko był stypendystą tej fundacji. Oczywiście prof. Żerki do programu nie zaproszono. Ani tego, ani żadnego innego, w którym Arkadiusz Mularczyk prezentował swoje spojrzenie na sprawę reparacji.

Czy poseł PiS nie wie, że za opinią prof. Żerki i innych ekspertów stoją twarde racje? Zapewne wie. Woli jednak nie wchodzić nawet w dyskusję na ten temat – dlatego zapewne zablokował prof. Żerkę na Twitterze. A to w dzisiejszych czasach należy odczytywać jako gest jednoznacznie wrogi.

Poseł Mularczyk gra tu we własną polityczną grę. Na jego stronie internetowej większość informacji dotyczy właśnie reparacji, z których były działacz Solidarnej Polski zrobił sobie polityczny wehikuł, trafiając świetnie w germanofobiczne emocje znacznej części elektoratu partii rządzącej.

W gruncie rzeczy jednak ta gra jest szkodliwa, jeżeli uznajemy, że naprawę zależy nam na uzyskaniu od Berlina jakiejś materialnej satysfakcji. Zawarcie politycznego porozumienia w tej kwestii wymagałoby skonstruowania spójnej i przemyślanej strategii, być może także powołania zespołu profesjonalistów, którzy dostaliby szeroki mandat od polityków. Wywieranie na Niemcy presji w tej sprawie ma jak najbardziej sens, ale ta presja musi być realna, czyli musi dotyczyć tego, co faktycznie da się osiągnąć, a nie tego, co nieosiągalne, o czym Niemcy świetnie wiedzą. Fiksacja posła Mularczyka na sprawie reparacji, czyli najmniej prawdopodobnym – lub po prostu całkowicie fikcyjnym – punkcie agendy, sprawie nie pomaga. Jest to jednak zarazem punkt najkorzystniejszy PR-owsko. Także dlatego, że niemożliwy do realizacji, a więc może służyć za polityczne paliwo bez końca.

Jest w tym wszystkim jednak rzecz szczególnie niepokojąca: najwyraźniej część publicystów, dziennikarzy i polityków uważa, że naukowcy w swoich analizach mają się kierować nie źródłami, dokumentami, wnioskami z badań, ale bieżącą polityczną potrzebą. W przeciwnym wypadku może ich spotkać brutalny medialny atak.

Kilka miesięcy temu poruszałem w „Do Rzeczy” kwestię cenzury w grach o II wojnie światowej. W najpopularniejszym tego typu tytule 2017 r. – „Call of Duty: WWII” – wojna jak zwykle zaczęła się w 1940 r., walczyli w niej tylko Rosjanie, Amerykanie, Francuzi, Brytyjczycy i „naziści”, w dodatku po ruchu oporu pojawiło się powstanie w Pradze (z maja 1945 r.), zabrało jednak Warszawy. Armia Krajowa właściwie nie istniała, a główną rolę odgrywały partyzantki Francji, Holandii, Węgier czy wspomniani Czesi. Nie sądziłem, że do tematu przyjdzie wrócić tak szybko. Szczególnie że wirus robienia z wojny popkulturowej papki dotarł do legendarnego „Battlefielda”.

Chociaż „Battlefield V” będzie miał premierę dopiero w listopadzie, to już teraz, po pierwszych szeroko dostępnych beta-testach, wiadomo, że wywołał prawdziwe trzęsienie ziemi w środowisku wiernych fanów. Nie chodziło już nawet o to, że deweloperzy z EA DICE wymazali z niemieckich mundurów gapy i swastyki, a flagi III Rzeszy zamienili na czarno-biało-czerwone sztandary Cesarstwa Niemieckiego. To w dużej mierze dzisiejszy standard i pokłosie polityki lęku przed narodowosocjalistycznymi symbolami, które pokazywane w grach miałyby w magiczny sposób przyczynić się do powrotu dawnych demonów. W rzeczywistości jednak osiąga się efekt odwrotny do zamierzonego, zamieniając konkretną i zbrodniczą ideologię, która narodziła się w Niemczech w bardzo specyficznym entourage’u społecznym, w mikosową, czarno-białą wizję przeszłości. Brak konsekwencji w analogicznym podejściu do Związku Sowieckiego, Stalina, czerwonej gwiazdy oraz sierpa i młota jest aż nazbyt widoczny.

Wróćmy jednak do meritum. Co – w negatywny sposób –



FOT. YOUTUBE

Pudrowanie gier



Marcin Makowski

Gdzie się kończy licentia poetica programistów i marketingowców, a zaczyna odpowiedzialność za kreowanie fabuły gier?

odróżnia nowego „Battlefielda” od konkurencji? Niespotykana w grach dawka poprawności etniczno-politycznej, wciśnięta na siłę w scenografię lat 40.

Chociaż producent (po całkiem udanej serii odbywającej się podczas I wojny światowej) obiecywał powrót do korzeni (chodzi o historycznie wiarygodnego „Battlefielda 1942”), to – co widzimy na jednej z pierwszych filmowych zapowiedzi gry – przypomina alternatywną rzeczywistość. Jedna z pierwszych scen reklamy to bowiem... rudowłosa kobieta komandos z twarzą pomalowaną na niebiesko, tak jak w czasach Williama Wallace’a. Po brutalnej wymianie ognia rusza do walki w bliskim zwarciu, strzelając w biegu z karabinu maszynowego wspartego na jej... drewniano-metalowej protezie ręki, a następnie tłucze na śmierć maczugą postawnego „nazistę”. Niby znajome czołgi obładowane są tobołami jak na bazarze, messerschmitty latają tak nisko, że mogą kosić trawę, a aliancka grupa bojowa to

prawdziwa mieszanka płciowo-etniczna.

Nic dziwnego, że tak przedstawiony miszmasz wywołał liczne protesty graczy, którym nie spodobało się eksperymentowanie formą „Genderfield” – jak złośliwie nazwano grę studia EA DICE – przekroczył bowiem cienką granicę dzielącą grywalność od śmieszności. I choć twórcy bronili się na Twitterze, twierdząc, że ubieranie czarnoskórego żołnierza w mundur esesmana albo wręczanie do ręki drobnej Azjatce pancerfausta i rzucanie jej w sam środek frontu to „stawianie wyżej zabawy od realizmu”, niewielu fanów poczuło się przekonanych. Szczególnie że w fazie wspomnianych już testów okazało się, że wewnętrzny komunikator dla graczy przybiera rolę cenzora, który blokuje zwroty takie jak „naziści” i „biały mężczyzna”. Gdy cała sprawa wyszła na światło dzienne, producenci błyskawicznie wytłumaczyli się „błędami wczesnej fazy produkcji”.

Co ciekawe, wysłanie do walki kobiet oraz przedstawicieli wszystkich ras, którzy w większości uczestniczyli w zmaganiach na europejskim froncie w skali marginalnej, wywołało również reakcję z drugiej, lewicowo-liberalnej strony barykady. Megan Farokhmanesh w swoim felietonie na portalu The Verge tłumaczyła nawet, że „Battlefield V”, pokazując kobiety w roli głównej, oddaje jedynie sprawiedliwość dziejową tym, które autentycznie walczyły. „Kobiety brały udział w II wojnie światowej, od lotnictwa i jednostki zwanej »Nocnymi Wiedźmami« po bycie agentkami wywiadu jak Nancy Wake. Ludmiła Pawliczenko uznana została za jedną z najsukceszniejszych snajperek w historii, oraz snajperów jako takich, z 309 trafieniami na koncie. [...] Kobiety brały udział w różnych sytuacjach wojennych. Aż dziw bierze, że ta Brytyjka z zapowiedzi gry wywołała taką furję. Być może tylko u ignorantów, którzy nie wiedzieli, że takie postaci naprawdę zapisały się w historii” – stwierdziła dziennikarka.

To wszystko prawda. Polakom nie trzeba przypominać, jak heroicznie podczas powstania warszawskiego były kobiety i jak ryzykowały swoje życie, nie tylko w rolach łączniczek i sanitariuszek. Jeśli gry mają, poza zabawą, również czegoś uczyć oraz kształtować masowe wyobrażenie przeszłości, to nie mogą bez wyraźnego zaznaczenia zabawy konwencją na siłę dostosowywać historii do wymogów współczesnej poprawności politycznej. O tym, że takie podejście się nie sprawdza, świadczą w dużej mierze negatywne opinie na temat nowego „Battlefielda”, które skłoniły producentów do przeprowadzenia dużych zmian w systemie rozgrywki oraz przełożenia daty ostatecznej premiery. Oby wyszło to historii i rozrywce na dobre.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Intenson®

NEW



Najwyższej jakości kolagen i kwas hialuronowy

100% NATURALNY

BARDZO WYSOKA ILOŚĆ W 1 TABLETCE!

BEZ SUBSTANCJI WYPEŁNIAJĄCYCH



ELIKSIRY MŁODOŚCI I WITALNOŚCI



Z dr. Andrzejem Ignaciukiem, lekarzem medycyny estetycznej
rozmawia Agnieszka Niewińska

Botoks trafił pod strzechy



FOT. CARLO ALLERI/AP/EASTNEWS

AGNIESZKA NIEWIŃSKA: Większość znanych twarzy nie chce być kojarzona z botoksem, a pan deklaruje, że botoks kocha.

DR ANDRZEJ IGNACIUK: Ponieważ daje wysmienite efekty! Mamy wiele nawyków, które szkodzą naszej urodzie, i botoks w takich sytuacjach pomaga. Pozwala poprawić samopoczucie, podnosi poczucie własnej wartości. Dlaczego więc z niego nie korzystać?

Żeby nie mieć drętwiej twarzy.

To mit. Zapewniam panią, że tak nie jest. Dobrze zrobiony botoks sprawia, że twarz wygląda na wypoczętą, zrelaksowaną, bardziej luksusową.

Luksusowa twarz? Wolałabym prawdziwą.

Pani tak mówi, bo jest pani młoda. Weźmy choćby takie marszczenie czoła. Czy to by było fajne, gdyby siedziała tu pani z takim zmarszczonym czołem?

Można z tym spokojnie żyć.

Bez zębów też można żyć!

Przyzna pan, że bez zębów jest sporo trudniej. Ciężko przeżuwać, chudnie się...

Widziałem ludzi, którzy żyją, jedząc papki, ale zostawmy to. Założmy, że 20-latką ma jakąś dysproporcję twarzy. Czy dla młodej dziewczyny jest coś ważniejszego niż ta dysproporcja?

Lepiej, żeby w jej życiu było coś ważniejszego. Nie ma co się tak skupiać na wyglądzie.

Ona jest w takim momencie swojego życia, w którym chce korzystać z urody, podobać się chłopcom, co jest przecież naturalnie, chce być lubiana, a bardziej lubi się ludzi ładnych. Gdyby to była pani córka, nie chciałaby pani, by poprawiła urodę?

Nie, powiedziałabym jej, że pomimo defektów wygląda pięknie.

Nawet jeśli obiektywnie wyglądałaby źle?

To hipotetyczna młoda dziewczyna. Za to na ulicach mamy zupełnie realny wysyp pań z ustami jak po ukąszeniu roju os.

Akurat te usta już wychodzą z mody. A to, że tak dużo pań zdecydowało się na nadmierne ich powiększenie, jest efektem braku poczucia estetyki. Kolejne pokolenia Polaków żyły w świecie, w którym nie było pozytywnych wzorców piękna. Codziennym widokiem były odrapane bloki i podwórko z trzepakiem. Nasze poczucie estetyki jest zachwiane, a do tego dochodzi pęd za kopiowaniem innych.

Na Zachodzie nie jest lepiej. Widział pan zdjęcia aktorki Renée Zellweger? Chyba sława jej ciążyła. Tyle sobie tego wszystkiego nawstrzykiwała, że teraz może się poruszać po świecie incognito.

Nie twierdzą, że na Zachodzie sytuacja jest diametralnie inna. Tyle że ktoś, kto się urodził w Rzymie i na co dzień obcował z piękną architekturą, będzie miał inne poczucie estetyki. Natomiast trudne jest dla mnie do odgadnięcia, co rządzi zachowaniem grupki celebrytów przesadnie poprawiających urodę. Zadaniem lekarza medycyny estetycznej jest wyjaśnienie pacjentce, co mogłoby poprawić jej wy-

gład, uczynić ją bardziej atrakcyjną. Jeżeli nie przyjmuje tych sugestii, bo wymyśliła sobie przesadne „pompowanie”, to lekarz z takiego pacjenta powinien zrezygnować.

Zdarzają się osoby, które przychodzą do pana ze zdjęciem, bo chcą mieć nos jak, dajmy na to, Ewa Chodakowska?

Oczywiście. Dawniej wycinały zdjęcia z gazet, dziś pokazują mi je na smartfonie. Są różne mody. Jeszcze niedawno wiele pań chciało mieć usta Angeliny Jolie.

I co pan robi w takiej sytuacji? Upodabnia pacjentkę do Angeliny?

Jeśli uważam, że taki zabieg sprawi, iż będzie wyglądać korzystniej, to nie widzę powodu, żeby takiego zabiegu nie zrobić. Zaznaczam jednak, że u mnie w gabinecie nie ma tak, iż każdy, kto przyjdzie na wizytę, ma robione to, co chce. Jeśli uważam, że pacjentowi nie jest potrzebny zabieg, a lepszy wygląd może osiągnąć np. przez zmianę trybu życia, to nie wykonuję zabiegu.

Pacjentka, której koleżanka doradziła lifting wampirzy, nie przychodzi do pana po dietę.

W takiej sytuacji pozostaje mi tylko podziękować takiej pacjentce. Gabinet lekarza medycyny estetycznej to nie sklep samoobsługowy, w którym można wybierać to, na co ma się ochotę. Takie zachowanie lekarza byłoby pierwszym krokiem do zguby medycznej. W tym zawodzie liczy się wiarygodność. Dlatego zawsze przestrzegam: jeśli idziesz do lekarza medycyny estetycznej, to sprawdź, kim jest, jakie ma wykształcenie. Nie wierz w brednie internetowe, oceniał go racjonalnie. Nie poddawaj się zabiegowi podczas pierwszej wizyty. A już na pewno odradzam internetowe promocje. Jeśli zabieg, który kosztuje 1 tys. zł, można gdzieś mieć za 300 zł, to znaczy, że ktoś oszczędza albo na materiałach, albo na ludziach. Jeśli masz wątpliwości co do lekarza, to skonsultuj się z innym. Lepiej wydać 100 czy 200 zł na wizytę, niż poddać się zabiegowi, z którego efektów będzie się niezadowolonym.

Medycynę estetyczną sprowadził pan do Polski ćwierć wieku temu. Co się od tego czasu zmieniło? Żyjemy w przekonaniu, że z takich usług korzystają tylko celebryci i bogacze.

Botoks jest już tak powszechny, że nie ma co ograniczać go do wąskiej grupy celebrytów. Tymczasem kiedy 25 lat temu zakładałem Polskie Towarzystwo Medycyny Estetycznej, dopiero zaczynaliśmy

uświadamiać społeczeństwu, czym jest medycyna estetyczna. W gabinetach nie mieliśmy jeszcze zbyt wielu narzędzi do poprawiania urody – peelingi, wstrzykiwanie sprowadzanego z Ameryki kolagenu, mezoterapia. Dopiero potem przyszedł do nas botoks, pojawiły się kwas hialuronowy, lasery. W latach 90. w dużej mierze w moich gabinetach zajmowałem się dietetyką, bo medycyna estetyczna to także zdrowy tryb życia: sport, sen, dieta. Na początku musieliśmy także do tej dziedziny przekonywać naszych kolegów lekarzy, którzy wcale nie byli przychylni rozwojowi tej gałęzi medycyny.

Nie mówili, że poprawianie urody to nie jest żadna medycyna?

Jawnie nie, ale po cichu, w kulisach pierwszych kongresów medycyny estetycznej, takie stwierdzenia padały.

Są różne mody. Niedawno wiele pań chciało mieć usta Angeliny Jolie

Pamiętam nawet artykuł prasowy z połowy lat 90., w którym dwójka profesorów opowiadała o tym, że nie ma szans, żeby toksyna botulinowa się przyjęła, bo to straszna trucizna i nikt jej nie będzie chciał używać. Tylko ja zwracałem uwagę, że daje obiecujące efekty i może się przyjąć. W 2002 r. przy Polskim Towarzystwie Lekarskim powołałem szkołę podyplomową dla lekarzy medycyny estetycznej. Wówczas na jedno miejsce zgłaszało się po sześciu–siedmiu kandydatów. Szkoła wykształciła ok. 600 lekarzy, którzy chcąc wykorzystać zdobytą wiedzę, otwierali gabinety. W tym czasie wzrosła też świadomość społeczna i zażądano, aby pojawiło się pragnienie lepszego starzenia się. Dzisiaj Polskie Towarzystwo Medycyny Estetycznej i Anti-Aging zrzesza 1,7 tys. lekarzy. To największe takie towarzystwo w Europie. A przecież nie wszyscy lekarze są zrzeszeni. Szacuję, że w Polsce może być nas nawet 2,5 tys.

Skoro ty jesteś lekarzem, to muszą mieć pacjentów. Kto przychodzi poprawiać urodę?

Każda osoba, która czuje jakiś dyskomfort. Taka, której nie podoba się jej wygląd, tyje, źle się porusza. Zarówno kobiety, jak i mężczyźni, choć kobiet wśród pacjentów wciąż jest więcej.

Grażyna i Janusz z Podkarpacia korzystają z medycyny estetycznej?

Oczywiście, są tacy pacjenci. Czasem we dwójkę przyjeżdżają na wizyty. A dzisiaj nawet nie muszą w tej sprawie jechać do stolicy. Gabinet medycyny estetycznej znajduje w Rzeszowie. Poprawianie urody jest dziś wyznacznikiem pozycji społecznej – tak jak kiedyś wyjazd na wakacje do Egiptu.

Czyli botoks trafił pod strzechy?

Absolutnie tak. A duże zainteresowanie tym zabiegiem sprawia niestety, że za botoks wzięli się ludzie bez dyplomu lekarza. Widzimy coraz więcej powikłań po zabiegach robionych przez osoby niebędące lekarzami. Dlatego też Polskie Towarzystwo Medycyny Estetycznej i Anti-Aging wraz z Ministerstwem Zdrowia i Izbą Lekarską pracuje nad modyfikacją

przepisów rządzących światem medycznym. Wiele się zmieniło, a w dokumentach nie występuje takie pojęcie jak „estetyka”.

Wracając do pana miłości do botoksu. To chyba uczucie platoniczne. Czytałam, że nie aplikował pan sobie botoksu.

Staram się w miarę możliwości żyć higienicznie, więc na razie nie miałem takiej potrzeby. Jeśli jednak coś zacznie mi przeszkadzać w moim wyglądzie albo żona uzna, że powinienem coś zlikwidować, to to zrobię. Nie mam żadnych wątpliwości co do botoksu. Przez 25 lat zastosowała go astronomiczna liczba pacjentów. To bezpieczny lek i ciągle odkrywamy nowe jego zastosowania.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Doktor Andrzej Ignaciuk jest pionierem medycyny estetycznej w Polsce i prezesem Polskiego Towarzystwa Medycyny Estetycznej i Anti-Aging. Założył Podyplomową Szkołę Medycyny Estetycznej PTL. Wykłada na Uniwersytecie Balearów w Palma de Mallorca i na Uniwersytecie Marconi w Rzymie.



Bękarci los



Piotr Gociek

„Kamerdyner” – nieudany wyraz tęsknoty reżysera za kinem epickim. Widzowie zatęsknią za sensem, lepszym scenariuszem i mądrzej dobraną obsadą

Historyczna saga rozgrywająca się na Kaszubach rozpoczyna się w roku 1900. We wsi na świat przychodzi bękart miejscowego pana i władcy, pruskiego arystokraty Hermanna von Kraussa (Adam Woronowicz). Matka umiera przy porodzie, dziecko (otrzyma imię Mateusz) za sprawą żony Hermanna, Gerdy von Krauss (Anna Radwan), trafia na wychowanie do pałacu. Von Kraussowie mają dwoje własnych dzieci, których stosunek do przybłedy jest skrajnie różny. Kurt traktuje Mateusza z góry, jednocześnie cierpiąc na kompleks niższości (Mateusz jest bardziej utalentowany), Marita darzy go sympatią, która z czasem zamieni się w coś więcej.

Za oknami pałacu dzieje się historia. I wojna światowa oznacza dla Kaszubów masowy pobór do pruskiej armii. „Na sześć tygodni” – słyszą. Potem zmartwychwstanie niepodległej Polski, powrót pod jej władzę niewielkiego niestety fragmentu Pomorza. Ziemie pruskiego arystokraty rozdzieli granica – część majątku zostanie

po polskiej stronie. Kolejne punkty zwrotne historii też są oczywiste: narodziny niemieckiego faszyzmu, wschodząca gwiazda Hitlera, potem wrzesień 1939 r. i II wojna światowa. Swoją opowieść kończy Filip Bajon wraz z wkroczeniem na Pomorze sowieckiej Armii Czerwonej.

Z tego krótkiego opisu wyraźnie widać, jakim rodzajem kina miał być „Kamerdyner”. Epicka saga rodzinna z wielką historią w tle i rozegrana na pograniczu narodów pomorska wersja „Magnata”, w której Ślązaków zamieniono na Kaszubów, a rolę głównego skandalisty uwikłanego w zakazaną miłość odgrywa Mateusz (w „Magnacie” – Bolko grany przez Linde). Identycznie ustawiona jest figura najstarszego syna rodu. Tyle że Franzel von Teuss flirtował z nazistami dla zysku, by chronić i pomnażać rodzinną fortunę, a Kurt von Krauss został członkiem SA raczej z powodu... Hm... specyficznego rodzaju męskiej przyjaźni, jaką obdarzali się podwładni Ernsta Röhma.

Podobieństw jest więcej, żal mi miejsca, by je wszystkie wymieniać. Gdyby „Kamerdyner” był filmem wybitnym, pewnie zajęłby się nimi wkrótce jakiś ambitny doktorant. O ile jednak w „Magnacie”, który słabo zniósł próbę czasu, trafiały się kawałki wielkiego kina, a całość nieśli na barkach wybitni aktorzy w szczytowej formie, o tyle nowy film Filipa Bajona zawodzi niemal na każdym poziomie. Brakuje mu rytmu, punktów zwrotnych, elementów zaskoczenia, dobrych dialogów, zawodzi obsada. Miało być kino epickie,

jest kino prawie epickie, a prawie, jak wiemy, robi wielką różnicę.

O CZYM TA HISTORIA?

Jest „Kamerdyner” filmem pełnym szerokich, panoramicznych ujęć, pieczołowicie ustawianych, rzadko kiedy pełnią one jednak jakąś istotną rolę w opowiadanej historii. Ot, materiał ilustracyjny. Całkiem jakby Bajon zapomniał o najpotężniejszej broni kina, jaką jest montaż. Postawił na pocztówkowe panoramy plus długie ujęcia, w których kamera podąża za bohaterami. Wpada w ten sposób w pułapkę – tego typu filmowe opowiadanie wymaga gigantycznych budżetów. Gdy ich brakuje, owe rajdy kamery obnażają jedynie ubóstwo świata wykreowanego. Najlepszy przykład to scena z okopów wojny 1914 r., w której mamy garść statystów, których obecności próżno próbuje się nadać rozmach godny przejazdu kamery transzejami spod Verdun. Nie jest to nowy kłopot kina III RP, a zwłaszcza samego Bajona – wystarczy wspomnieć, jak w jego „Przedwiośniu” z braku funduszy wojnę z bolszewikami roku 1920 markowało paru facetów błakających się we mgłę.

Jednak i tak, co ciekawe, mimo że budżet „Kamerdynera” wyniósł niespełna 20 mln zł, film robi wrażenie wystawniejszego, co jest wiadomością dobrą i złą jednocześnie. Dobrą, bo przypomnę, że do pewnego stopnia rozmach można markować za małe pieniądze. Złą, bo wydaje się, że cała para poszła właśnie w to: ustawianie ujęć, kostiumy etc. Tyle energii przeznaczono na udawanie epickiego kina,



FOT. RAFAŁ PIANKO/MATERIALY PRASOWE

że na inne sprawy czasu i uwagi już nie starczyło.

Wielkim grzechem „Kamerdynera” jest to, że twórcy nie mogli zdecydować się, jaką właściwie historię chcieliby opowiedzieć. Jeśli miał to być wielki melodramat, to zadziwiająco mało mamy w nim uczucia, zakochani Mateusz (Sebastian Fabijański) i Marita (Marianna Zydek) zostali ledwie naszkicowani, w dodatku kompletnie nie ma między nimi na ekranie żadnej chemii. Jeśli miały to być dzieje upadku rodziny (i starego świata), to „Kamerdyner” jest ledwie cieniem „Magnata”, a członkowie rodziny von Teuss wyjątkowo bezbarwni i mało interesujący.

ROZCZOCHRANY KASZUBA

Jeśli z kolei miał to być fresk historyczny o relacjach polsko-kaszubsko-niemieckich, to niezbyt wiele w nim historii i polityki. Chociaż te sceny, które ujrzelśmy, były obiecujące: Kaszubi drukujący polskie gazety i kolportujący je wbrew woli pruskich władz, jednoznaczne opowiedzenie się za polskością, droga „kaszubskiego króla” Bazylego Miotkego (Janusz Gajos) od nieformalnego przywódcy miejscowych do ważnego urzędnika II Rzeczypospolitej. Bezsprzecznie wielką zasługą Bajona i scenarzystów jest natomiast przypomnienie niemieckiego mordu w piaszniczkim lesie, gdzie zamordowano kilkanaście tysięcy Kaszubów, wszystko to w ramach hitlerowskiej Intelligenzaktion na Pomorzu – operacji, której celem było planowe usunięcie z zimną krwią polskich elit. Mało kto w Polsce pamięta o tej kaszubskiej Gol-

gocie, Bajon pokazał ją bez taryfy ulgowej dla niemieckich okupantów.

Tak naprawdę wątek kaszubski jest w tym filmie najciekawszy i jedyny, po którym czułem niedosyt. Bez wątpienia zasługuje na osobną, potężną opowieść, najlepiej serial na skalę „Najdłuższej wojny nowoczesnej Europy”. Inne elementy składowe „Kamerdynera” widzieliśmy już gdzie indziej, w lepszych wersjach, często u samego Bajona, bo gdy mowa o niemieckim faszyzmie lub szerzej: relacjach polsko-niemieckich w XX stuleciu, to prócz „Magnata” znajdziemy przecież w jego dorobku „Limuzynę Daimler-Benz” czy „Wizję lokalną 1901” o strajku dzieci we Wrzesni. Jeśli chodzi o drugiego okupanta, czyli Rosjan, w „Kamerdynerze” robi Bajon to, czego z powodów oczywistych zrobić nie mógł w „Magnacie”. Film kręcony w czasach PRL nie mógł ukazywać zbrodni i gwałtów Armii Czerwonej, dzieje rodziny von Teuss kończyły się więc oddaniem już po wojnie pszczyńskiego pałacu w służbę ludu pracującego miast i wsi. W „Kamerdynerze” można już było pokazać sowieckich żołdaków mordujących starców, gwałcących kobiety w wieku nawet własnych babć i grabiących, co popadnie.

Wszystko to: wielka historia, melodramat, pomorski „zmierzch bogów”, nie składa się jednak w „Kamerdynerze” w jedną całość, film na zmianę nuży i irytuje, zwłaszcza od chwili, kiedy na ekranie pojawia się Sebastian Fabijański. Nie mam zielonego pojęcia, dlaczego tę najbardziej przereklamowaną gwiazdeczkę polskiego kina wybrano do roli Mateusza Krolla. Obawiam się, że wygrała kalkulacja „młody, popularny, grał u Patryka Vegi, to przyciągnie publikę, a przy okazji może udźwignie i jakoś zgra”. Otóż nie udźwignie i nie zagra, pozostawiając po sobie jedynie wrażenie najbardziej rozczochanego Kaszuby w dziejach. Z pozostałymi rolami nie jest lepiej. Zydek jako Marita i Sabat jako Kurt – jednowymiarowi. Adam Woronowicz w roli głowy rodziny von Krauss – także bez wyrazu, jak na pruską nemezis Pomorza mocno za miękki, rozhisteryzowany. W „Magnacie” stary von Teuss (Jan Nowicki) i jego następcy Franzel (Olgiert Łukaszewicz) brali się ze światem za bary, chcieli rzucić się historii do gardła, wyszarpać, co swoje, wstrzymać zegar historii. Była w tym wielkość i była

tragedia. Von Krauss w „Kamerdynerze” już tylko joyczy (bodaj po trzykroć w różnych miejscach fabuły), że nadchodzą złe czasy.

Da się oglądać Annę Radwan jako panią von Krauss, Borysa Szyca w roli Fryderyka (brata pana domu), Janusza Gajosa jako Bazylego Motkego, choć i on zbyt często gra na tę samą nutę, tym samym uśmiechem.

W IMIĘ POPRAWNOŚCI

Najbardziej boli, że zdecydowana większość bohaterów nie przechodzi na oczach widza żadnej ewolucji, zostają tacy, jakich wrzucono ich na ekran za pierwszym razem. Wyjątkiem jest Motke, trochę też stary von Krauss (acz dopiero pod koniec filmu). Główny bohater, nieszczęsny tytułowy kamerdyner i bękart Mateusz Kroll, wciąż pozostaje tym samym ponurym amantem bez właściwości, tyle że ze zmienianą charakterystyką. I najgorsze, że nie ma w tym wszystkim żadnej większej metafory, żadnego przesłania – poza tym, że kto zrodził się na tych ziemiach w wieku XX, ten miał przechłapanie.

Zły, nieudany film, w którym gdzieniegdzie błyskają tylko kawałki złota, przypominając, że mogłoby być z tego wielkie kino. Zaskakujący moment, kiedy dawny nauczyciel muzyki objawia się Mateuszowi w nowej roli. Charakterystyczny dla stylu Bajona powolny wjazd kamery w scenę, kiedy pani von Krauss decyduje, że zaopiekuje się sierotą. Ładnie ustawiony frag-

ment, kiedy pan domu po raz pierwszy (choć tylko gestem) przyzna się do nieślubnego syna. Kapitalny pomysł na chwilę wkroczenia sowieckich grabieżców do pałacu von Kraussów, proszę zwrócić uwagę, jak zmieni się muzyka dobiegająca z gramofonu. Okruchy, okruchy, tylko okruchy.

I jeszcze smutek z powodu nowej poprawności patriotycznej. Widzę już po recenzjach z prawej strony, że skoro to opowieść o złych Niemcach i nie lepszych Rosjanach, to musi się podobać. A umieszczenie w pierwszej linijce podziękowań za pomoc w realizacji nazwiska wiceministra kultury wystarcza jako legitymizacja

dzieła. Otóż nie. Nie musi się podobać i nie może wystarczać. „Kamerdyner” to podobnie jak niedawny „Dywizjon 303. Historia prawdziwa” zmarnowana szansa.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



★★★★★
REŻ. FILIP BAJON
„KAMERDYNER”
POLSKA 2018

wyst. Sebastian Fabijański,
Marianna Zydek,
Adam Woronowicz,
Janusz Gajos

Wieczór 15 października 2217 r. był chłodny, a jak na Rzym – wyjątkowo wręcz zimny. Ten październik w ogóle był inny niż zwykle. Ponury, deszczowy, smagany porywistym wiatrem. Nie wiadomo, skąd brały się chmury ciemne, gęste, do których w tym miejscu i o tej porze roku nikt nie przywykł. Nawet turyści zachowywali się inaczej niż zwykle. Zamiast jak zazwyczaj pławić się w promieniach słońca na Schodach Hiszpańskich lub wygrzewać się, słuchając szumu fontanny di Trevi albo też gapić się bezmyślnie i leniwie na barokowe fasady kamienic i pałaców, popijając wino, przemykali wąskimi uliczkami w pośpiechu i gorąco. Spieszyli w jedno miejsce – na plac Świętego Piotra.

Czuło się przez skórę powszechną tęsknotę za czymś wielkim i nadzwyczaj-

zwany FF. Trzydzieści pięć lat wcześniej, w 2182 r., wybór takiego imienia stanowił decyzję przełomową.

„Nie chcę być Franciszkiem VII, wolę być Franciszkiem Franciszkiem” – mówił do zaskoczonych nieco tłumów. W ten sposób wyraził swoje uznanie dla szóstki poprzedników, z których każdy przyczynił się do budowy nowego chrześcijaństwa. Podczas pontyfikatu FF dbał o to, by nikt nie mógł mu zarzucić choćby najmniejszej uległości wobec tradycji. „Kto niczego nie zmienia, nie może być chrześcijaninem” – mawiał.

Słowa te wypowiedział piętnaście lat temu, kiedy to ogłaszał rewolucyjny, jak wtedy komentowano, skład świętego kolegium. Połowa mężczyzn, połowa kobiet. To był naprawdę śmiały i niezwykły ruch. Niestety, późniejsza choroba i słabość fizyczna uniemożliwiły FF

zdawało się czymś bajecznym. Jak krótki powrót do fantazji dzieciństwa. Na chwilę można było porzucić życie tak niezdolnie przewidywalne i kontrolowane. Po strasznie długim, trzydziestopięcioletnim pontyfikacie FF oczekiwano, że do głosu dojdzie młode pokolenie. Że rozbrzmi nowy głos i padną burzące porządek, ważne hasła. Ta atmosfera radosnego podniecenia dziwnie klóciła się z pogodą, tak dla Rzymu niezwykłą. Tak jakby nieba obraziły się na radość, która wypełniła miasto.

Od kilku godzin, kiedy to w dwuosobowym składzie kardynałów i kardynałek wybrano na nowego papieża Juana Pabla Bergamota, Rzym – chłostany z zewnątrz deszczem, wiatrem i zimnem – był jak w malignie. Co powie w pierwszym przemówieniu? Nazwisko Bergamota, wcześniejszego arcybiskupa Paryża, kardynała świętego rzymskiego Kościoła

Epoka Antychrysta

Powiastrka apokaliptyczna o czasach ostatecznych

nym. Miało się stać coś takiego, czego nigdy wcześniej nie było. A jednocześnie coś, co zawsze było, miało teraz przestać istnieć. Taki właśnie panował powszechny nastrój. Zmiany, zmiany i jeszcze raz zmiany. Gdyby nie to, że słowo to zostało wyświechtane i zbanalizowane, można by było mówić o oczekiwaniu na historyczny przełom.

Na pewno do tego nastroju przyczyniły się media. Od kilkunastu dni, to znaczy od śmierci starego papieża, zachowywały się jak opętane. Donosiły o wielkiej zmianie, o niebywałym przełomie, o dziejowym skoku ludzkości. Miało się to dokonać za sprawą najbliższego konklawe. Dziennikarze skupili się na podkreśleniu nowego trybu wyborów.

Będzie to pierwsze zebranie kolegium kardynalskiego – jak pisali – przeprowadzone według rewolucyjnych reguł. Jego członków w większości nominował Franciszek Franciszek, powszechnie

osiągnięcie wymarzonej pełnej i właściwej reformy.

„Zostawiam to mojemu następcy. To mój testament” – miał powiedzieć tuż przed śmiercią. „Ja byłem papieżem zmian. On będzie sam zmianą”. Te nieco zagadkowe słowa były właśnie powodem obecnego gorączkowego wyczekiwania.

Tego dnia w południe rzecz się dokonała. Miasto i świat zyskały dwieście siedemdziesiątego trzeciego papieża. Wybór okazał się szybki, może najszybszy w dziejach papiestwa. Nie było wątpliwości, że nowo wybrany Ojciec Święty ma za sobą poparcie zdecydowanej większości kolegium. Spodziewano się, że jeszcze tego wieczora pokaże się publicznie i wygłosi przemówienie. Zatem kto żył sam chciał doświadczyć tego, co nowe, niezwykle.

Ludzie pragnęli wyrwać się choćby na chwilę ze spowijającego wszystko kokonu nudy, znużenia i bezsensu. Spotkać przemawiającego po raz pierwszy papieża

i jednocześnie peritusa rządu światowego, wraz z innymi gubernatorami pilnującego globalnego ładu, było na ustach wszystkich. „To na niego wskazał FF” – takie zdanie krążyło z ust do ust.

IMIĘ DWUNASTEGO APOSTOŁA

Nowy Ojciec Święty, ledwie pojawił się na balkonie Pałacu Apostolskiego, już wywołał wśród zgromadzonych niebywałe wręcz podniecenie. Nadszedł wieczór. Nawet gdyby nieba nie przykryły chmury, byłoby całkiem ciemno. Jednak nawet z najdalszych zakamarków placu, zza dostojnych kolumn, dało się dostrzec białą sylwetkę. Papież był drobny i szczupły. Ci, którzy mieli lepszy widok, dostrzegli jego nieco wysuszoną twarz. Dlatego tak zaskoczył wszystkich jego głos. Nie brzmiał cicho ani łagodnie, lecz uderzał niczym dzwon. Już pierwsze słowa miały moc pioruna. Rozświeciły plac niczym blask błyskawicy. Jakby wszystkich przeniknęła niewidzialna iskra elektryczna.



„Kłamstwa Antychrysta” – fragment fresku autorstwa Łuki Signorellego z lat 1499–1504, który znajduje się w katedrze w Orvieto FOT. GETTY IMAGES

Wielkie poruszenie wywołało już samo imię. *Annuntio vobis gaudium magnum* – te słowa, rytualnie powtarzane od wieków, a teraz wygłoszone przez Juana Picculina Virgo Ligiduppę, kardynała kamerlinga, brzmiały jak zwykle radośnie i odświętnie. Emanowały z nich spokój i zadowolenie. I wtedy niczym grom z jasnego nieba padło to imię: Judasz. Początkowo nie wszyscy byli pewni, czy zrozumieli. Ludzie pytali się w zdumieniu, co oznacza to imię. O kogo chodzi? Niektórzy byli pewni, że kardynał się pomylił. Musiał mieć na myśli Judę Tadeusza, mówili. Inni gapili się w ekrany telefonów, czekając na potwierdzenie. Niepewność nie trwała długo, bo wątpliwości wyjaśnił sam nowo wybrany biskup Rzymu.

„Dobry wieczór, moi kochani, moje kochane – włoskie słowa brzmiały słodko, sympatycznie i ciepło. – Wiem, że wielu z was może zdumieć się takim wyborem patrona, ale pozwólcie, że szybko wam to wytłumaczę. Otóż przybierając imię Judasza, chciałem pokazać, że dla boskiego miłosierdzia nie istnieją żadne granice. Tak, ten właśnie człowiek, który zdradził Chrystusa, ten, który wydał go na śmierć, który, jak mówi Pismo, »pocałunkiem wskazał Syna Człowieczego«, ten właśnie, który za swą wiarołomność wziął pieniądze, a potem, nie mogąc znieść tego, co zrobił, powiesił się, właśnie on będzie odtąd patronem i znakiem, symbolem wszechmiłosierdzia i wszechdobroci”.

Ktoś schowany za kolumnami zaczął bić brawo. Po chwili dołączyły się pojedyncze oklaski z drugiej strony placu. Większość wiernych trwała jednak w milczeniu, zaskoczona, niepewna.

Podnieceni korespondenci upewniali się, że nigdy wcześniej tego imienia nie przybrał. Sprawdzali w sieci, dzwoniли do znajomych, kontaktowali się ze specjalistami. Nie, żaden z poprzednich biskupów Rzymu nigdy nie wybrał sobie tego patrona. Skąd Judasz? Większości wydawało się w ogóle nie przychodzić na myśl inne godne papieża imię niż Franciszek.

„Dlaczego nie został kolejnym Franciszkiem?” – dziwiono się. Franciszków było po kolei siedmiu. Wypadałoby, żeby następny też nadał sobie to imię. Przecież właśnie Franciszkowie skierowali Kościół we właściwą stronę.

Ludzie liczyli na coś podobnego do tego, co zrobił poprzednik kardynała

■ Bergamota. Może Franciszek Franciszek Franciszek? FFF – to brzmiało dobrze. Jednak i inne konfiguracje z F brzmiały obiecująco. „Judas” budził opór. Choć coraz mniej ludzi było w stanie dokładnie powiedzieć, czym wstawił się dwunasty apostoł i jakie było jego znaczenie na kartach Ewangelii, odczuwało się powszechnie dziwność i niewygodę. Może jednak gdzieś w podświadomości u obecnych wtedy na placu pojawiły się pytania i wątpliwości? Może przetrwało mocne skojarzenie imienia ze zdradą? Jeśli tak było, to opory szybko zostały przełamane przez Juana Pabla Bergamota.

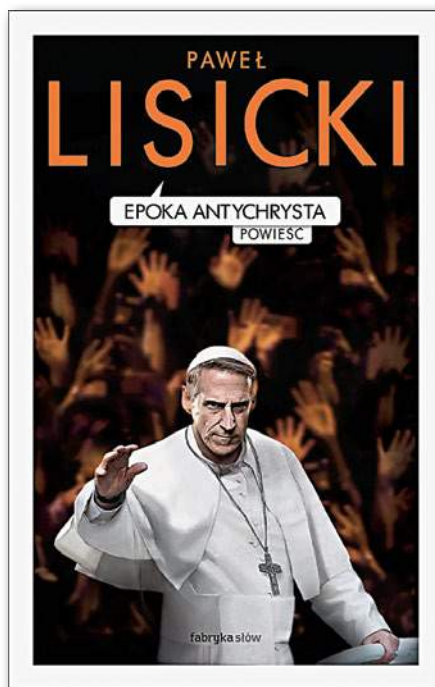
„Pamiętam, jak wiele lat temu – mówił – poruszyła mnie ta myśl, tak pięknie wyrażona przez mojego dalekiego poprzednika, Franciszka I, który mówił, jak wiele można nauczyć się od Judasza. Jako młody chłopiec trafiłem na piękną książeczkę o tym pierwszym wielkim, naprawdę niezwykłym papieżu i na jego przejmujące słowa o tym zapomnianym, odrzuconym, pomijanym apostołe Chrystusa”.

Papież zawiesił na chwilę głos, pozwolił rozbrzmiewać ciszy. Mimo że najdalej stojący nie mogli widzieć jego twarzy, obejrzelili ją na ekranach telefonów. Widzieli, że jest szczupła, o oliwkowej barwie, z małymi, palącymi oczami i ostrym nosem. Ojciec Święty miał czarne włosy. Znowu z jego ust wydobył się głos potężny, mocny, silny. Ach, jak on potrafił modulować jego tembr. Jakże ten ton nie pasował do drobnej sylwetki i małej postaci!

„Nie ma podłości i zdrady nie do wybaczenia! Nie ma żadnego sądu ani kary, która by ograniczała boską miłość! Pokochajmy Judasza, a wszystko stanie się dla nas jasne! Franciszek był pierwszym, który jasno nauczał, że człowiek jest bezwzględnie kochany takim, jakim jest. Ze wszystkimi swymi słabościami, innością, dziwnością. Im bardziej jest nam obce jego zachowanie, im bardziej wydaje się nie do zaakceptowania, im bardziej burzy nasze poczucie tego, co słuszne, a co nie, tym bardziej taki człowiek zasługuje na miłość, na akceptację, na potwierdzenie. Tego samego uczyli również inni wielcy następcy Franciszka, również mój niedawno zmarły poprzednik. Człowiek jest większy niż zło i dobro, człowiek musi być usprawiedliwiony przez wszystko, we wszystkim i na zawsze. Niezależnie od tego, czy Bóg istnieje, czy nie, człowiek ze swym poczuciem tragizmu, niedoskonałości, słabości, klęski, ze swymi zdradami, małostkami,

kłamstwami musi być przyjęty i uznany. Kiedyś, przed epoką franciszkańską, panowało przekonanie, że o godności człowieka decydują jego czyny. Wielki papież zawołał: nieprawda! Wszyscy jesteśmy tak samo źli, jak i dobrzy, jednocześnie grzesznicy i święci. Żaden czyn, żadna myśl, żadne pragnienie nie czyni nas złymi, niegodnymi, skazanymi na karę. Kary nie ma! Kara to zemsta, a dla zemsty nie ma miejsca. To wszystko tak mnie zachwyciło, tak poruszyło, że od tamtej chwili chciałem pójść w ślady Franciszka i jeszcze mocniej, jeszcze wyraźniej mówić oraz pokazywać, na czym polega chrześcijaństwo. Dlatego przybieram sobie imię Judasza i więcej jeszcze! Pierwszą rzeczą, jaką zrobię po formalnym objęciu urzędu, będzie wyniesienie tego dwunastego apostoła na ołtarze. Tak, wiem, że wielu z nas straciło wiarę w niebo i piekło, ja sam skłamałbym, gdybym twierdził stanowczo, że ją zachowałem. W ogóle nie jestem pewien, czy wierzę i w co wierzę, ale na wszelki wypadek ogłoszę i zadeklaruję, że Judasz jest świętym nie gorszym niż wszyscy inni: Piotrowie i Pawłowie, Andrzejowie i Janowie, Jakubowie oraz reszta”.

Na placu zaległa cisza. Dokonywało się coś naprawdę nowego. To nie były żarty. To nie były puste słowa. Nikt tak nigdy nie przemawiał. Nawet w tej epoce, w której wszystko wydawało się względne, poznane, przewidywalne, epoce, w której mogło się wydawać, że wszystkie słowa i zdania straciły sens, bo stały się jedynie konfiguracjami znaków przypisywanych odpowiednim podmiotom, to, co mówił papież Judasz, zdawało się świeże i zaskakujące. Słuchacze mieli wrażenie, jakby ktoś chwycił ich za serce. Jakby ktoś wylał im na głowy kubek zimnej, świeżej wody. Stali się czysti. Zostali usprawiedliwieni.



Spotkanie promocyjne pt. „Koniec rzymskiego katolicyzmu?” odbędzie się 27 września, w księgarni Empik Junior, przy ul. Marszałkowskiej 116/122 w Warszawie, o godz. 18. Oprócz autora wezmą w nim udział: ks. prof. Andrzej Kobylński, Krzysztof Masłowski i Marcin Wolski. Dyskusję poprowadzi Rafał Dudkiewicz, dziennikarz Polskiego Radia 24.

Judasz ich wyzwolił. Pokazał im drogę. Nic nie było teraz straszne. Nic nie było niegodziwe. Nic nie obciążało ani nie hamowało człowieka. Jesteśmy, jacy jesteśmy, i to jest dobre.

„Słuchajcie mnie ci, którzy jeszcze macie dość sił, żeby tu przyjść lub mnie oglądać na ekranach! Ja, Judasz I, poważnie wziąłem sobie do serca słowa o tym, że Kościół musi być solidarny z całą ludzkością, że chrześcijanin musi być po prostu człowiekiem. Całkiem i we wszystkim człowiekiem, ani trochę chrześcijaninem! Obiecuję, że

was tym razem nie zawiodę, że tęsknoty i nadzieje świata tym razem się spełnią. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Ktokolwiek będzie chciał osądzić człowieka, jakkolwiek sędzia lub wyższa instancja, będzie miał z nami do czynienia. Tylko razem można odrzucić tyranie sprawiedliwości. Dlatego w najbliższym czasie wydam specjalną bullę »Ineffabilis homo«, gdzie dokładnie, precyzyjnie i nieodwołalnie, tak jak domaga się tego kościelna tradycja, przedstawię swoje myśli i zobowiązę wszystkich pozostałych katolików do całkowitego posłuszeństwa”.

Ledwo nieco się cofnął, zabrzmiały oklaski. Inne były niż na początku. Dość nieśmiałości! Dość wahania! O ile wcześniej rozlegały się słabo, niepewnie i w rozproszeniu, o tyle teraz, niby zrywające się do lotu stado gołębi, objęły cały plac. Stały się huczne, gęste, potężne. To było coś niezwykłego. Od lat nikomu nie udało się wywołać takiej owacji. Nikt nie wzbudził takiego entuzjizmu zgromadzonych. Ostatni raz miało to miejsce dziesięć lat wcześniej, w czasie koncertu rockowego zespołu The Peters, kiedy to muzycy przebrani w stare pontyfikalne stroje papieży grali swój największy przebój „I Love Fucking

Your Ass". To było szalone, to było wielkie. Tłum patrzył i ryczał ze szczęścia, bo czuł, że dokonuje się wielka profanacja. Tłum chyba się i trząsł, bo doznawał bluźnierstwa. Był to pierwszy koncert transmitowany nie tylko do wszystkich krajów świata, lecz także na inne planety – można go było obejrzeć na Księżycu i na Marsie, w założonych tam stacjach badawczych. Aż trudno to sobie było wyobrazić. Na placu Świętego Piotra dokonywało się wspaniałe świętokradstwo i wszyscy się z tego powodu cieszyli. Ale to było dawno temu. I jednak chodziło tylko o zespół rockowy.

Ktoś najpierw cicho zawołał: „Judasz, Judasz”. Potem imię to zaczął skandować cały plac. Jedni wołali: „Niech żyje”, inni krzyczeli: „Nareszcie”. Był to zapewne najbardziej niezwykły wieczór w Wiecznym Mieście od dziesiątków lat. Jeszcze wiele dni później ci, którzy tam byli, wspominali ową niesamowitą, podniosłą, a jednocześnie elektryzującą atmosferę. Mówiono, że w powietrzu można było wyczuć niemal przepływ prądu. Ludzie mieli wtedy wrażenie niezwykłego zjednoczenia. Mówili o wlaniu nowego ducha. To był stan euforii, przyprawiającej o zawrót głowy i szaleństwo. Mimo że Judasz zniknął już dawno z okna, że nad głowami obecnych wisiał tylko pusty balkon, a szyby zasłonięte zostały grubą kotarą, masy nie rozchodziły się do domów i lokali. Coś trzymało je na miejscu. Tłum cierpliwie znosił zacinający deszcz, falaował, krzyczał i ekscytował się, wibrował niczym pobudzony rój pszczoł. Jakby ktoś wyjął ludzi z ram zwykłego życia i pchnął w inną, nieznaną stronę.

Pierwszy raz od 2200 lat ludzie głośno upomnieli się o najbardziej zohydzoną postać Nowego Testamentu – brzmiał następnego dnia komentarz najbardziej znanego włoskiego publicysty, ita.1.

„Tym jednym wspaniałym gestem Juan Pablo Bergamoto ustanowił nowy sens dziejów. Po niemrawych i niepewnych sobie ostatnich Franciszkach wreszcie mamy kogoś na miarę Jana XXIII. Po dwustu latach doczekaliśmy się papieża, który rozumie, czym jest współczesność” – pisał Johann Georg Banał.

Papież wreszcie nawiązał prawdziwy dialog ze światem. Nareszcie po okresie nieśmiały i połowicznych zmian, tak typowych dla siedmiu poprzednich Franciszków, na czele Kościoła stanął ktoś gotów wyciągnąć radykalne wnioski z dziejowej sytuacji człowieka – dopy-

wiadał w podobnym duchu inny wybitny znawca, qxr44.

„Wreszcie ktoś doprowadza sprawy do końca” – chwalił papieża Joshimo Kilibiri, szef największej japońskiej kliniki spokojnego umierania, należącej do wielkiej sieci Oggie 5.00. I dodawał: „Nie mogę w to uwierzyć, ale pierwszy raz, słysząc papieża, odczuwam coś na podobieństwo nadziei. Postanowiłem pozwolić moim pacjentom na stały dostęp do watykańskich filmów. Czuję się tak, jak za czasów młodości, kiedy to pierwszy raz zobaczyłem nowej generacji maszynę do samobójstwa. Zero bólu, nieskończoność totalna. To jest to” – kończył.

W tych komentarzach wyraźnie dawało się wyczuć nutkę rozczarowania ostatnim pontyfikatem i szerzej, jak to często wkrótce mówić, epoką Franciszków. Uważano powszechnie, że mimo wielkich nadziei, jakie z nimi wiązano, brakowało wciąż przełomu. Dokonali wiele. Zwalczali zaściankowłość, przekraczali nieokreślone granice. Ale zawsze z ociąganiem, zawsze zbyt późno. Starali się bardzo, ale byli wciąż za światem. Krok z tyłu. Nawet FF, który początkowo wydawał się odważny, wręcz śmiały, nie nadążył. Nie potrafił doprowadzić do tego, żeby Watykan stanął na czele zmian.

„Kiedyś byliśmy dwieście lat do tyłu za światem – zażartował jeden z hierarchów, który nie chciał, by jego imię przeniknęło do opinii publicznej – dzisiaj jedynie dwadzieścia”.

Tak skomentował wspomnianą już decyzję o dopuszczeniu do kolegium kardynalskiego kobiet. Dlaczego tak późno? Kobiety już wcześniej przecież zostały kapłankami. Potem mogły być również proboszczami. Synod Holandii i Niemiec wprowadził je na funkcje biskupów.

Dlaczego FF nie pociągnął reform już w pierwszym roku urzędowania, a dopiero w dwudziestym? – te głosy padały najczęściej. Pokazywały one rosnącą frustrację i zniechęcenie tych wszystkich, którzy liczyli na prawdziwy przełom i autentyczną odnowę.

Czasami jest tak – pisał wówczas Kilibiri – że najbardziej potrzebne i nieodzowne reformy zostają wprowadzone tak późno, że przestają cokolwiek znaczyć. Dlatego z punktu widzenia skuteczności zarządzania nie mniej ważne niż „co” jest „kiedy”. W tym sensie FF nas zawiódł.

Pod niektórymi oficjalnymi komentarzami pojawiły się jednak krytyczne

wpisy. Nie da się ukryć, było to poważne niedopatrzenie służb. Zgodnie z obowiązującym prawem specjalnie wyszkolone zespoły antyhejterskie zatrudnione przez globalne Ministerstwo Sprawiedliwości miały pilnować, żeby takie przejawy niechęci do postępu nie mogły mieć miejsca. Monitorowano wszystkie wypowiedzi. Mysz by się nie prześlizgnęła. Badano, analizowano, oceniano. Jednak tym razem czujność ekspertów została oszukana.

„Ale jaja. Niewierzący papież chce zmusić do wiary w swoje brednie wierzących katolików” – jak później się okazało, tej treści obrzydliwy, nienawistny wpis wisiał na oficjalnej stronie Watykanu przez całych siedem minut i szesnaście sekund.

„To nie papież, ale przebieraniec. Jest gorszy niż wszystkich siedmiu Franciszków razem wziętych” – ten przetrwał trzy minuty.

Co gorsza, mimo późniejszych wysiłków i sporych nakładów nie udało się ustalić sprawców. Nie wiadomo, czy działali osobno, czy stanowili część zorganizowanej szajki nienawistników. Można było przypuszczać, że stał za nimi wyjątkowo przebiegły i perfidny haker. W sobie tylko znany sposób mógł najpierw zamieścić wypowiedź, a potem starannie zatrzeć ślady. Ale o fakcie tym wiedzieli tylko wtajemniczeni, wąska grupa specjalistów od walki z mową nienawiści. Wszystkich czytelników owych ohydnych wpisów raz-dwa wytropiono i poddano szczególnej obserwacji.

W tym przypadku jednak alarm okazał się przesadny. Odbiorcami nienawistnych treści okazały się osoby przypadkowe. Zresztą, jak wyszło szczęśliwie na jaw następnego dnia, dziewięćdziesiąt procent od razu zgłosiło wpisy służbom monitorującym sieć, a pozostałych dziesięć procent chciało to zrobić w późniejszym okresie. Zdarzenie to można było przyrównać do skromnej zmarszczki na wielkim, gładkim oceanie spokoju albo do malutkiej chmurki na gigantycznym, wszechobejmującym, czystym, lazurowym nieboskłonie. Mimo wszystko głosy sprzeciwu stanowiły margines. Judasz okazał się zwycięzcą. Przyszedł, zobaczył, zwyciężył. Rzym i świat były jego.

© © Wszystkie prawa zastrzeżone

Paweł Lisicki

Fragment najnowszej powieści „Epoka Antychrysta”, która 28 września ukaże się nakładem wydawnictwa Fabryka Słów.

Łatwość fałszowania obrazów



*„Corot namalował 3000 obrazów,
z czego co najmniej 5000 jest w Ameryce”
[dowcip powtarzany przez handlujących sztuką]*



Waldemar
Łysiak

Sztuka fałszowania sztuki to jeden z najstarszych przejawów artystycznej (pseudoartystycznej?) działalności człowieka bardziej uzdolnionego niż rzemieślnicy „*homo faber*”. Fałszowanie dzieł i arcydzieł trwa nieomal od czasów Jaskini — już w dalekim Antyku proceder ten kwitł brawurowo; w czasach nowożytnych dostał wielobarwnych skrzydeł; w czasach nowoczesnych (wczorajszych/dzisiejszych) nie zwolnił tempa, gdyż zabawa jest zbyt kusząca, aby chciano ją kończyć deklaracją: „*game over!*”, zatrzymując wieko dochodowego biznesu. Jego pomniki stoją we wszystkich szanujących się miastach świata — to muzea wszelakiego rodzaju, nie wolne od podróbek, które eksperci uznali za autentyki. Natomiast jego wspomniana wyżej wielobarwność to wielogatunkowość, fałszowane bowiem było/jest wszystko: malowidła, rzeźby, rysunki, ceramika, złotnictwo, każde artystyczne majsterkowanie ludzkiego gatunku. Ponieważ Lisicki znowu nie dał mi 100 stron „**Do Rzeczy**” na lapidarne chociażby omówienie proceduru rzeczowego — skupię się dzisiaj wyłącznie na podrabianiu stylów artystycznych, który to proceder przynosi krociowe zyski utalentowanym cwaniakom (a jeszcze większe ich kompanom pośrednikom, marszandom, przekupnym weryfikatorom), i wyłącznie na malarstwie, czyli na prestidigitatorach pędzla. Oni sami nie uważają się za fałszerzy czyli przestępców:

Tytuł mojego niniejszego artykułu jest chyba bardziej „komercyjny” aniżeli uprawomocniony, gdyż ewidentne fałszowanie obrazów to kopiowanie danych dzieł, czyli werystyczne/precyzyjne naśladowanie konkretnych ujęć, podczas gdy naśladowanie czyjegoś warsztatu (techniki) oraz stylu to pastiszowanie. Słowo *p a s t i s z* pochodzi od włoskiego słowa „*pasticcio*” (pasztet) i oznacza (lapidarnie formułując) tworzenie technika i manierą innego artysty. Pastiszowcy zawsze pytają: „*A co, nie wolno mi malować w stylu Rubensa czy Picassa?*”. I mają rację: bawiąc się cudzą manierą reproduktorsko nie są kryminalistami, lecz hołdującymi

mistrza wielbicielami, ale tylko wtedy, gdy podpisują obraz własnym nazwiskiem i nie próbują sztuczkami materiałowymi (od farb do blejtramów) postarzać go, czyli gdy dzieło nie pretenduje do bycia wytworem mistrza naśladowanego. Jednak gdy pastiszowiec lub współpracujący z nim handlarz kombinator sugeruje (fałszywą sygnaturą, „*lewą*” ekspertyzą, itp.), że praca wyszła spod ręki pastiszowanego twórcy — mamy do czynienia z fałszyfikatem „*par excellence*”, czyli z przestępstwem. Ponieważ zdarza się to bardzo często (rynk antykwarские, galerie, muzea i prywatne kolekcje są nieustannie zalewane taką „*lipą*”) — tytuł artykułu, który Państwo właśnie czytacie, jest mimo wszystko usprawiedliwiony.

POLSKIE ZABAWY

Użyte wyżej sformułowanie „*bardzo często*” dotyczy również II RP oraz III RP, a że „*bliższa koszula ciału*” — zaczęły właśnie od rynku rodzimego. Tak II RP, jak i III RP, startowały tudzież rozwijały się po dużych historycznych przełomach (I Wojna Światowa i upadek komunizmu). W obu przypadkach pierwsze lata były trudne, ale że rynki były całkowicie uwolnione — konieczne do przetrwania i do inwestowania środki zdobywano m.in. wyprzedając domowe zasoby artystyczne, czyli dzieła sztuki i rzemiosło. Nadwiślańska burżuazjina i szlachcka społeczność „*międzywojnia*” szybko jednak okrzepły i sięgnęły po modne nowe polskie malarstwo, to ze schyłku wieku XIX i z trzech pierwszych dekad XX. Wkrótce popyt przekroczył podaż, a wiadomo, że „*natura nie znosi próżni*”. Do dzisiaj krążą legendy o tzw. „*Fabryce polskich obrazów*” produkującej wówczas fałszywki pastiszowe. Miała działać w Kaliszu, zaś utworzyć ją miało kilku młodych „*zadolnionych*”, dzięki którym między Bałtykiem a Tatrami funkcjonował hurt „*Kossaków*”, „*Fałatów*” i „*Malczewskich*”, jakich Malczewski, Fałat i Kossakowie nie dotknęli ręką (stąd w moich zbiorach trzymam wyłącznie sławną „*Zamilkłą baterię*” Wojciecha Kossaka, bo jej barwną reprodukcję dał on wewnątrz swych memuarów, „*Somosierrę*” Juliusza Kossaka, bo reprodukowały ją wszystkie napoleońskie albumy „*międzywojnia*”, i „*Dwa światy*” Juliana Fałata, bo przed wojną ten wielki obraz był ozdobą lwowskiej Galerii Narodowej i jako perła figuruje w albumowym jej katalogu), później zaś wzięto się też za innych (od Gersona i Siemiradzkiego, po

Pronaszkę i Chełmońskiego). Do dzisiaj sporo „*Fałatów*” i „*Kossaków*” zdobiących kolekcje państwowe (muzea) oraz prywatne, a także „*fruwających*” między galeriami antykwarскими i aukcjami sztuki — to pastisze fałszerskie, istna heca. W pierwszej połowie lat 90-ych widziałem nawet „*pejzaż Wyspiańskiego*” wędrujący pomiędzy galeriami (raz z sygnaturą, a innym razem bez niej!), i na koniec wciśnięty komuś. Takim samym wędrowniczkiem był w tym samym czasie portret Marii Walerii Głogowskiej, rzekome malowidło Witkacego z 1935 roku, jak również cała seria podróbek kompozycji fantastycznych Witkacego (wędrowały między warszawskimi salonami Desy, Hamburgiem, Berlinem i Poznaniem). Witkacego łatwo naśladować, więc „*lewe*” obrazki atrybuowane jemu (sygnaturowo i ekspertyzowo) roją się na ścianach rezydencji polskich.

Tak doszliśmy do ekspertów. Czyli do fachowców, którzy mają wiedzę o sztuce dużo lepszą niż laicy „*nie odróżniający herbaty angielskiej od sztuki angielskiej*” (XIX-wieczny londyński żart). Już dwie/dwie i pół dekady temu, obserwując hucpiarstwo rodzimego rynku sztuki (przysłowiowe „*włosy stawiały mi dęba*”), publicznie (wywiady plus publicystyka) sformułowałem tezę, iż „*ekspertyzy autentyczności dzieł sztuki mogą u nas służyć jako papier toaletowy tout court*”. Oraz druga, że „*co trzeci nasz ekspert wystawi ci za flaszkę świadectwo, iż twój bohomaż nad komódką to dzieło Matejki albo Norbli-na*”. Niejeden Czytelnik pomyśli tutaj, że Łysiak przesadził, wszelako wśród historyków sztuki jest więcej sceptyków/krytyków posługujących się ciężkim słowem przy rzucaniu takich oskarżeń, exemplum dr Mieczysław Morka (wywiad dla „**Rzeczypospolitej**”): „*— Dwadzieścia procent spośród naszych ekspertów zna się na tym, co robi. Pozostali mają bezzcelną odwagę, by pisać ekspertyzy w sposób kompletnie nieodpowiedzialny. Jest to praktycznie bezkarne (...) W handlu dziełami sztuki funkcjonują nie tylko nieodpowiedzialni eksperci, czyli ignoranci, ale mają też miejsce liczne oszustwa. Pewnych katalogów już nie chce do ręki brać*” (2011).

Oszustwa są istotnie liczne, a wśród najgrubszych warto wymienić megaprzeret z lat 1992/1993, gdy dwóch fałszywych antykwaruszy i fałszywy krakowski biskup sprzedali „*mafii pruszkowskiej*” (czyli „*Kiełbasie*” i jego kompanom) 300 fałszyfikatów, a gangsterzy zorientowali się, że ich wrobiono, dopiero przy



„Zjawa” — fałszywka spreparowana w manierze Franciszka Starowiejskiego

■ próbie handlowania „okazyjnym” nabytkiem. Zaś główna publiczna kompromitacja ekspertów mędrkujących o sztuce miała miejsce A.D. 2005, gdy dziennikarze TVN dokonali prowokacji wstawiając na aukcję jako dzieło Franciszka Starowiejskiego obraz malowany przez Rumuna Achimescu w stylu Starowiejskiego (zrobili to za zgodą Starowiejskiego). Rzecz została sprzedana, po czym wybuchł skandal, którego pokłosiem stały się sądowe procesy (tego typu procesy miały już różne polskie domy aukcyjne, m.in. Agra i Polswiss Art). Niektórzy artyści walczyli twardo z fałszyfkami pastiszującymi ich twórczość (Statys Edrigevicius znajdował takowe w rozlicznych galeriach). Przesławna „Kolekcja Porczyńskich” (zwana szumnie „Kolekcją im. Jana Pawła II”), której czołowi rodzimi eksperci bili pokłony lizusowsko, natkana była śmieciami pastiszowców.

Humbug Porczyńskich obejmował m.in. pastiszowe robótki artystów cudzoziemskich sprzed kilku wieków, renesansowe, barokowe, itp. Wiek XIX (zwany „stuleciem fałszerzy”) i wiek XX mocno rozwinęły fałszyfikatorstwo tego rodzaju. Przykładowo: moda na sztukę sienneńską wieków XIV i XV uruchomiła w Sienie (pierwsza ćwierć wieku XX) gang pastiszowców, którego produkty trafiły również do szacownych polskich placówek (Wawel, stołeczne Muzeum Narodowe, etc.). Jest o czym gadać, gdy zbierają się oszukani znawcy (exemplum międzynarodowa warszawska konferencja „Fałszyfikaty dzieł sztuki w polskich zbiorach”, maj 1999).

Za granicą karuzela z „falsami” pastiszowymi kręci się, rzecz prosta, jeszcze

szybciej i daje efekty jeszcze bardziej trwożące miłośników sztuki, jej zbieraczy i koneserów. O czym niżej:

WŁAŚCIWA TECHNIKA RETRO

Pastiszowe naśladowanie czyjejs manieri jest równie stare jak fałszyfikatorskie kopiowanie czyjegoś obrazu (vide Jaskinia i cała Starożytność), zaś w dobie nowożytnej był to już proceder częsty i pozytywnie oceniany przez klientów pragnących oszczędzić trochę grosza (dzieła mistrzów kosztowały sporo, a robótki naśladowców mniej). Jedni spośród mistrzów nienawidzili tego procederu (w stuleciu XVII, czyli w „złotym wieku sztuki holenderskiej”, sławny holenderski malarz Pieter van Laer, zwany „Bamboccio”, odebrał sobie życie, bo jego równie sławny holenderski kolega, Philips Wouwermans, umiał naśladować manierę „Bamboccia”), gdy innych zupełnie to nie gniewało, a niektórzy wręcz prowokacyjnie zachęcali do tego, kreśląc farbą u dołu blejtramu lub rewersu: „Machs na!” (Naśladuj mnie!; w domyśle: jeśli potrafisz). Szczególnie opłacalne było naśladowanie geniuszy, czyli (gdy już jesteśmy w Ho-

landii XVII-wiecznej) Vermeerów lub Rembrandtów. Na początku stulecia XX „oeuvre” Rembrandta liczyło 988 desek i płócien, około połowy tego wieku mniej niż 600, w 1969 roku zaledwie 451, a definitywnej rzezi odsiewającej (zarówno pastisze, jak i dzieła uczniów oraz epigonów Rembrandta) dokonała grupa weryfikatorów funkcjonująca od roku 1967 pod nazwą Rembrandt Research Project, dzięki której dzisiaj spuścizna Rembrandta liczy mniej niż 250 obrazów, czyli niespełna jedną czwartą bogactwa z roku 1900.

Zdarzało się podrabianie Rembrandta i w wieku XX, lecz nie było częste, albowiem było zbyt trudne materiałowo. Żeby tego dokonać trzeba zdobyć stare (XVII-wieczne) płótno lub równie starą deskę, co akurat nie musi być kłopotliwe, świat bowiem jest pełen lepszych lub gorszych malunków z czasów Rembrandta, które można zeszkrobać i zmyć, ale już spreparowanie farb, lakierów, żywic, olejów i klejów według receptur XVII-wiecznych to wyższa szkoła jazdy, przy której powodowanie krakelur (spękań warstwy malarskiej sugerujących starość obrazu) za pomocą wysokich temperatur to pestka. Zresztą rozwój technik badawczych (analogicznie jak w laboratoriach anty-



„Modlący się święty Jakub” — fałszywka naśladowująca (pastiszująca) styl Rembrandta

Fałszywy renesansowy fresk
(dzieło Giuntiego)

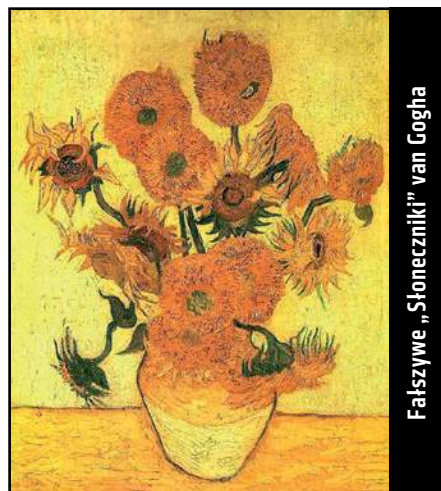


dopingowych) coraz bardziej utrudnia oszukiwanie weryfikatorów. Inna sprawa, że fałszerze podrabiający „dawnych mistrzów” często wpadają przez lenistwo i niefrasobliwość, idąc na łatwiznę stosowaniem farb, których nie było w dawnych wiekach (pigmenty syntetyczne, takie jak błękit pruski i biel cynkowa, istnieją dopiero od XVIII wieku, a ultramaryna, błękit kobaltowy i żółcień kadmowa — od wieku XIX). Dwaj świetni włoscy fałszerze z pierwszej połowy XX wieku, Icilio Federico Joni i Umberto Giunti (obaj byli wykładowcami w sienieńskim Istituto di Belle Arti), nie mogliby pół wieku później równie łatwo mieć historyków sztuki i koneserów „sienieńskim malarstwem sztalugowym XIV/XV stulecia” (Joni) czy rzekomymi freskami z tego samego okresu (Giunti). Jeden i drugi przyznali się po latach, pisząc pamiętniki: Joni machnął książkowy memuar (będący też swoistym poradnikiem dla oszustów) „Wspomnienia malarza starych obrazów, z uwagami tyjącymi malarstwa temperowego tudzież sposobów postarzania malunków i złocień” (1932), zaś Giunti „Le memorie...” na łamach magazynu „L'Orto” (1938), chwając się: „Odkryłem właściwą technikę takiego malowania i pacynowania obrazów, by udawały bardzo stare dzieła”.

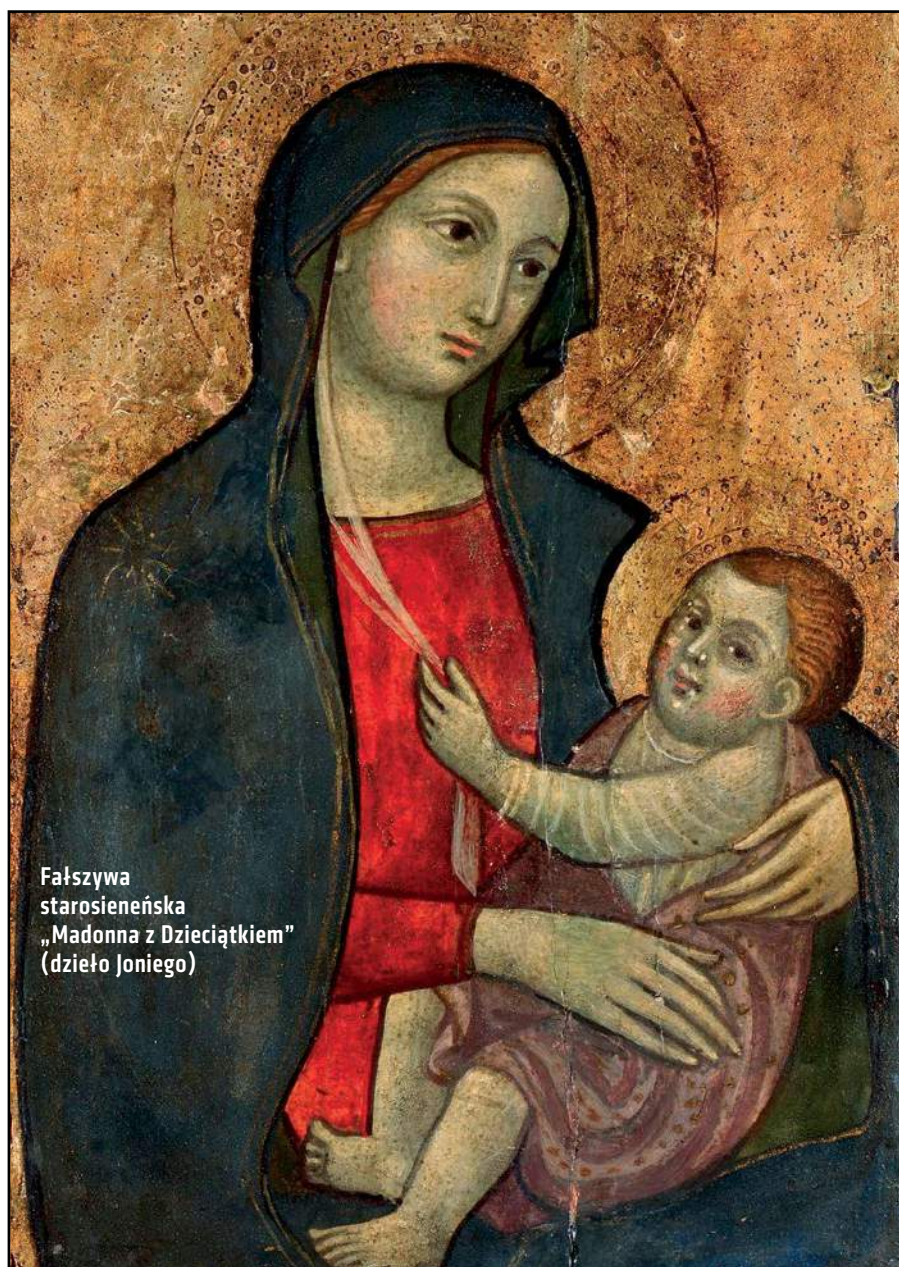
Przez cały XX wiek za dużo łatwiejsze fałszerstwa uchodziły podróbki mistrzów drugiej połowy stulecia XIX i pierwszej XX. Nowe techniki weryfikacyjne mocno utemperowały hochszaplerów, lecz jeszcze w latach 80-ych i 90-ych minionego wieku tony fałszywych dzieł Impresjonistów czy podróbek prac Chagalla sprzedawano bogatym Azjatom (zwłaszcza Japończykom). A van Gogh? Na 700 przypisywanych mu obrazów co najmniej 100 to podróbki (niektóre w sławnych muzeach, exemplum: „Arleżjanka” w nowojorskim Metropolitan Museum of Art, bądź „Portret doktora Gacheta” w paryskim Musée d'Orsay). Świat zna

kilkanaście „Słoneczników” van Gogha, wszelako według fachowców: spod jego ręki wyszły zaledwie trzy. Ileż dzieł o van Goghu, i nawet katalogów specjalistycznych, musi iść do kosza, exemplum wielce renomowany swego czasu rejestr Baarta de la Faille'a „L'Oeuvre de Vincent van Gogh. Catalogue raisonné” (pierwsze wydanie 1928), którego autor musiał później długo bić się w piersi, znalazło się tam bowiem 30 podróbek z berlińskiego antykwariatu fałszerza Ottona Wackera.

To, iż na każdym „perskim jarmarku” świata można kupić za grosze malowidła sygnowane wielkimi nazwiskami — nie jest problemem. Problemem są fałszywe (za duży grosz) lub błędne (z powodu



Fałszywe „Słoneczniki” van Gogha



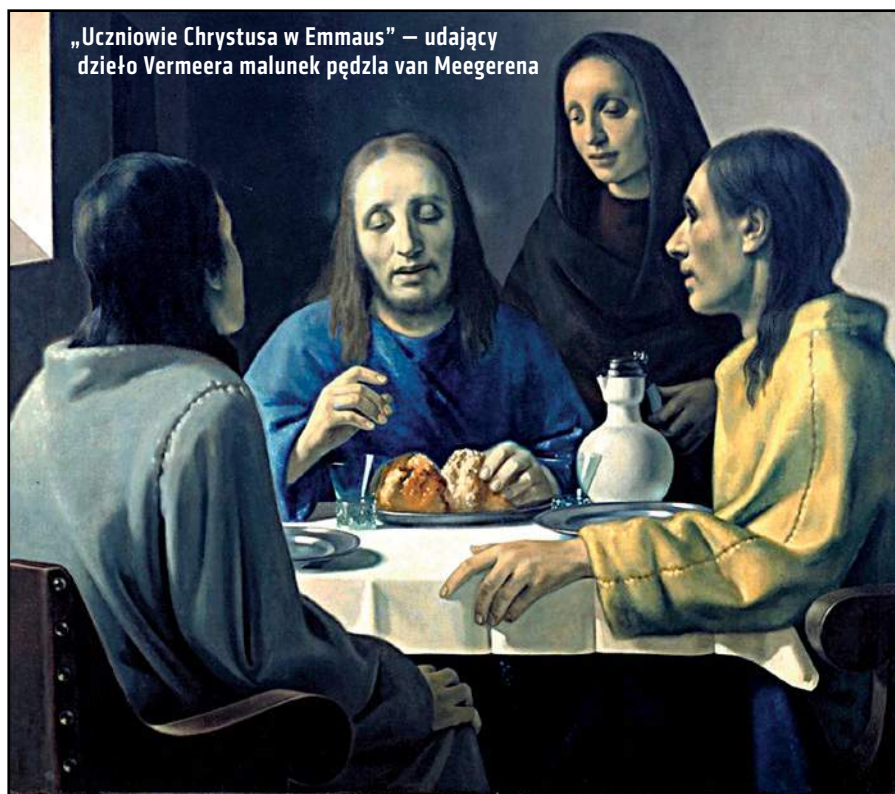
Fałszywa starsienieńska
„Madonna z Dzieciątkiem”
(dzieło Joniego)

ignorancji) opinie ekspertów. Już ponad sto lat funkcjonuje na rynku sztuki pewien fatalny obyczaj: ekspert umawia się z właścicielem dzieła, że napisze mu dowolną ekspertyzę identyfikacyjną, jednak pod warunkiem, iż właściciel nie będzie sprzedawał obrazu. Lecz takie umowy nie są dotrzymywane przez właścicieli i te fałszywe ekspertyzy uwiarygodniają podróbki w handlu, zaś wielkie afery wybuchają tylko przy olimpijskich nazwiskach. Czas wreszcie zerknąć na galerię gwiazd pastiszowania ze stu ostatnich mgnień wiosny.

BOMBA ATOMOWA

Chociaż w XIX wieku pojawiło się kilku rewelacyjnych fałszerzy–pastiszowców, jednak dopiero w pierwszej połowie XX stulecia eksplodowała fałszerska bomba atomowa, a w drugiej wodorowa. Obie zdewastowały/zdeklasowały (ergo: skatowały) środowisko czołowych ekspertów od spraw sztuki — historycy sztuki darzeni najwyższą renomą światową rzucili się sobie do gardeł, tocząc zajadłe spory, które skompromitowały branżę na kilka dekad.

Atomówką był holenderski malarz Han van Meegeren. W okolicach I Wojny Światowej i przez parę lat po niej osiągał pędzlem drobne sukcesy, lecz później to ustało i klepał biedę, co było dlań o tyle dotkliwie, że kochał rozwiązywać tryb życia. Dowiedziawszy się od kumpla, iż największy wówczas w Holandii znawca starego malarstwa, Abraham Bredius, uznał prawdziwe dzieło Halsy za fałszyfikat, a podróbkę Rembrandta za autentyk — van Meegeren postanowił spróbować fachu fałszerskiego. Tworzenie metodą Vermeera „**Uczniów Chrystusa w Emmaus**” zabrało mu sześć lat (1931–1937), przy czym eksperymenty chemiczne z pigmentami były bardziej czasochłonne niż studiowanie warsztatu delftyjskiego geniusza. Ale efekt okazał się fenomenalny. Rzecz prosta: zupełnie nieznane dotąd arcydzieło Vermeera musiało wzbudzić nieufność fachowców. Poddano je więc tzw. „*czterem próbom autentyczności*”, które wówczas uchodziły za niezawodny test: zbadano wytrzymałość farb na działanie alkoholu i rozpuszczalników, znaleziono w warstwie malarskiej biel ołowianą, prześwietlono obraz rentgenem i wykonano analizy mikroskopowe tudzież spektroskopowe pigmentów głównych. Świadcstwo autentyczności sygnował dr Bredius, lecz werdykt potwierdziło też dużo innych autorytetów (Martin



„Uczniowie Chrystusa w Emmaus” — udający dzieło Vermeera malunek pędzla van Meegerena

Schneider, Schmidt–Degener, Roëll, van Gelder, Hannema, itd.), „**Uczniowie**” tedy trafili (via Paryż) do szacownego rotterdamskiego Boymans–van Beuningen Museum za sumę 550 tys. guldenów.

Uskrzydłony sukcesem fałszerz wykonał przed II Wojną i sprzedał (za solidną gotówkę) znanym muzeom i kolekcjonerom jeszcze kilkanaście fałszywych „*Vermeerów*”, ale hosę tę przerwała klęska III Rzeszy. W kolekcji szefa Luftwaffe, marszałka Hermanna Göringa, alianci znaleźli bowiem nieznaną dotychczas obraz Vermeera „**Chrystus i jawnogrzeźnica**”. Śledztwo wykazało, że ten „*niewątpliwie autentyczny*” (opinia biegłych) sprzedał Göringowi (dzięki pośrednictwu antykwiariatu Goudstikera) niejaki Han van Meegeren. Aresztowany za „*współpracę z wrogiem*”, przyznał się do fałszerstwa, umiał bowiem liczyć: wyrok za kolaborację byłby kilkakrotnie surowszy niż za podrabianie czyjegoś malarskiego stylu. Został jednak wyśmiany, bo eksperci przebadali obraz wielokrotnie i co do jego autentyczności mieli całkowitą pewność. Wówczas van Meegeren poprosił o jakiś stary bezwartościowy malunek, którego można użyć jako podobrazie, tudzież o kilkadziesiąt środków chemicznych, i wewnątrz więziennej celi, na oczach asystujących historyków sztuki, stworzył kolejnego „*Vermeera*” („**Jezus pośród uczonych w Piśmie**”),

a trochę później wspomniani świadkowie zostali przez swych kolegów ekspertów oskarżeni o kłamstwa (wręcz o spisek), gdyż wszelkie badania udowodniły bezspornie, iż malowidło wyszło spod ręki samego Vermeera! Dalszym ciągiem były lata badań laboratoryjnych „*Vermeerów*” van Meegerena w czołowych instytucjach globu, jak również lata procesów sądowych, gdyż do końca ósmej dekady XX wieku najwybitniejsi fachowcy kłócili się o autentyczność tych dzieł (medialny rozgłos zdobyły zwłaszcza pojedynki chemiczne prof. Coremansa i prof. Meurice’a).

Van Meegeren zmarł w klinice więziennej (1947). Świat sztuki odetchnął wówczas z ulgą pierwszy raz, wydawało się bowiem, że drugi taki fenomen nigdy więcej się nie



Więzień Han van Meegeren maluje „Jezusa pośród uczonych w Piśmie”

pojawi. Tymczasem już od roku działał inny magik, Francuz węgierskiego pochodzenia, Elmyr de Hory, przy którego hurtowych dokonaniach fałszerskie „oeuvre” Holendra było procederem detalisty:

BOMBA WODOROWA

De Hory’ego i van Meegerena łączyły cztery rzeczy: pastiszowy geniusz, lubieżny hedonizm, odwetowy rozrzuśnik procederu (zemsta na świecie sztuki, który „nie docenił” oryginalnej twórczości każdego) i fakt, że obaj zmarli „pod celą”. De Hory wystartował A.D. 1946, trochę przypadkowo. Jego znajoma, lady Campbell (sam był również arystokratą), wizytując Elmyra ujrzała na ścianie rysunek piórkiem.

— To chyba Picasso? — spytała.

— Tak pani sądzi? — odparł autor pastiszu.

— Oczywiście, to bez wątpienia jego szkic, znam się trochę na tym. Pan się z nim stykał przed wojną, prawda? Bardzo piękny drobiazg, niech mi go pan odstąpi, proszę!

Spełnił jej prośbę i gdy tylko wyszła machnął kilka rysunków à la Picasso. Odtąd podrabiał masowo prace artystów „École de Paris” (wielu znał osobiście), a jego perfekcyjne robótki graficzne i malarskie, przez czołowych specjalistów uznawane za autentyki, trafiały do świetnych kolekcji prywatnych, galerii i muzeów jako fragmenty zbiorów rodzinnych Elmyra. Tylko jeden fachowiec się połapał — Frank Perls, szef galerii w Los Angeles. De Hory zaproponował mu osobiście kilka „Picassów”, „Renoirów”, „Matisse’ów”, „Vlamincków” i „Modiglianiego” (portret Soutine’a). Ten właśnie portret wzbudził nieufność Perlisa, który przyjrzał się lepiej reszcie oferty i wycedził:

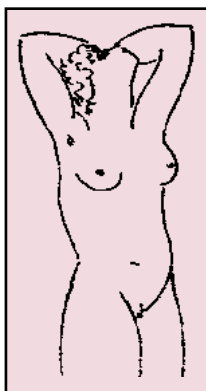
— Precz! Mam pański adres, więc jeśli nie opuści pan miasta jeszcze dzisiaj, zawiadomię policję! To są fałszerstwa, co do jednego!

Elmyr uśmiechnął się blado i wymamrotał:

— Ale przyzna pan, że są dobre...

— Wystarczająco dobre, by wprowadzić mnie w błąd na kilka minut! Spieprzaj!

Perls nie zdemaskował pastiszowca, więc de Hory mógł funkcjonować dalej. Fałszerskie skrzydła rozwinął dzięki dwóm międzynarodowym hochsztaplerom (Kanadyjczykowi Lessardowi i Egipcjaninowi Legrosowi), którzy zatrudnili go jako producenta arcydzieł, płacąc mu wysoką pensję miesięczną, a sami parali



De Hory w pracowni i rysunkowy akt spod jego ręki à la Picasso



FOT. PIERRE BOULAT/ASSOCIATION PIERRE & ALEXANDRA BOULAT

się nie tylko dystrybucją, lecz i stawianiem sygnatur na wyrobach Elmyra, jak również zdobywaniem ekspertyz autentyczności, zaświadczeń proveniencyjnych, itp. Krach nastąpił (prawdopodobnie wskutek donosu, bo dwaj panowie L pożarli się o krociowe zyski) w roku 1967, gdy teksaski nacierz Algur Herte Meadows zorientował się, iż stracił miliony dolarów kupując kilkadziesiąt „fałsów” od Legrosa. Miesiąc później zakwestionowano rzekome prace Dufy’ego, Deraina i Vlamincka kupione przez tokijskie Narodowe Muzeum Sztuki Zachodu, a policja aresztowała pakiet rzekomych dzieł „Szkół Montparnasse” zgłoszony na aukcję w Pontoise (Francja), i rozpoczęły się aresztowania tudzież procesy farmazonów. Lessard i Legros dostali po dwa lata odsiadki i musieli zapłacić wysokie grzywny, a de Hory popełnił samobójstwo w więzieniu (1976). Wcześniej, podczas kilku procesów, bronił się głosząc, iż nigdy nie podpisał pastiszu cudzą sygnaturą,

natomiast często widywał swoje podróbki sygnowane przez wielkich twórców (robili to Dufy, van Dongen i inni; Picasso wyznał: „ — Ile razy zobaczyłem dobre naśladownictwo mojej ręki, tylekroć byłem zadowolony i sygnowałem taką podróbkę bez skrępowań”). Co mu niewiele pomogło, bo nie mógł zaprzeczyć, iż świadomie sprzedawał swe pastisze jako cudze oryginały.

Niektórzy historycy sztuki starali się pomniejszyć kociokwikową/kompromitującą dla swego środowiska „afere de Hory’ego” twierdzeniami, że to był jedynie „genialny rzemieślnik-falsyfikator”. Wszelako dziennikarze nie odpuszcili im, podnosząc, że jeśli rzemieślnik umie stworzyć w cudzych manierach dzieła równie dobre, a czasami lepsze od dzieł naśladowanych mistrzów, to cała jego działalność wywraca do góry nogami utarte kategorie oceniania sztuki, ośmiesza „kult nazwisk” i neglizuje zupełną bezradność weryfikatorów.



„Dwie Tahitanki” (vel „Piersi w czerwonych kwiatach”) spod pędzla Paula Gauguina i spod pędzla Elmyra de Hory’ego



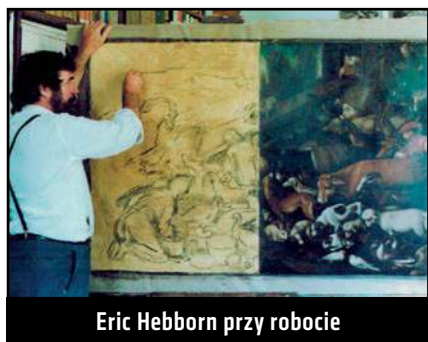
Tom Keating malujący „Słoneczniki” Vincenta van Gogha

FOT. WWW.PODSTUDIOS.COM

■ NEVER-ENDING STORY

Nadzieje historyków sztuki i krytyków, że „*to se ne vrati*” więcej, rychło prysnęły jak bańka mydlana. Tuż po de Horym objawił się kolejny geniusz fałszerskiego pastiszu, Tom Keating. A.D. 1976, gdy już grunt palił mu się pod obcasami butów, Keating zwołał konferencję prasową i oznajmił dumnie: „— *Moimi fałsyfikatami zasypałem galerie Londynu, od Mayfair po Chelsea!*”. Później, wewnątrz studia telewizyjnego, machnął przed kamerami „francuskiego impresjonistę” (zabrało mu to 30 minut), a jego kumpel, mający znaczącą ksywę „Janek Pióro”, położył na tym malunku sygnaturę Francuza. W kwietniu 1979 Keating, stojąc przed sądem, oznajmił, że jest niewinny i że chodziło mu tylko o skompromitowanie brytyjskich marszandów (tak naprawdę to skompromitował jeszcze raz międzynarodowych ekspertów–historyków). Pisząc wspomnienia („**The Fakes Progress**”, 1997) przyznał się do zmajstrowania 2 tys. podróbek artystów „*École de Paris*”.

Równocześnie z Keatingiem (lata 70–e) działało kilku innych fenomenów pastiszowania, i też zostawiali pikantne memuary, exemplum Eric Hebborn, autor „**Wyznań arcyfałszera**” („**Confessions of a Master Forger**”, 1991) i „**Podręcznika fałszera sztuki**” („**The Art Forger's Handbook**”, 1996), który błyskotliwie sfalshował nie tylko sporo „*płócien*” (Co-



Eric Hebborn przy robocie

rota i in.), lecz także pół tysiąca rysunków („*Nie potrafiłem oprzeć się pokusie trzaśnięcia «holenderskiego płótna z epoki», które później spatynowałem oparami dymu kominkowego*”). Został zamordowany na terenie Rzymu — czyżby w odwecie? Rzymskie antykwarjaty do roku 1977 (kiedy aresztowano całą szajkę) sprzedawały fałsyfikaty włoskich Surrealistów, przy czym — rzecz prosta — najwyższe ceny osiągały rzekome dzieła de Chirico, które świetnie podrabiał jego uczeń Umberto Lombardi.

Ostatnia dekada minionego wieku przyniosła kilka pastiszowych afer. Najpoważniejszą było aresztowanie (na terenie Francji) holenderskiego handlarza dziełami sztuki Jan van der Bergena, który zasiliał muzea, galerie i prywatne kolekcje „*arcydziełami*” Magritte’a, Chagalla, Klimta, Botero, Mirò, Dalego i in. Śledztwo wykazało, że sam je malował, a w jego domu znaleziono imponujący warsztat fałszerski, pełen chemikaliów, starych płócien, starych papierów, starych maszyn do pisania (dla wystukiwania „starych” certyfikatów autentyczności), podrobionych pieczęci (np. Komitetu Chagalla) i podróbek manuskryptowego pisma krewnych malarzy (np. żony Magritte’a: „*Niniejszym zaświadczam, że ten malunek jest oryginalnym dziełem mojego męża. Georgette Magritte*”). Sporo robótek van der Bergena wciąż stanowi dumę szacownych muzeów.

Nasze młode jeszcze stulecie z przypięciem rozpoczęło pastiszowy wyścig, i to po obu stronach Atlantyku. W USA

zdemaskowano w roku 2010 Marka Landisa (występował też jako jezuita Arthur Scott), rewelacyjnego twórcę podróbek artystów europejskich (Signac i in.) tudzież amerykańskich (Curran i in.), które ozdobiły czołowe amerykańskie muzea, zaś tego samego roku w Niemczech aresztowano Wolfganga Beltracchiego, twórcę doskonałych podróbek mistrzów niemieckich (Ernst, Pechstein, Campendonk i in.) oraz francuskich (Braque, Derain, Dufy, van Dongen, Łempicka i in.). Przez kilkanaście lat galerie kupowały te fałsyfikaty za sumy astronomiczne, muzea szalały ze szczęścia, eksperci cmokali z zachwytem. Beltracchi wyprodukował około 300 „*falsów*” i wpadł przez lenistwo: nie chciało mu się kolejny raz męczyć z chemikaliami, więc poszedł do sklepu i kupił gotową biel. Na procesie (2011) dostał 6 lat (wspólnicy 5 i 4 lata), wyszedł już roku 2015 i zapytany przez dziennikarza czy jego fałsyfikaty dalej wiszą w rezydencjach bądź muzeach, odparł, że całą pewnością tak, przynajmniej niektóre, te niezdemaskowane.

U schyłku lipca 2017 zamknięto we Włoszech czynną od marca (Genua, Wenecja) wystawę dzieł Modiglianiego, bo okazało się, że 21 spośród 30 eksponatów to podróbki.

* * * * *

Puenta: tym, co przeraża, jest łatwość fałszowania obrazów mistrzostwem pastiszowym, dowiedziona liczbą genialnych fałszerzy i permanentnością procederu fałszerskiego. Horrendum! ©©



Wolfgang Beltracchi i „Pejzaż z końmi” malowany przezeń w stylu Campendonka

FOT. FEDERICO CAMBARINI/EPN/PAP, SKIRON/VOGEL/DPA/PAP

A dramatic scene of the RMS Titanic sailing on a dark, stormy sea at night. The ship's white upper hull and dark lower hull are visible, with the name 'TITANIC' in gold letters on the side. The ship is illuminated by its own lights, and the sea is dark with white-capped waves. The sky is a deep, dark blue.

RMF CLASSIC
OD 15 LAT
NAJPIĘKNIEJSZA
MUZYKA FILMOWA

15
RMF
Classic

www.rmffclassic.pl

najpiękniejsza muzyka filmowa

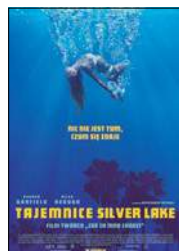


FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW
CHĘĆMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Podążaj śladem kojota



★★★★★

**REŻ. DAVID
ROBERT
MITCHELL**
„Tajemnice
SILVER LAKE”
(„UNDER THE
SILVER LAKE”)
USA 2018

wyst. Andrew
Garfield, Riley
Keough, India
Mendez

Dwudziestolatkom zawsze w pas się kłania świat” – śpiewał Maciej Kossowski, zanim w pogoni za mijającą młodością postanowił wyemigrować do ojczyzny charlestona.

Wiek cielący oprócz niewątpliwych zalet ma też wady. Człowiek potrafi nabić sobie wiele guzów, zanim zorientuje się, kim jest i czego właściwie chce od życia. Wejście w dorosłość to temat wielki, wciąż niewyczerpany i łatwy w obróbkę. Można go serwować w dowolnej pianierce, nawet z czarnego kryminału.

Raymond Chandler raczej nie byłby zachwycony, że w buty detektywa próbuje wejść notoryczny wałkoń i podglądacz. Z uporem godnym podziwu Sam szuka sąsiadki, w której towarzystwie spędził zaledwie jeden wieczór. Pozbawiony samochodu, obsikany

przez skunksa, nękany przez tabuny kobiet fatalnych dąży do poznania PRAWDY. Nie tylko o zaginionym dziewczęciu; wokół dzieją się rzeczy, które rozumem ogarnąć trudno.

Być może jest to refleks własnych doświadczeń reżysera. David Robert Mitchell urodził się w stanie Michigan, wykształcił na Florydzie, na filmowe salony wszedł zaś bocznymi drzwiami, nakręciwszy za psie pieniądze niekonwencjonalny horror „Coś za mną chodzi”. Takiemu przybłędzie kalifornijska metropolia musi się wydawać mekką pozerów, desperatów i dziwaków (im bogatszych, tym bardziej szurniętych). Nikodem Dyżma miałby tu używanie: żeby wkręcić się na bankiet, nie musiałby wdziwiać smokingu, wystarczyłaby piżama. Każdy barman i kelner nosi w plecaku buławę marszałkowską,

dziewczyny na telefon to niedoszłe lub upadłe gwiazdy show-biznesu. Po szampańskiej zabawie można się ocknąć na cmentarzu, oczywiście przy grobie hollywoodzkiej gwiazdy. Oto idealna sceneria serialu „Miasteczko Los Angeles”, który wcześniej czy później powstać musi.

Czas mija, śledztwo Sama coraz bardziej meandruje, a pytań zamiast ubywać, wciąż przybywa. Kim jest nieuchwytny zabójca psów? Kto paraduje w przebraniu pirata z przepaską na oku? Oprócz zagadek, bez których życie byłoby bardzo nudne, Mitchell mnoży cytaty z klasyki kina i teorie spiskowe. O tym, że niektóre rockowe albumy, odtwarzane od tyłu, zdradzają ukryty przekaz, kiedyś już słyszałem. Okazuje się, że zaszyfrowane treści zawierają również reklamy, telewizyjne programy rozrywkowe, fanzyny i gadżety, dodawane do opakowań płatków śniadaniowych.

Na pierwszy rzut oka „Tajemnice Silver Lake” wydają się czymś, a w dodatku przydługim popisem ekstrawagancji. Za 10, 15 lat może się jednak okazać, że to kino kultowe. Szlakiem rozkojarzonego Sama podążą turyści, licząc na pocałunek kobiety sowy. Dożyjemy, zobaczymy. ©©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „MAŁA STOPA”

A gdyby tak odwrócić wszystko do góry nogami i zamiast o ludziach poszukujących mitycznego śnieżnego potwora (yeti, Wielkiej Stopy, jak zwał, tak zwał), opowiedzieć o futrzanych istotach uważających nas, ludzi, za stwory z legend (moglibyśmy być wtedy straszonymi Małymi Stopami)? Ten pomysł leży

u podstaw rodzinnej animacji, którą tej jesieni studio Warner rzuca wyzwanie Disneyowi. ©© **Piotr Gociek**
• „Mała Stopa” („Smallfoot”), reż. Karey Kirkpatrick, wyst. Zendaya, Channing Tatum, James Corden, USA 2018

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Kler”, reż. Wojciech Smarzowski, Polska 2018
- „Korpo”, reż. Joe Lynch, USA 2017
- „Searching”, reż. Aneesh Chaganty, USA 2018
- „Czyszciele Internetu”, reż. Moritz Riesewieck, Niemcy/Brazylia 2018

Pistolet w wodzie

Takie rzeczy tylko we Francji. Oto dramat podszyty Camusem, ufryzowany na dreszczowiec, z improwizowanymi dialogami i obsadą zdominowaną przez naturalszczyków. A najdziwniejsze, że to wszystko trzyma się kupy.

W podupadłym miasteczku na wybrzeżu pisarka z Paryża prowadzi literackie warsztaty dla nastolatków. Wspólne pisanie kryminału to rodzaj zbiorowej terapii, która ma pomóc młodym gniewnym wyrwać się z marazmu. Reżyser wierzy bowiem święcie, że „źródłem wielu problemów tego pokolenia jest nuda i brak perspektyw”. Gwiazdą zajęć staje się wyalienowany Antoine, fan Wiedźmina, z temperamentu prowokator i „towarzyski socjopata”. Chłopak

zgrywa rasistę i radykała, by wyprowadzić z równowagi przemądrzałą reprezentantkę stołecznych salonów (co mu się w końcu udaje).

Dziesięć lat temu Cantet nakręcił optymistyczną „Klasę”. Zdaje się, że dziś jego wiara we wspólną francuską młodzież i świetlaną przyszłość multikulturowej, świeckiej republiki nieco osłabła. Rozumie jednak niechęć, z jaką gimnazjaliści reagują na próby narzucania im jedynie słusznych poglądów. Chwilami twórca „Letniej szkoły życia” popada w publicystykę, lecz trzeba docenić jego dobre chęci i brak uprzedzeń. Zresztą nie mam serca krytykować filmu, który jest strzelistym wyznaniem wiary w zbawczą moc literatury. ©

Wiesław Chelminiak



★★★★★
REŻ. LAURENT CANTET
„LETNIA SZKOŁA ŻYCIA”
(„L'ATELIER”)
FRANCJA 2017

wyst. Marina Fois,
Matthieu Lucci,
Warda Rammach



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

BEZ ŻADNYCH SZANS

Mroczny kryminał Lynne Ramsay, najbardziej znanej z szokującego debiutu, którym był film „Nazwij to snem”, oraz z inteligentnego drażniącego „Musimy porozmawiać o Kevinie”. Nękania traumą weterana (Joaquin Phoenix) dzieli swe dni na opiekę nad starą matką i na żywot kiler do wynajęcia. Kolejne zlecenie (odzyskanie córki senatora porwanej przez gang pedofilów) stanie się dla niego krwawym punktem zwrotnym. Film wskrzeszający pesymistycznego ducha „Chinatown” czy nietuzinkowych filmów zemsty (jak „Angol” Soderbergha), wspiera się na dwóch filarach: intensywniej, przepełniającej ekran kreacji aktorskiej Phoenixa i sporej inwencji stylistycznej, bo to, jak opowiadana jest cała historia, stanowi prawdziwy majstersztyk. Dwie zasłużone nagrody na tegorocznym festiwalu w Cannes: za najlepszy scenariusz i za najlepszą rolę męską. Imponujący przykład wykorzystania klisz kina popularnego na potrzeby dużo ambitniejszej opowieści. ©



wyst. Joaquin Phoenix, Judith Roberts,
Ekaterina Samsonov

★★★★★
REŻ. LYNNE RAMSAY
„NIGDY CIĘ TU NIE BYŁO” („YOU WERE NEVER REALLY HERE”)
USA 2017, MONOLIT

DZIEWCZYNA BEZ KOMPLEKSÓW

W pierwszej połowie nowa wersja przygód Lary Croft próbuje całkiem zgrabnie wskrzesić ducha filmów o Indianie Jonesie, potem twórcy filmu przypominają sobie, że inspiracją jest kultowa gra komputerowa, więc wszystko powinno być prościutkie jak drut. Zaczyna się w Londynie, gdzie wchodząca w dorosłość panna Croft ma podpisać dokumenty uznające zaginionego przed laty ojca za zmarłego. Zamiast tego wyrusza w podróż do wybrzeży Japonii śladem jego ostatniej misji. Alicia Vikander na gwiazdkę kina akcji nadaje się średnio, więc jej wyczyny oglądamy z zainteresowaniem umiarkowanym. Sceny kradną: Walton Goggins jako zły Mathias Vogel oraz Daniel Wu jako zapijaczony marynarz Lu Ren. Mimo wszystko mamy do czynienia z produktem strawniejszym od ekranizacji z Angeliną Jolie. Wpływy też były niezłe (niemal 300 mln dol.), co ciekawe – głównie z dystrybucji poza USA. © recenzuje Piotr Gociak



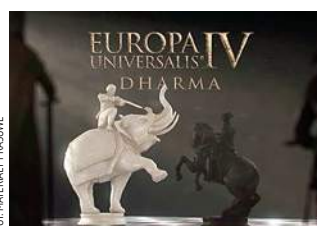
wyst. Alicia Vikander, Dominic West,
Walton Goggins

★★★★★
REŻ. ROAR UTHAUG
„TOMB RAIDER”
USA 2018,
GALAPAGOS

GRA TYGODNIA: „EUROPA UNIVERSALIS IV: DHARMA”

„Europa Universalis” to jedna z najbardziej rozbudowanych strategii dostępnych obecnie na rynku. O tym, że również jedna z najlepszych, niech świadczy to, że do wydanej w 2013 r. części czwartej po pięciu latach dochodzi kolejny dodatek. W „Dharmie” postawiono nacisk na

przedstawienie historii Indii. Zarządzając jednym z królestw lub sułtanatów subkontynentu, będziemy mieli okazję realizować osobne drzewko misji, wchodzić w wielowątkowe relacje handlowo-polityczno-religijne z kastami lub prowadzić imponujące operacje wojskowe. W dodatku



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

znajdziemy wiele innych usprawnień dotyczących również Europy oraz Afryki. © Marcin Makowski
• Gatunek: Strategia
• Platforma: PC
• Producent, dystrybutor: Paradox Interactive
• Klasyfikacja wiekowa PEGI: 12+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Czary-mary

Córki Wawelu”, poprzednia książka Anny Brzezińskiej, była nam pod każdym względem bliska. Dla odmiany „Woda na sicie” mogłaby wydawać się powieścią odległą, daleką od spraw Polski i Polaków, gdyby nie to, że naprawdę nie wiemy, gdzie jej akcja się dzieje. Tropy, podsuwane nam przez pisarkę, wskazują na późne średniowiecze i jeśli nie na Italię, to na jakąś inną krainę, na którą położył się cień świętej inkwizycji.

W niemałej części fabuła jest umieszczona w wiosce o nieprzyjemnej nazwie Cinabro. Wydobywa się tam coś, co nazywane jest vermiglio, a czego opis wskazuje właśnie na rudę rtęci, stosunkowo rzadki minerał, w północnych Włoszech, dokładnie w Abadii, rzeczywiście spotykany, ale znany i w Polsce, na Dolnym Śląsku, w Pieninach i w Bieszczadach, największe zaś złoża cynobru znajdują się w Hiszpanii. Nie przywiązywałbym się jednak do w ten sposób ustalanych miejsc i dat, bo nie po to Anna Brzezińska przez lata pisywała fantasy, by nagle teraz, po – niech będzie, że uczonym – eseju o kobietach z dynastii Jagiellonów, całkiem zapomnieć o magii. Co najwyżej można zwrócić jeszcze na wstępie uwagę na to, że w „Wodzie na sicie”, traktującej m.in. o heretykach, występują „oświeceni”, jako żywo przypominający kacerzy. Jednak – raz jeszcze akcentuję – nie ma powodu, by czytać nową powieść Brzezińskiej jak dzieło historyczne.

Główną bohaterką jest La Vecchia, bękarca przez inkwizycję oskarżona o praktykowanie magii i z tego powodu przesłuchiwana, torturowana i sądzona. Jednak zeznania te nie przynoszą właściwie żadnego pewnego ustalenia poza tym, że La Vecchia wykorzystuje każdą okazję, by skutecznie ma-



FOT. ANDRZEJ BANASZKIVIL

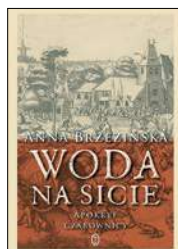
nipulować faktami i przypuszczeniami. Nic tu nie jest pewne poza tym, że sądzona ma o sądcach jak najgorsze mniemanie. Nie bez powodu.

Nad życiem La Vecchii zaciążyła noc, podczas której straciła matkę, a sama została ofiarą zbiorowego gwałtu. Zabity też został wtedy potwór nazywany smokiem, który prawdopodobnie był mężczyzną. Mężczyźni, generalnie, są tu od potworów znacznie gorsi.

Jednak, co może najciekawsze, sama La Vecchia nie jest wcale postacią anielską, bezgrzeszną. Owszem, smutne fakty z jej życia dowodzą, w jak trudnej sytuacji znajdowały się w dawnych wiekach kobiety samotne bądź porzucone, ale w zeznaniach swoich rzekoma czarownica niesłychanie się płacze, zaprzecza sobie, wielokrotnie sprawiając wrażenie osoby niespełna rozumu. Nasuwających się przypuszczeń, że powodem tego mogą być tortury, nie bardzo da się zweryfikować.

Oskarżona jest wprawdzie poddawana próbom wody i sznura, ale nie było to szczególnie okrucieństwo jak na ówczesne standardy. W sekretnym więzieniu inkwizycji przebywała 10 miesięcy; jej prośby o zwiększenie racji żywieniowej i cieplejsze odzienie były w tym czasie, jak się zdaje, wysłuchiwane.

Pod koniec tej książki czytelnik nie wie już nic; znikają początkowa sympatia i współczucie dla oskarżonej, przestajemy wierzyć we wszystko, co mówi. Pamiętamy tylko, że za przypisywane jej stosowanie czarów, jak również zabicie mniha, musi osiągnąć ją kara, i to najwyższa, której La Vecchia jest – zdawałoby się – pewna. A mimo to kluczy, wskazuje fałszywe ślady, zaprzecza temu, co twierdziła wcześniej. Przy czym zna wartość swojej historii, bo i ona „może dojrzeć jak te cudaczne zgniłki, jeśli pozwolicie jej wystarczająco długo nabierać mocy i jeśli nie ogarnie was strach, który jest nieodłącznym towarzyszem naszego zacnego padre Felipe [prezbitera kościoła w miejscowej parafii – przyp. K.M.]. Ja bowiem już przeżywam godzinę swojej śmierci, podczas gdy on pozostaje nieświadomy własnej i ta niepewność toczy go jak robak”. I nieoczekiwanie kończy: „Nic więcej wam nie powiem. Pomimo waszych obietnic i kłódek, jakimi obwarowaliście moje bezpieczeństwo. Trzykrotnie już podano mi chleb przyprawiony trutką i coraz więcej jest tych, którzy pragną mojej śmierci”. Może i tak, ale do sprawy trucizny już nie powróci, choć zeznawać będzie jeszcze wielokrotnie, aż w końcu zostanie od kary... uwolniona, a przewodniczący trybunału sam trafi do lochu. Co zaś z nią się stanie, to już przeczytają państwo sami. Jeśli państwo zechcą. © ©



★★★★★
ANNA
BRZEZIŃSKA
„WODA NA SICIE”
WYDAWNICTWO
LITERACKIE 2018



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Ostatni Kleks

Legendy odchodzą i coraz częściej moje poczytanki zamieniają się w pożegnania. Dzisiaj rozstanie szczególnie smutne, bo żegnam kawałek własnego dzieciństwa. Jako pilny czytelnik „Świata Młodych” w latach 70. zakochałem się w historyjkach obrazkowych Szarloty Pawel, choć – co ciekawe – wcale nie w jej najświeższej serii „Jonka, Jonek i Kleks”, ale serii „Kubuś Piekłelnny”. Jej bohaterem był mały urwis, którego rodzina wprowadzała się do nowego bloku (traf chciał, że dwa lata wcześniej i my przeżyliśmy taką przeprowadzkę). Przygody rodziny Piekłelnych były isticie barejowskie: klepek nie przyklejono do podłogi, zlew zatkał cementem, w mieszkaniu zakwaterowano drugą rodzinę itp. Humor był zgryźliwy, ale lekki, rysunki urocze. Potem odkryłem i Kleksa, historyjki nie tylko zabawne, lecz także pełne fantazji i ciepła, zjawisko w dziejach polskiego komiksu wyjątkowe.

Szarłota Pawel (wł. Eugenia Szarłota Pawel-Kroll) była studentką Henryka Jerzego Chmielewskiego, autora serii „Tytus, Romek i A'Tomek”. Niektóre rzeczy wprost podpatrzyła u swego nauczyciela.

Niebieski Kleks, stworek magiczny i sympatyczny, został znaleziony przez Jonkę na brzegu morza w butelce z atramentem. Tytus de Zoo powstał z plamy tuszu rozlanego przez autora (choć w wersji pierwotnej, z lat 50., był małpką doświadczalną). Oboje – Pawel i Chmielewski – byli twórcami złotej ery polskiego komiksu, która już nigdy nie wróci, a która charakteryzowała się wysypem mocnych, oryginalnych osobowości, rysujących do własnych, znakomitych zresztą scenariuszy. Tak było i z Januszem Christą, i Tadeuszem Baranowskim, i oczywiście wspomnianą dwójką. O tym, jak rzadki to dar, świadczą chociażby dzisiejsze kłopoty wydawcy, który chcąc kontynuować serię „Kajko i Kokosz”, mozolnie wyszukiwał osobno scenarzystów, osobno rysowników i kolorystów.

Dzięki mrówczej pracy wydawnictw Egmont i Ongrys niemal wszystkie prace Szarloty Pawel zostały wznowione w pięknych kolekcjonerskich edycjach, łącznie z najmniej znaną częścią jej dorobku, jaką były komiksy rysowane pod koniec życia już do cudzych tekstów (Konrada T. Lewandowskiego).

Pani Eugenia odeszła od nas 7 września tego roku. Przeżyła 68 lat. ©©



★★★★★
SZARŁOTA PAWEŁ
„JONKA, JONEK I KLEKS. SZALONY WYNALAZCA”
EGMONT 2018

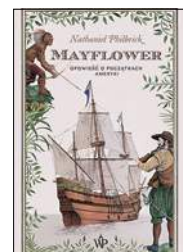
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

W „Intelektualistach nowej lewicy” brytyjski filozof rozprawiał się m.in. z Foucaultem, Habermasem czy Sartre’em, wywołując skandal, który kosztował go karierę uniwersytecką. W nowej uderza jeszcze mocniej. Czytać koniecznie!



ROGER SCRUTON
„GŁUPCY, OSZUŚCI I PODŻEGACZE”
ZYSK I S-KA

Zdobywca amerykańskiej National Book Award za „W samym sercu morza” przedstawia opowieść o początkach Ameryki, o osadnikach przybywających podbić Nowy Świat i krwawej wojnie o własne miejsce na nieznanym brzegach.



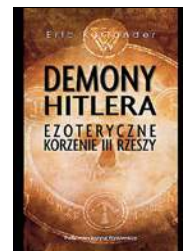
NATHANIEL PHILBRICK
„MAYFLOWER”
WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

Piętnaście biograficznych opowieści o kobietach szpiegach. Znanych (Mata Hari, Krystyna Skarbek), mniej znanych (Violette Szabo), dawnych (Karolina Rzewuska) i całkiem współczesnych (Anna Chapman). Każda intrygująca.



PRZEMYSŁAW SŁOWIŃSKI
„KOBIECY WYWIADU”
FRONDA

Pisano już o tym, epatując tanią sensacją, teraz czas na naukowe opracowanie. Amerykański historyk omawia ezoteryczne korzenie III Rzeszy – od religii ariogermańskiej, przez okultyzm, do rozmaitych paranauk. Wstrząsające. ©©



ERIC KURLANDER
„DEMONY HITLERA”
PIW

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

- Blanka Lipińska „365 dni” (Edipresse)** – dziewczyna porwana przez mafiosa ma 365 dni, by go pokochać. Brzmi idiotycznie? Owszem. I takie też jest.
- Katarzyna Nosowska „A ja żem jej powiedziała” (Wielka Litera)** – wokalistka Hey przedstawia swoje popularne felietony internetowe w wersji drukowanej.
- Heather Morris „Tatużysta z Auschwitz” (Marginesy)** – opowieść o Lale Sokolowie, który tatuował więźniom niemieckiego obozu numery na rękach.
- Katarzyna Grochola „Pocieszki” (Wydawnictwo Literackie)** – autorka „Nigdy w życiu” w pokrzepiających opowieściach inspirowanych prawdziwymi wydarzeniami.
- Marek Krajewski „Mock. Pojedynek” (Znak)** – drugi tom z serii prequelu o młodości inspektora Mocka. Jest rok 1905, jego czasy studenckie. (Najchętniej kupowane książki w sieci salonów Empik od 27.08 do 9.09.2018 r.)



Koncert Warszawskiej Orkiestry Rozrywkowej
FOT. MARCIN OBARA/PAP

Wytwórnia bez foremki

Jajko czy kura? Warszawska Orkiestra Sentymalna czy Warszawska Orkiestra Rozrywkowa? Co było pierwsze? Czy ktoś tu kogoś zainspirował? Czy ktoś do kogoś za zbieżność nazwy ma pretensję? Nie czas ani miejsce na roztrząsanie tych kwestii.

O Warszawskiej Orkiestrze Sentymalnej już w tym miejscu pisałem. To grupa rozkochana w przedwojennych dźwiękach, stale

koncertująca. Jeśli się dobrze poszuka, to można się wybrać na bal w stylu dwudziestolecia międzywojennego, na którym będzie przygrywała WOS.

Z Warszawską Orkiestrą Rozrywkową im. I. Krenza tak prosto nie jest, bo to grupa nie do końca formalna, o zmiennym składzie. Muzyków łączy wytwórnia Lado ABC, z którą większość występujących pod szyldem WOR była związana. O kon-

cert trudno, o płycie nie ma mowy, jedyne, co zostaje, to kilka zapisów ich występów na żywo, które można znaleźć w Internecie.

Od zainteresowania Warszawską Orkiestrą Rozrywkową już tylko krok do wytwórni Lado ABC. I posłuchać WOR, i przejrzeć płytowe portfolio Lado powinni ci, którzy szukają czegoś innego niż to, co grają komercyjne stacje radiowe. W katalogu

Lado znajdziemy muzykę akustyczną, improwizację, elektronikę, a w przypadku niektórych twórców za braknie nam tradycyjnych szufladek, by ich do którejś wrzucić.

Odważny projekt stworzenia własnej wytwórni zajmującej się wydawaniem muzyki niezależnej zrodził się 14 lat temu. Przetrwiał. Teraz Lado ma na koncie prawie setkę wydanych tytułów. Przepis na sukces? „Przez pierwsze lata działalności zajmowaliśmy się głównie tym, aby muzyka była dobra, a okładki piękne. I o dziwo to wystarczyło” – napisał Artur Ładownik z Lado.

Nie każda płyta wytwórni przypadnie do gustu. Nie każdy artysta się spodoba. Jednak słuchając każdej z nich, jedno czuć od razu – wolność muzyków, których nikt nie wciska do komercyjnej foremki. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Warto go w końcu poznać

W Polsce jest mało znany, a w Wielkiej Brytanii jest od 40 lat prawdziwą instytucją. Jego zespół The Jam był tam równie popularny co Police. Jego solowy album „Stanley Road” osiągnął ponadmilionowy nakład i został uznany za 46. płytę wszech czasów.

Piosenki Weller są minipowieściami wziętymi z życia brytyjskiej klasy średniej. Jest on naturalnym kontynuatorem stylu wypracowanego przez Raya Davisa z The Kinks i Pete’a Townshenda z The Who. On sam został uznany za ojca muzycznego ruchu brit pop, który zyskał ogromną popularność w latach 90.

Płyta „Prawdziwe znaczenia” nosi wszystkie najlepsze cechy jego wcześniejszych dokonań.

Jest jedynie bardziej stonowana, a jej brzmienie opiera się głównie na akustycznym instrumentarium wzbogaconym przez sekcję dętą i smyczki. Dominuje nuta zadumy przechodząca momentami w melancholię. To album przepięknych nastrojów wzbogaconych przez wysublimowane dźwięki sitara, organów Hammonda czy waltorni. Piosenką „Bowie” Weller składa hołd nieśmiertelnemu wokaliście.

Jak zwykle w nagraniach wzięło udział wielu gości (m.in. Rod Argent i Noel Gallagher). Mnogość przeplatających się wzajemnie stylów muzycznych (od walca, przez jazz i country, do soul) sprawia dodatkowo, że 11. album londyńczyka jest jego kolejnym klasykiem. ©©



★★★★★
PAUL WELLER
„TRUE MEANINGS”
PARLOPHONE



★★★★★
RICHARD THOMPSON
„13 RIVERS”
PROPER

Weteran brytyjskiej sceny folkowej i jeden z najoryginalniejszych gitarzystów nagrał zmuszający do myślenia album łączący tradycję z wyszukanymi brzmieniami i mrocznymi nastrojami. Rodzinną tragedię przetworzył w artystyczne katharsis.



★★★★★
LENNY KRAVITZ
„RAISE VIBRATION”
BMG

Na 11. albumie Lenny wzywa do kreowania pozytywnych wibracji. Od 30 lat śpiewa o sile miłości, a teraz dodaje: „Nie skończymy wojen dopóty, dopóki będziemy zrzucać bomby”. Nigdy nie był oryginalny, ale jego piosenki wciąż posiadają naiwny hipisowski urok. ©©

Gintrowski

a jednak coś po nas zostanie...

2018 rokiem Zbigniewa Herberta

KONCERT GALOWY

TEATR POLSKI WARSZAWA

GODZ. 20.00

10 GRUDNIA 2018

ALEKSANDRA
GINTROWSKA

MATEUSZ
ZIÓŁKO

KRZYSZTOF
KILJAŃSKI

SFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDACJI PZU/PARTNER FUNDACJA PZU
PROJEKT REALIZOWANY W RAMACH OBCHODÓW STULECIA ODZYSKANIA NIEPODŁĘGŁOŚCI

niepodległa

PAŃSTWO
POLSKIE
WSTĘPIŁO DO
NIEPODŁĘGŁOŚCI

MECENASI KONCERTU

PGNiG

LOTOS

PARTNERZY

Poczta Polska

FUNDACJA
XX CZYTOWISZCH

eprasa.pl adcad37bcf

FUNDACJA
PZU

LOTTO

WSPÓŁORGANIZATOR

TVP

PATRONAT MEDIALNY

wprost

Piotr Semka w swoim „Liście Konserwatysty Zmiany do Konserwatysty Umiaru” w „Do Rzeczy” nr 36/2018 pierwszy raz zdefiniował pewien spór, różnicę zdań, która na prawicy majaczy już od dawna. Konserwatysty Zmiany to – jak pisze Semka – „ci Polacy, którzy uważają, że podwójna wygrana PiS w 2015 r. to trudna do przecenienia okazja do konserwatywnej rewolucji”. Semka zastrzega też, że „po-szczególne reformy PiS można i nawet trzeba oceniać bez taryfy ulgowej, ale Konserwatysty Zmiany uznają ich celowość i niezbędność”. W przeciwieństwie do Konserwatystów Umiaru, którzy mają własną wizję tego, jak powinna wyglądać polityka. Większość działań, podejmowanych przez obecny rząd, do ich wizji państwa nie przystaje, stąd ich niechętny stosunek do PiS i tego, co się w Polsce przez ostatnie trzy lata wydarzyło.

Sami Konserwatysty Umiaru, do których Semka zaliczył m.in. środowisko Klubu Jagiellońskiego, odpowiadają, że „świat jest zbyt złożony i ciekawy, by redukować go do stosunku do Jarosława Kaczyńskiego”. I podkreślają, że zmiana, jaka im się marzy w polityce, musi się zacząć od zmiany obowiązujących reguł gry: wzmocnienia instytucji, walki z klientelizmem, zwiększenia transparentności życia publicznego, poprawy procesu legislacyjnego, przeciwdziałania pęknięciu na „dwa narody”.

KONTEKST JEST ISTOTNY

Wszystko to brzmi atrakcyjnie i trudno znaleźć kogoś, kto z tymi postulatami by się nie zgodził. Zasadniczym błędem Konserwatystów Umiaru jest jednak założenie, że wystarczą dobre chęci, by zmienić świat – w tym przypadku świat polskiej polityki. A skoro dziś PiS nie robi wystarczająco dużo, by reguły gry zmienić, to znaczy, że nie chce tego robić, bo odpowiada mu to, co jest.

Tymczasem partia polityczna, nawet ta, która wygrywa wybory, zawsze działa w pewnym określonym kontekście. Kontekst działań PiS wyznacza dziś w dużej mierze nie tyle parlamentarna opozycja, ile wciąż bardzo silne i prężne środowiska, które ją wspierają. Dzisiaj każda przeprowadzana w państwie zmiana wiąże się z ogromnymi kosztami politycznymi, przede wszystkim dlatego, że burzy pewien zastany porządek, który miał trwać. Nie ma znaczenia, czy zmiana jest dobra czy zła, przemyślana bardziej czy

mniej, skandalem jest już to, że w ogóle ktoś odważył się ją przeprowadzić.

Łukasz Warzecha w poprzednim numerze „Do Rzeczy”, polemizując z Piotrem Semką, przywołał dokonywaną przez PiS reformę sądownictwa ze sporem o Trybunał Konstytucyjny włącznie jako przykład „rozjechania walcem” zamiast „naprawy, zastąpienia, dostrojenia”. Za każdym razem, gdy to słyszę, mam w pamięci słowa mecenasa Michała Królikowskiego, który ostro krytykując PiS za styl i sposób rozprawiania się z Trybunałem i sądami, przypomniał, co legło u podstaw takiego, a nie innego podejścia PiS do Trybunału. Było to zachowanie sędziów w latach 2006–2007. – Wtedy kilku sędziów, zresztą wybitnych konstytucjonalistów, ale bardzo związanych z konkretnym obozem politycznym, robiło wszystko, żeby realnie uchylić każdą reformę, którą wprowadzał PiS, a która chociaż ocierała się na rozwiązaniach ustrojowych – mówił.

Nie da się rozmawiać o działaniach rządu, uciekając od kontekstu, rzeczy-

Trudno jednak oczekiwać od jakiegokolwiek władzy, by w sytuacji, gdy opozycja stosuje celową obstrukcję prac parlamentu (wielotygodniowa okupacja mównicy, wwożenie demonstrantów w bagażniku auta na teren Sejmu), ta dodawała jej uprawnień. Do tanga trzeba dwojga, potrzebna jest dobra wola obu stron. Gdy jedna z nich zaczyna stosować taktykę opozycji totalnej, trudno od drugiej oczekiwać dobrej woli. W polityce zasada nadstawiania drugiego policzka nie działa.

Łukasz twierdzi także, że wbrew temu, co pisze Semka, nie ma sensu mówić dziś o „rewolucji”, bo ta zawsze wiąże się z „brakiem namysłu, niesprawiedliwością, stosowaniem drastycznych i populistycznych podziałów, brakiem szacunku dla instytucji”. Píše, że „mamy państwo, które – czy się to komuś podoba czy nie – okrzepło” i dzisiaj „w roku 2018 pojęcie »konserwatywnej rewolucji« nie powinno mieć racji bytu”. Nawet jeśli tak uważają warszawscy publicyści

Ludzie chcieli zmiany



Kamila Baranowska

Chociaż konserwatyzm umiaru to wizja atrakcyjna, to w praktyce konserwatyzm zmiany trafniej odpowiada na oczekiwania społeczne. Nie ma sensu obrażać się na tę rzeczywistość

wistości, w której ten rząd funkcjonuje. Łukasz Warzecha podnosi, że PiS obiecywał zmianę systemową, a jej symbolem miał się stać pakiet demokratyczny, ułatwiający działalność opozycji. Jego zdaniem pakietu nie ma i nie będzie, bo władza nie chce krępować się „jakimiś procedurami, kalkulacjami, regułami”.

i eksperci, to społeczeństwo uważa widać inaczej. PiS wygrał w 2015 r. wybory nie dlatego, że obiecał pakiet demokratyczny dla opozycji, lecz dlatego, że ludzie chcieli zmiany. Nie ciepłej wody w kranie, ale



radykalnej, rewolucyjnej właśnie zmiany. PiS te oczekiwania odczytał i na nie odpowiedział. Jak widać po sondażach, w których nadal cieszy się niesłabnącym poparciem, wyborcom ta odpowiedź wciąż pasuje.

Dlatego nie przekonuje mnie także kolejny argument dotyczący zła, jakie wnoszą do polskiej polityki partii. „Polityczny oligopol, a może nawet duopol odpowiada znakomicie obu stronom: PiS i anty-PiS” – pisze Łukasz Warzecha. I dodaje, że „mnóstwo wysiłku wkłada się w przekonanie wyborców o bezalternatywności tego układu”. To rozumowanie prowadzi nas w niebezpieczne koleiny lekceważenia wyborców i traktowania ich jak bezwolne, nierozumne istoty, zmanipulowane przez partię i ich liderów.

A może jest tak, że kształt naszej sceny politycznej jest, jaki jest, bo odpowiada poglądom i oczekiwaniom większości Polaków. Skoro, jak twierdzi Łukasz, „państwo okrzepło”, to okrzepłi i wyborcy, czyż nie?

ZYSKAĆ NA SPORZE

Receptą na walkę z duopolem byłaby, zdaniem Łukasza, zmiana systemu finansowania partii. Warto zatem przypomnieć, że kwestia finansowania partii nie stała się na przeszkodzie temu, by na przestrzeni choćby ostatnich lat do Sejmu wchodziły całkiem nowe formacje, takie jak Kukiz'15, Nowoczesna czy wcześniej Ruch Palikota. Problemem tych partii było i jest to, że nie za bardzo wiedziały, co dalej, i nie miały

pomysłu na przyszłość. Wypadały z gry nie w wyniku zabetonowania sceny, lecz przede wszystkim własnych błędów.

Zresztą po samej prawej stronie wielokrotnie podejmowano próby budowania umiarkowanych alternatyw dla PiS (był PJN, Polska XXI, ostatnio zaś formacja Jarosława Gowina). Każda kolejna była witana przez „konserwatystów umiaru” z entuzjazmem. Tyle że z jakiegoś powodu podobnym entuzjazmem nie wykazywali się później wyborcy. Zaryzykuję tezę, że gdyby dziś ze sceny politycznej zniknęli PiS i Jarosław Kaczyński, to elektorat tej partii nie zwróciłby się w stronę jakiegś wymagowanej umiarkowanej prawicy. Nie ma sensu tej rzeczywistości zaklinać czy się na nią obrażać.

„Między ocenianiem i diagnozowaniem najlepszych rozwiązań a prowadzeniem realnej i skutecznej polityki jest ogromna różnica. W świecie postulatów wszystko jest łatwe. W świecie realnej polityki płaci się cenę za każdy niefatalfony postulat i za każdą oderwaną od rzeczywistości ideę” – słusznie zwraca uwagę Piotr Semka. I porównuje to do różnicy między pisanem wierszy miłosnych a skutecznym poderwaniem dziewczyny. Co ciekawe, Piotr Trudnowski i Krzysztof

Mazur z Klubu Jagiellońskiego w metaforze Semki doszukali się kompleksu niższości, który musi odczuwać dziennikarz względem polityka. „Wielu publicystów zdaje się przyjmować pozycję zakompleksionych poetów zazdroszczących politykom Don Juanom ich wielkich sukcesów miłosnych” – czytamy.

To kompletne nieporozumienie. Piotr Semka stwierdza bardzo prostą i dość oczywistą rzecz, że łatwo i przyjemnie udziela się rad, poucza, krytykuje i kreśli dalekosiężne wizje, siedząc wygodnie za biurkiem i patrząc na politykę jak na układankę z klocków, które wystarczy trochę poprzerstawić, by budowla była stabilniejsza i bardziej estetyczna. Trudno tu mówić o zazdrości, bo pozycja pouczającego i udzielającego rad jest nieporównanie bardziej komfortowa niż jakiegokolwiek

polityka. Są też sprawy, w których „konserwatyści umiaru” mają sporo racji. Na przykład wtedy, gdy piszą o niebezpieczeństwie utożsamiania interesu państwa z interesem partii i gdy przestrzegają polityków, że zbyt łatwo wchodzi w buty swoich poprzedników, których niegdyś krytykowali. Dlatego cały ten spór, który Piotr Semka zdefiniował jako spór między „konserwatyzmem umiaru” i „konserwatyzmem zmiany”, jest dziś jednym z ciekawszych na prawicy. A jeśli politycy będą umieli wyciągnąć z tego sporu jakieś wnioski, to wszyscy będziemy wygrani.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Za tydzień opinia Stefana Sękowskiego.

Polemika o konserwatyzmie w „Do Rzeczy”:

- **Piotr Semka** „List Konserwatysty Zmiany do Konserwatysty Umiaru” – „DRz” 36/2018 z 3 września 2018 r.
- **Łukasz Warzecha** „Rewolucja a państwo” – „DRz” 38/2018 z 17 września 2018 r.

Powie ktoś, że nabijanie się z opozycji totalnej jest, delikatnie mówiąc, jałowe. No, niech będzie. Mógłbym odpowiedzieć, że wszyscy od dzieciństwa znamy gagi z niemych komedii, ale jakoś, kiedy kolejny komik wejdzie na grabie albo wsadzi nogę w wiadro, wciąż się śmiejemy. Powiem jednak coś innego: tym razem, choćbym nie chciał, muszę, bo „totalsi” przekroczyli granicę, zza której już nie zdołają wrócić.

Najzabawniejsze zaś, że opozycja – biorąc łącznie zachowania antypisowskich polityków i mediów – sama widzi w swych działaniach pasmo sukcesów. Udało się jej „zjednoczyć” przez dołączenie do PO lewicowej kanapy Barbary Nowackiej – nie całej zresztą, bo część działaczek uznała czyn Nowackiej za zdradę głoszonych idei i „zmonetyzowanie” ich w zamian za obietnicę diety poselskiej (chyba trafnie, choć tak po ludzku trudno Nowackiej nie rozumieć – ileż lat można się tylko dobrze zapowiadać?). Sukces drugi to znalezienie dowodów faszyzmu „PiS-owskiej” TVP. No i wreszcie: udało się opozycji okutać szmatą z napisem: „Konstytucja” Zygmunta III Wazę na warszawskiej kolumnie. Pewnie teraz jej stratedzy głowią się, jak by tu naciągnąć coś podobnego na Chrystusa w Świebodzinie.

Można do tego jeszcze dodać mały (bo środowiskowy), ale znaczący sukcesik w zwalczaniu „odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego”, czyli pozbycie się przez tygodnik „Polityka” skompromitowanego „błędami symetrii” Rafała Wosia. Jedność ideowo-moralna opozycji rośnie wprost proporcjonalnie do spadku jej notowań, choć do pełnego szczęścia jeszcze paru symetrystów trzeba będzie pogonić.

@

Który z tych sukcesów pograża totalniaków bardziej – doprawdy trudno wskazać. Zaczniemy „po wzroście”, od króla Zygmunta.

Generalne zastrzeżenie: cieszymy się, że wariaci skierowali swą agresję przeciwko pomnikom, odwracając ją tym samym od żywych ludzi. Po niektórych ekscesach „obywateli”, po ikonicznych wyskokach pani Suchanow z dr. Suszkiem, po celebrze ku czci „ofiary” Piotra Szczęsnego, perspektywa nowego Cyby zaczęła się stawać niebezpiecznie realna. „Sukcesy” pomnikowe, podobnie jak wyżywanie się antypisowskich mediów w niskich złośliwościach, w duchu przechwałek Wałęsy, że ma zdjęcie, na którym on

Totalne wygłupy



Rafał A. Ziemkiewicz

Jedność ideowo-moralna opozycji rośnie wprost proporcjonalnie do spadku jej notowań. Dlaczego? Oto kilka przykładów



siedzi, a Trump – wtedy jeszcze nie prezydent – stoi, dając frustratom namiastkę sukcesu i spuszcza ją nieco z agresji, którą ładują ich medialni liderzy ich obozu. A jednocześnie dla władzy zaś są zupełnie nieszkodliwe, a nawet pożyteczne.

Mówiąc poważnie: epatowanie w przestrzeni publicznej słowem „konstytucja” w charakterystycznej typografii jest tak irracjonalne, że warte w gruncie rzeczy naukowej analizy jakiegoś specjalisty od „myślenia magicznego”. Trudno wyjaśnić rzecz inaczej niż zbiorowym odruchem warunkowym z czasów, gdy aktem odwagi i oporu było napisanie na murze „Wrona skona” albo „Katyń pamiętamy”. Jednak było, ponieważ działo się to w sytuacji całkowitego zawłaszczenia przestrzeni publicznej przez totalitarną władzę, dla której szczelność owego zawłaszczenia stanowiła istotny propagandowy atut. Totalitaryzmowi bardzo zależało na stworzeniu pozoru jednomyślności, łamał w ten sposób wiarę w sens oporu. Dlatego każdy „antypaństwowy” okrzyk czy hasło miały sens: nie wszyscy ich popierają, jesteście, żyjemy, walczymy!

Dzisiaj opozycja naprawdę nie musi Polakom obwieszczać, że jest. Powtarzanie przez nią i podnoszenie do rangi rytuału zachowań z zupełnie innej epoki jest groteskowe i coraz bardziej irytujące. Nie dlatego polskie społeczeństwo w coraz większej części popiera działania PiS, że nie dotarła do niego wiadomość, iż zdaniem opozycji to „łamanie konstytucji”. Przeciwnie, opozycja, mając wciąż poparcie najbardziej wpływowych mediów oraz stale w nich obecnych środowisk artystyczno-celebryckich i eksperckich, dosłownie zalała odbiorców tym przekazem, i to formułowanym skrajnie kategorycznie, wręcz histerycznie.

Nie zadziało, bo Polacy po prostu diagnozy opozycji „nie kupili”. I to, że opozycja napisze „kons-TY-tuc-JA” na wszystkich możliwych murach, pomnikach i jeszcze – bo ja wiem? – na własnych gołych biustach albo pośladkach, jak pannice z Femenu, nie uczyni jej przekazu bardziej przekonującym, tylko bardziej „odlecianym”.

Czyż nie jest oczywiste, że to żaden sukces uzyskać od pani Gawor zgodę na



FOT. MATYSZKA WŁODARCZYK/FOTUR

Nic się od tego czasu nie zmieniło. W TVP Info ma od dawna swój satyryczny kącik pani Barbara Piel, która lepi z plasteliny kukielki-karykatury postaci z życia publicznego i ustawia z nich krótkie scenki pod muzykę. Satyra jak satyra, jednego śmiesz, drugiego nie, nie ma o tym co dyskutować. W grudniu ubiegłego roku do galerii „plastusiów” pani Barbary dołączył „Farmazon” Jagielski, odrobiony bardzo udanie: ze swą charakterystyczną brodą, w czarnym stroju i czarnej czapce z daszkiem, bo tak się na pikietach „obywateli” pojawia.

Ni stąd, ni zowąd po dziewięciu miesiącach redaktor Piasecki z TVN dopatrzył się w kukielce karykatury Żyda chałaciara i oskarżył TVP o promowanie antysemitckiego stereotypu, że za „opozycją uliczną” (określenie Agnieszki Holland) stoją Żydzi. Oburzenie Piaseckiego podchwycili natychmiast inni. Możliwe, że redaktor Piasecki, jakby wynikało z jego późniejszego pokrętnego wycofywania się bez wycofania z rzucanych oskarżeń, wygłupił się bezwiednie, bo naprawdę nigdy z ikoniczną postacią „Farmazona” się nie zetknął – ekscesów „ochroniarza” KOD jego telewizja nie eksponowała, podobnie jak przemilczała laleczki voodoo, sabaty feministek z „dyplomowaną czarownicą” i inne ośmieszające opozycję fakty, nawet tak doniosłe, jak wystąpienie Wałęsy na procesie pod Sądem Najwyższym. Pokazuje to, do jakiego stopnia wrogowie PiS, nawet dziennikarze, zamknęli się we własnym matriksie.

Niemniej, choć sprawa została niemal natychmiast wyjaśniona, narracja o „propagowaniu faszyzmu w TVP” pozostała, uzasadniana na różne karkołomne sposoby – od „każdy, kto nie zna Jagielskiego, zobaczy w tej figurce po prostu Żyda”, aż do twierdzenia, że w ogóle używanie w satyrycznym programie kukielek jest faszyzmem samo w sobie (!), bo „uprzedmiatawia” karykaturowane osoby. Z tymi mądrościami pospieszyła do Tomasza Lisa wspomniana już pani Holland, po raz enty ogłaszając, że jesteśmy „na granicy faszyzmu” – co zresztą „nie dziwi, skoro w TVP może być publicystą Rafał A. Ziemkiewicz”.

@

Groteskowość poczynań PO wynika z faktu, że całą energię poświęca ona na działania symboliczne. Symboliczny jest nie tylko „ruch oporu”, ganiający swych coraz mniej licznych wyznawców z jednej manifestacji czy pikietu na drugą.

Symboliczne jest także budowanie „zjednoczonej opozycji”. Już samo założenie, że odpowiedzią na rządy PiS powinno być zjednoczenie wszystkich sił, które PiS nie chcą, jest udzieleniem odpowiedzi symbolicznej – realna była ona może trzy lata temu, kiedy rządy PiS były jeszcze niewiadomą i mógł zadziałać efekt „lepszy znany diabeł od nieznanego”. Obecnie oznacza tylko: nie umiemy wam powiedzieć, po co chcemy rządzić, czym chcemy zastąpić rządy obecne, co chcemy u władzy zrobić, poza zemstą na politycznych przeciwnikach, słowem, nie umiemy wam niczego zaproponować – ale za to nie umiemy tego wszyscy razem, a nie osobno.

Tak to wygląda dla zwykłego wyborcy. Dla zaangażowanego zwolennika opozycji – czy raczej wroga PiS – zaczyna być natomiast coraz bardziej oczywiste, że Grzegorzowi Schetynie bynajmniej nie chodzi o to, by PiS odsunęto od władzy, ale o to, by PiS odsunęła od władzy i zastąpiła PO. Dlatego „zjednoczenie” to w istocie kryptonim zjadania „przystawek”.

Totalsi żyją w nieustającej potrzebie odkrywania i ogłaszania kolejnych „dowodów”, że PiS nie ma moralnej legitymacji, by rządzić

Nie wszystkie przystawki są tak chętne do schrupania jak panie Nowacka i Lubnauer. Nie wszyscy też popadli w tak skrajną histerię, by na poważnie wierzyć, że utrata władzy przez PiS wszystko zmieni, nawet gdyby mogły doprowadzić do niej koszulki, okrzyki o faszyzmie i strofowanie eurokratów. Dlatego „zjednoczenie” jest nieosiągalne i zajmując się nim, opozycja coraz bardziej skazuje się na zajmowanie się samą sobą, coraz dalej od świata, w którym żyją wyborcy.

Gdy ktoś zalicza drobne, ale codzienne kompromitacje, bardzo trudno wskazać moment, gdy staje się skompromitowany totalnie. Jednak nawet nie dbając z nadto o sygnały płynące z sondaży, mam wrażenie, że ten próg został już przekroczony. Albo raczej, mówiąc obrazowo, nie tyle próg, ile grzbiet wzgórza, za którym można się już tylko staczać coraz niżej i niżej.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

nawleczenie banneru na pomnik (znając byłą milicjantkę, na pewno bardzo długo musiał ją pan Kasprzak przekonywać) i wynajęć podnośnik? A „totalsi” puszą się, jakby co najmniej powtórzyli wyczyn „Rudego” z „Kamieni na szaniec”.

Można jeszcze bardziej się wygłupiać? Na pewno coś wymyślą.

@

Totalsi żyją w nieustającej potrzebie odkrywania i ogłaszania kolejnych „dowodów”, że PiS nie ma moralnej legitymacji, by rządzić. I w nadziei, że za którymś razem to wreszcie zadziała. To także obraca się przeciwko nim, bo z groteskową skwapliwością podchwytują każdą plotkę, nawet zupełnie nonsensowną. Swego czasu Paweł Lisicki napisał na prima aprilis tekst o rzekomym wyznaniu „agenta Tomka”, że do wszystkiego zmuszał go Kaczyński – ten jawnie parodystyczny „nius” został bez próby jakiegokolwiek weryfikacji podchwyciony przez media salonu i długo „chodził” po nich, traktowany zupełnie poważnie.



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Reformujemy to, co trzeba

Byłem ciekaw, czym się u mnie objawi kryzys wieku średniego. Sportowe samochody mnie nie kręcą, piersiaste blondynki owszem, ale najfajniejszy egzemplarz tego gatunku jest już przeze mnie zaobrączkowany. I nagle jest. Euforia taka, jakiej nie doświadczałem od lat.

A przynajmniej od czasów, gdy chodziłem na imprezy techno. Przyszła jednak, że nie takiej podniety po kryzysie wieku się spodziewałem. W stan niebywałej i długotrwałej ekstazy wprowadziła mnie mianowicie zmiana szkoły przez mojego syna.

Bardzo się tej operacji obawialiśmy. A co jeśli nowa szkoła nie będzie lepsza od starej, a zafunduje Młodemu stresy związane ze zmianą otoczenia? Jednak zaryzykowaliśmy. Przed początkiem roku szkolnego żyliśmy w wielkim napięciu. Później się okazało, że wszystko poszło gładko, nowa szkoła okazała się świetna. Napięcie z nas opadło z wielkim hukiem, a my – cóż – świętujemy już trzeci tydzień. Nawet w czasach tych imprez techno tyle nie świętowałem. I kto by pomyślał, że zwykła szkoła podstawowa – i to nie własna – może wprowadzić człowieka w ekstazę większą niż porsche 911?

Ciała ta operacja dała mi też jednak do myślenia. Stara i nowa szkoła położone są w tej samej dzielnicy (chodzi o warszawską Wolę), dzieli je w linii prostej dystans kilometra, może kilometra z małym hakiem. Obie szkoły są publiczne, czyli działają

w tej samej strukturze.

Zasadniczo są identyczne.

A jednak są totalnie różne. W starej pracują ludzie, którzy cierpią z powodu swojej pracy (nie wszyscy oczywiście). Czuć było, że to użeranie się z dzieciakami straszliwie ich męczy, celem nadrzędnym jest – skądinąd bliski i mi – święty spokój. Dyrektor tej placówki komplikował najprostsze rzeczy i wspinał się na wyżyny urzędniczej wirtuozerii, by udowodnić, że właściwie nie da się załatwić nic i nigdy.

Nowa szkoła jest całkowicie przeciwnieństwem starej.

Nauczyciele ewidentnie mają frajdę z nauczania, a drzwi do gabinetu dyrektorki są zawsze otwarte. Ta drastyczna różnica między identycznymi bytami potwierdziła podejrzenia, które kiełkowały we mnie już od jakiegoś czasu. Wszelkie reformy edukacji, wszelkie czary-mary dotyczące struktury szkolnictwa to humbug. A już na pewno zabiegi drugo- i trzeciorzędne. Bełtanie trzepaczką po powierzchni zjawisk, które ma zademonstrować, że kolejne rządy działają.

Tymczasem jakoś edukacji zależy przede wszystkim od jakości ludzi, którzy uczą. A dosadniej – od jakości lidera szkoły, czyli dyrektora. Dobry dyrektor stworzy dobrą szkołę niezależnie od tego, czy sześciolatki muszą iść do pierwszej klasy, czy nie. Czy ma robić podstawówkę, czy gimnazjum. Zły dyrektor stworzy złą szkołę w każdych warunkach instytucjonalnych. Proste. ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Wielka gra

Polityka międzynarodowa jest zimną grą interesów, kto tego nie przyjmuje do wiadomości, ten natychmiast powinien przestać się nią zajmować. Sentymenty i dyrdymały o wiecznej przyjaźni czy dozgonnym sojuszu należą do świata propagandy, a nie polityki.

Najlepszy przyjaciel może stać się wrogiem, jeśli wymagają tego interesy. Mistrzyni Realpolitik, sowiecka Rosja, w jeden dzień porzuciła sojuszniczą Somalię i poparła czerwoną Etiopię, ponieważ po krótkiej kalkulacji sił i po-

Rzecz jasna w wielkiej grze istnieją emocje, oczywiście błędy i mylne kalkulacje. W roku 1870 „emska depe-sza” sprowokowała Napoleon III do wojny z Prusami, którą sromotnie przegrał. Jałta i Poczdam nie były dowodem podatności przywódców Zachodu na urok osobisty wásatego Gruzina, ale wynikały ze światowej gry, w której Polska wydawała się kłopotliwym, mało ważnym pionkiem. 500 lat wrogości Anglii i Francji powędrowało do kosza, gdy pojawił się wspólny wróg – Niemcy. Dlatego w polityce słowa „zdrada” i „przyjaźń” mogą dotyczyć jedynie sfery moralnej. Kategoriami rozstrzygającymi bywają mądrość i głupota.

Głupotą jest wiara, że ktoś przedłoży cudze interesy nad własne, mądrością – takie budowanie sojuszy i porozumień, by interesy te stawały się jak najbardziej zbieżne. Co nie znaczy, że w polityce, tak jak w każdej grze, nie występują bluff, oszustwo, uwikłanie, dezinformacja. W tych dziedzinach warto się uczyć od Turcji czy Izraela. Stary dowcip na zapewnienie pomyślności i bezpieczeństwa Polakom sugerował wypowiedzenie wojny Stanom Zjednoczonym i natychmiastowym poddaniem się, w celu zostania pięćdziesiątym którymś stanem USA. Bazy w Polsce są dobrym pomysłem z tego ducha. Jeśli trudno jest kogoś skłonić, by nas bronił z bezinteresownej sympatii, niech przynajmniej spróbuje bronić siebie. ©©

Nowy ład światowy, który sformułował Wilson, wynikał z jego interesów, a nie sentymentów

tencjałów wypadło jej, że jest to bardziej opłacalne. Nie łyż pani Walewskiej i jej bardziej ukryte walory sprawiły, że Napoleon zajął się sprawą Polski. Nie przeceniajmy też fortepianowych popisów Paderewskiego – nowy ład światowy, który sformułował Wilson, wynikał z jego interesów, a nie sentymentów. Caryca Katarzyna podarowała Polskę Stanisławowi Augustowi nie dlatego, że był jej kochankiem, ale dlatego że chciała mieć w Warszawie bezwolną marionetkę. To nie zbieżność charakterów i wrodzony antysemityzm popchnęły Stalina w objęcia Hitlera.

> **10** LAT
na rynku

> **15**
inwestycji w portfolio,
w tym 4 w realizacji

> **100** MLN PLN
czynszów najmu
wyświadczonych nabywcom
pokoi i apartamentów

> **1000**
pracowników

> **1250**
pokoi i apartamentów

*„W biznesie nie ma gwarancji zysku.
Nie wierz w zawyżone stopy zwrotu.
Wybierz sprawdzonego partnera.”*

Zdrojowa Invest & Hotels to twórca
i lider rynku condo hoteli w Polsce.
Condo hotele mają rozbudowane usługi
hotelowe zapewniające wysokie obłożenie,
czym różnią się od mieszkań na wynajem.
Jedyni obsługujemy rynek wtórny, więc
zwiększamy płynność lokali condo.

 **ZDROJOWA®**
INVEST & HOTELS

CONDO HOTELE &
APARTAMENTY WAKACYJNE

Lider rynku
dochodowych pokoi
i apartamentów.
Największa sieć
hotelii w polskich
kurortach.

MARINE HOTEL & ULTRA MARINE

DUNE
HOTEL
RESORT

sand hotel ****®

JANTAR
HOTEL & SPA

Boulevard
by RESIDENCE

Baltic Park
MOJO apartments

CRISTAL RESORT®
SZKLAŃSKA PORĘBA

Radisson BLU

OPERATOR
Zdrojowa Hotels Central Pomerania

Pomnik Thietmara, biskupa-kronikarza, zdobi dziś klasztorny krużganek przy katedrze w Merseburgu

FOT. VEREINIGTE DOMSTIFTER/FALKO MATTE



Thietmar, czyli niemieckie lustro Polaków



Piotr Semka z Merseburga

Pierwszy dziejopis Polski nie był Polakiem. Co więcej – za naszym krajem niespecjalnie przepadał. Nie zmienia to faktu, że bez „Kroniki Thietmara”, biskupa Merseburga (975–1018), niewiele wiedzielibyśmy o epoce Mieszka I i Bolesława Chrobrego

Niemcy czczą w Thietmarze błyskotliwego kronikarza dziejów Niemiec epoki Henryków i Ottonów. Tysiąc lat po śmierci kronikarza Merseburg uczcił go wielką wystawą. To dobra okazja, by poznać kogoś, kto rzucił sporo światła na początki państwa polskiego. I skonfrontować niemieckie oraz polskie spojrzenie na wejście Polski do wspólnoty europejskiej sprzed tysiąca lat. Pewne problemy okazują się zaskakująco aktualne.

ROMAŃSKI ZAUŁEK

Merseburg leży na tzw. Strasse der Romanik – szlaku romańskim w Saksonii-Anhalt. Tak nazwano trasę turystyczną po tym rejonie Niemiec, który rozkwitł cywilizacyjnie na przełomie X i XI w. Jest w czym wybierać: Magdeburg – stolica cesarzy Ottonów, Querfurt – miasto Świętego Brunona, apostoła Pomorza, Quedlinburg – palatium władców Saksonii, Naumburg ze słynną figurą Regelindy, córki Chrobrego zwanej Śmiejącą się Polką. I wreszcie szacowny Merseburg, stolica biskupstwa powołanego w 967 r. dla chrystianizacji zachodnich Słowian.

Dzisiaj to dość senna miejscowość (33 tys. mieszkańców). Sowiet nie spalili miasteczka w 1945 r. Jeśli tylko wdramiemy się na zamkowe i katedralne wzgórze, to bez trudu poczujemy się jak w epoce cesarzy z dynastii Ludolfingów. To magiczne miejsce, legend dotyczących Merseburga nie brakuje. W zabytkowej klatce przy zamkowym dziedzińcu trzymane są kruki. To kara za to, że ich praprzodek ukradł kiedyś złoty pierścień, co doprowadziło do ścięcia oskarżonego o kradzież dworzani. W 1002 r. odbył się tu zjazd władców, na który przybył Chrobry i omal nie zginął w zamachu na swe życie.

Dzisiaj na zamkowym wzgórzu panuje spokój. Na przyległym do katedry klasztornym krążanku od 2006 r. stoi studzienka uwieczniona pomnikiem Thietmara.

Kim był człowiek, którego „Kronika” jest z uwagą czytana do dziś?

DZIECIĘ EPOKI

„Oceniaj mnie, czytelniku, jako znakomitego człowieka, a zobaczysz małego człowieka o zniekształconej szczękę oraz takimże lewym policzku, ponieważ niegdyś wyrzucił mi się tu wrzód, wciąż jeszcze ropiejący. Złamany w dzieciństwie nos śmiesznym uczynił mój wygląd” – tak gorzko pisał o sobie Thietmar w zakończeniu IV księgi swojej kroniki. Ten ton samokrytyki dla ówczesnych ludzi był oznaką pokory wobec wielkości Boga.

Autor tych słów urodził się w 975 r. w dolnosaksońskim Walbecku jako trzeci syn grafa Zygfrйда. Wzmianki o ułomności fizycznej każą podejrzewać, że zadecydowały one o przyszłości Thietmara. Syn ambitnego saskiego wielmoży mógł zostać albo wojownikiem, albo kapłanem. Dwóch starszych synów grafa zostało rycerzami, a trzech młodszych ojciec oddał Kościołowi. W 987 r. Thietmar trafia do klasztoru św. Jana w Magdeburgu, skąd po paru latach – do szkoły przy katedrze magdeburskiej. Chłopak znalazł się w centrum polityki i życia Kościoła za rządów Ottona III. Tu jeżdżając poselstwem z całego świata. Tu dzieje się wielka polityka, której echa musiały docierać do pojętnego kleryka.

Thietmar wyniósł ze szkoły katedralnej dobrą znajomość Pisma Świętego, biegłość w łacinie i znajomość poezji antycznej. Po latach ze swobodą ozdobi swoją kronikę cytatami z Horacego, Wergiliusza i Owidiusza. Jego własne próby poetyckie nie są jednak rewelacją.

W Magdeburgu Thietmar nasiąka coraz silniejszą wtedy ideologią podbijania Wschodu. Szerzenia chrześcijaństwa wraz z jednoczesnym poszerzaniem cesarstwa. Na krótko ten trend przeżywały rządy Ottona III. Ten syn bizantyjskiej księżniczki Teofano czuł się lepiej we Włoszech niż w Niemczech. Otton hołdował idei uniwersalistycznej – wizji cesarstwa jako federacji równoważnych państw z państwem Piastów jako partnerem, a nie wasalem. Przeciwnieństwem tych wizji była polityka królów Henryków – I i II. Stawiała na silne Niemcy i na

brutalny podbój słowiańszczyzny. Thietmar przyjął tę drugą ideologię.

To oczywiście polskie spojrzenie. Na wystawie akcentuje się raczej wpływ na młodego kleryka atmosfery rozkwitu intelektualnego, który przyszedł do Rzeszy wraz z zakonną reformą benedyktyńską. Snobizmu na wykwinny styl pisania, poezję i kulturę umysłową w Kościele.

Młody kapłan zyskał wpływowego protektora w osobie Taginona, biskupa Magdeburga. Ten wpływowy hierarcha wprowadził go na dwór króla Henryka II. W 1009 r. Thietmar zostaje biskupem Merseburga. Jego biskupi dwór stał się miejscem, gdzie robiono politykę. Zamkiem, który odwiedzali król Niemiec i słowiańscy władcy. Wielu biskupów uczestniczyło wtedy w polityce i wyprawach wojennych. Także Thietmar ruszał na Polskę z królem. Jednak to mu nie wystarczało. Postanowił to jeszcze opisać. A wiedział i słyszał bardzo wiele.

OSIEM KSIĄŻ HISTORII

Na wystawie w Merseburgu pochyla się nad gąbłą, w której umieszczono rękopis „Kroniki”.

W XIX w. te spisane na pergaminie karty trafiły do królewskiej biblioteki w Dreznie. W 1945 r. przechowywano je w Pałacu Japońskim nad Łabą, gdzie bezcenna kronika podzieliła losy miasta, na które 14 lutego spadł armagedon alianckiego bombardowania.

Większość kart jest zwęglona. Niektóre mają spore dziury. Tylko parę stronic ocalało bez strat.

Dla ocalenia treści tekstu nie miało to bezpośredniego znaczenia. W 1905 r. wydano dokładne faksymile dzieła Thietmara. Jednak te poczerwione karty przypominają, jak słońca cenę zapłacili Niemcy za rozpętanie II wojny światowej. Kronika składa się z ośmiu ksiąg. Biskup merseburski pisał swe dzieło od 1012 r. aż do



Jedna z niewielu kart „Kroniki Thietmara”, która nie spłonęła w pożarze w 1945 r. Na dole: miseczek na wodę święconą z kości słoniowej należący do króla Niemiec Henryka II Świętego

FOT. DEUTSCHE FOTOTHEK/REGINE RICHTER, BAVARIAN NATIONAL MUSEUM



chwili, gdy w 1018 r. w wieku 43 lat „śmierć wyrwała mu pióro z ręki”. Sześć lat powstawało dzieło, które formalnie miało być historią diecezji merseburskiej. Faktycznie

stało się bezcennym zapisem historii Niemiec i ich sąsiadów, w tym Polski. W księgach od I do IV autor zapisywał najpierw to, czego dowiedział się o bliskiej przeszłości od żyjących jeszcze świadków zdarzeń

za rządów Króla Henryka

I, a potem Ottonów: I i III. Potem w księgach V, VI, VII i VIII Thietmar zamieszczał już opisy tego, co sam widział i w czym niejednokrotnie uczestniczył.

Wystawa podkreśla, że autor zachowywał godny pochwały obiektywizm i szacunek dla prawdy. Wielką ciężką otaczał członków swej rodziny, ale mimo to nie milczał, gdy któryś z nich popełnił haniebny czyn. Ze wzruszeniem czytamy, jak w V księdze Thietmar pisze, że „chętnie broniłby krewniaka, ale cześć dla prawdy tego nie pozwala”. Dzisiaj w epoce oskarżeń o fake newsy taki pryncypializm brzmi krępująco.

Jednak przekonanie o potrzebie spisywania „tego, jak było” ma w kulturze chrześcijańskiej bardzo mocną podstawę. To naśladowanie ewangelistów, którzy oddawali prawdę, bo bez niej chrześcijaństwo nie przekonałoby kolejnych pokoleń do tego, że męka Jezusa i jego Wniebowstąpienie były historycznym faktem.

Jednocześnie jednak biskup jest dzieckiem swojej epoki. Jako fakt podaje spotkania duchów zmarłych w kościele w Rottmersleben. Opisuje, jak sam widział niesamowitą poświatę bijącą w środku nocy z okien kościoła – znak,

■ że odprawiana jest tam msza nieboszczyków.

Polski czytelnik poznał tłumaczenie kroniki już w 1862 r. Było to pierwsze, dość amatorskie tłumaczenie. Znacznie wyżej oceniany jest przekład Mariana Zygmunta Jedlickiego z 1952 r.

Pochylam się nad wierszowanym wstępem Thietmara do I księgi polskiego wydania „Kroniki”. Po wezwaniach do Chrystusa, aby „zechciał przebaczyć nam winy”, kronikarz zwraca się do kolejnych biskupów:

„Ty zaś, który po mnie obejmiesz katedrę, czytaj te księgi, choć w treści skromne, z żarem miłości. Bo dają one w skrócie wiele, czego myśl twa żąda. A może porwie wszystkich barwna stylu forma”.

Niemieckich badaczy ciekawią w kronice szczegóły europejskiej polityki Rzeszy i dzieje buntów feudałów saskich przeciw cesarzom. Thietmar wykazuje się dobrą znajomością geografii. Wiedział sporo o polityce Anglików, Francuzów, Bizancjum i Arabów.

Na wystawie stoję przed sporą mapą miejscowości wzmiankowanych w kronice – to ogromna mapa całej Europy. Od Londynu i Canterbury na północy do włoskiego Tarentu i Kapuy na południu. Od szwedzkiego grodu Lejre do Krakowa i Kijowa daleko na wschodzie. Tak dochodzimy na wystawie do tego, co zawsze przykuwało uwagę polskich badaczy – opowieści o Słowianach zachodnich i państwie Piastów.

POLSKA JAKO PROBLEM

Drewniany dwugłowy pogański bożek wystawiony na ekspozycji cały jest szczerniały. Relikt kultury zachodnich Słowian z połowy XII w. znaleziono na Wyspie Rybaków na jeziorze Tollensesee pod Neubrandenburgiem. Tyle tylko zostało z materialnego dziedzictwa naszych słowiańskich braci. Zerkam na mapę i dostrzegam wokół miejsca, gdzie znaleziono bożka, wsie, których nazwy wciąż brzmią swojsko: Krukow, Nemerow, Puchow.

Ich mieszkańcy zginęli w walce lub ulegli zniemczeniu, bo na czas nie przeszli na stronę świata chrześcijaństwa. Mieszko I dokonał tej sztuki – i jest w „Kronice Thietmara” traktowany z szacunkiem. Zupełnie inaczej niż plemiona Lutyków czy Obodrytów, skazane na podbój i wyniszczenie.

Thietmar miał nie najlepsze rodzinne doświadczenia ze Słowianami. W bitwie z plemieniem Redarów zginęli w 929 r.

jego dwaj pradziadowie. Ojciec, Zygfryd von Walbeck, najechał kraj Mieszka jako rycerz margrabiego Hodo i dostał niezłe lanie od naszych przodków, unosząc głowę spod Cedyni w 972 r. Dokładność i wierna pisownia słowiańskich nazw geograficznych skłaniają badaczy do przyjęcia tezy, że Thietmar musiał znać mowę Słowian. W końcu na terenie jego biskupstwa żyli liczni słowiańscy tubylcy.

W Polsce postać saksońskiego biskupa najlepiej przybliżył Paweł Jasienica, portretując go obok Galla Anonima i Wincentego Kadłubka w swojej książce „Trzej kronikarze”. Jest więc Thietmar jakoś włączony do polskiej historiografii, choć jednocześnie dr hab. Grzegorz Muszyński nazywa go „pierwszym polakozercą”. Czy słusznie?

O Mieszku I pisze z szacunkiem, że „pokajał się i pozbył, na ustawiczne namowy swej ukochanej małżonki [Dobrawy – przyp. P.S.], jadu przyrodzonego pogaństwa, chrztem świętym zmywając plamę grzechu pierworodnego”. Tu w duszy Thietmara gorliwy chrześcijanin wygrywa z niemieckim narodowcem ekspansjonistą. Jednak już Bolesław Chrobry, następca Mieszka, prowadzący z królem niemieckim Henrykiem II politykę i wojny jak równy z równym, wzbudza irytację Thietmara. Nie rozumie ani nie chce zrozumieć głębokiego sensu wizyty w roku 1000 cesarza Ottona III w Gnieźnie i wręczenia naszemu władcy włóczni św. Maurycego.

„Niech Bóg wybaczy cesarzowi, że trybutariusza uczynił panem” – to zdanie krytyki kronikarza wobec gestu cesarza zna każdy polski student historii.

Polscy historycy od dawna rozkoszują się ilością informacji o państwie Piastów, o obyczajach tam panujących i o losach wojny Henryka II z Chrobrym – władcą dojrzałym i sprawnym. Jednak obok nazw i dat z „Kroniki” przebijają przekonanie, że Niemcy mają naturalną misję bycia mocarstwem władającym całą Europą. „Starszym bratem”, który będzie wyznaczać



Słowiański bożek z Wyspy Rybaków

FOT. LAKO MW / S. SUHR

poziom polskich aspiracji. Wiary, że jest to prawo bardziej zaawansowanego cywilizacyjnie państwa hegemon, które co najwyżej może tolerować pewne lokalne specyfiki podwładnego członka europejskiej wspólnoty.

Dzisiaj pikantnie brzmi cytat z przedmowy Henryka Samsonowicza do książki Pawła Jasienicy (pierwsze wydanie w 1964 r.), w której Samsonowicz, już po upadku PRL, zastanawiał się, czy Jasienica,

pisząc o relacjach cesarstwa z krajem Chrobrego, nie nawiązywał do realiów PRL.

„Dzieło uczonego biskupa nie jest przychylne Polsce, która nie bardzo chciała uznać się za członka wspólnoty uosabianej przez cesarza zachodniego Rzymu, króla niemieckiego. Może za daleko idące byłoby szukanie w zamyśle Pawła Jasienicy analogii do sytuacji naszego kraju w okresie wspólnoty państw socjalistycznych [Jasienica wydał swoją książkę w 1964 r. – przyp. P.S.], ale czytelnikom z drugiej połowy XX w. takie myśli mogły przychodzić do głowy”.

A co dziś przychodzi polskim czytelnikom „Kroniki Thietmara” do głowy, gdy czytają, jak król niemiecki Henryk II na początku XI w. jest w stanie zaakceptować pewien margines suwerenności Chrobrego, ale tylko przy uznaniu narzucanego przez Rzeszę systemu zależności? Jak ma się to do sarkań niemieckich polityków i mediów na „awanturniczą” politykę obecnych przywódców Polski?

Na wystawie ten wątek nie został podjęty – dla Niemców Thietmar to bowiem pionier historiografii i niemieckiej literatury w języku łacińskim. Jednak polskiego widza analogie sytuacji sprzed tysiąca lat i dziś muszą nurtować. I choćby po to warto wybrać się na wystawę do saksońskiego grodu. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Świat Thietmara – Biskup z Merseburga pisze historię” czynna jest w Merseburgu do 4 listopada 2018 r. Szczegóły na: www.thietmar-merseburg.de.

Fryzjer gwiazd – Adam Szulc, były wiceprzewodniczący Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy Dariusz Lipiński oraz popularny pisarz książek dla najmłodszych Jakub Skworz zainaugurowali na poznańskich Winogradach tegoroczną „Jesień z Kulturą” organizowaną przez Zysk i S-ka Wydawnictwo oraz wydawnictwo Nowa Baśń.

Na pikniku, którego głównymi bohaterami obok książek i ich autorów byli czytelnicy, zwłaszcza ci młodszy wiekiem, pojawiło się wielu poznaniaków. Dla tych, których przyprowadzili rodzice, były specjalne animacje, zabawy w kolorowych tunelach, malowanie twarzy i edukacyjne publikacje. Dla starszych – możliwość poznania nowości wydawniczych dotyczących np. historii Polski oraz spotkania i prywatne rozmowy ze znanymi autorami.

– Myślisz sobie, co taki fryzjer ma do powiedzenia? –

„Jesień z Kulturą” i autorami

Wydawnictwo Zysk i S-ka rozpoczęło cykl jesiennych pikników z książką. W każdy weekend będą organizowane w innych miejscach w Poznaniu

śmieje się w rozmowie z „Do Rzeczy” Adam Szulc, poznański barber, u którego strzygą się znane osoby ze świata filmu, mediów i sportu. – Dzisiaj dobry fryzjer musi być czytany, mieć wiedzę o polityce, kulturze, sporcie, gospodarce, zaprosić klienta do rozmowy i poprowadzić ją – dodaje. Szulc jest autorem wydanej właśnie książki „Fryzjer męski” opisującej historię fryzjerstwa od starożytności do czasów współczesnych.

Z kolei Dariusz Lipiński, przez wiele lat poznański sa-

morządowiec, później poseł PO, obecnie polityk Zjednoczonej Prawicy, przejechał rowerem setki kilometrów – od Paryża do Santiago de Compostela. A to, co zobaczył, opisał w swojej książce „Po kręgosłupie Europy”, będącej nie tylko zapisem podróży, refleksjami nad chrześcijańskimi korzeniami naszego kontynentu, lecz także obrazem coraz bardziej zatracającej swoją tożsamość laickiej Europy.

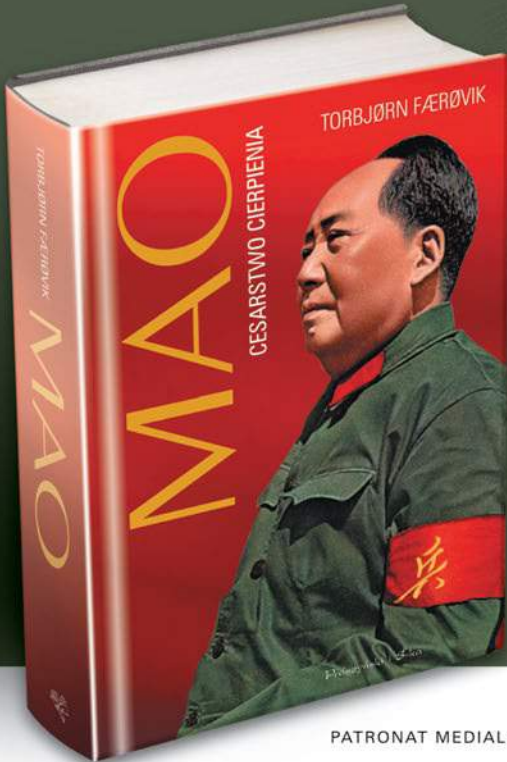
„Jesień z Kulturą”, nad którą objął patronat tygodnik „Do Rzeczy”, jest kontynuacją

organizowanych od sześciu lat w różnych miastach Polski serii letnich festynów, podczas których można się spotkać z autorami ulubionych książek.

– W trakcie rozmów, przy których z przyjemnością jestem, goście festynów pytają autorów o najróżniejsze rzeczy. Począwszy od źródeł inspiracji do książki, sposobów zbierania materiałów źródłowych, a skończywszy na prośbach opowiedzenia tego, co w ich książkach, ze względu na ograniczenia objętościowe, się nie znalazło – opowiada Tadeusz Zysk, prezes wydawnictwa Zysk i S-ka. – A najmłodsi często pytają, jak zostać pisarzem i dzięki przygotowanym animacjom i upominkom mogą pokonać bakcylię czytania. I to jest też ogromna wartość dodana akcji – dodaje.

„Jesień z Kulturą” organizowana będzie także w kolejne weekendy w różnych miejscach Poznania. ©© (www)

REKLAMA



MAO
JAKIEGO NIE ZNACIE
TORBJØRN FÆREVIK
CESARSTWO CIERPIENIA

CHIŃSKI PRZYWÓDCA ZABIŁ WIĘCEJ LUDZI NIŻ HITLER

Na ołtarzu rewolucji złożono prawdopodobnie przeszło pięćdziesiąt milionów ofiar. Większość zmarła z głodu, innych zamordowano.

Chiny Mao Zedonga są jaskrawym przykładem tego, jak totalitarne reżimy fałszują historię, nazywając głód, dobrobytem.

**JUŻ
W KSIĘGARNIACH**

www.proszynski.pl

PATRONAT MEDIALNY

**DO
RZECZY**

**HISTORIA
RZECZY**

**ciekawostki
historyczne.pl**

wiedza i życie



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

„Sarenka” w łagrze

Niemcy ostrzeliwali się z ratusza. Kule świszczały koło głowy, po raz pierwszy byłam w takiej sytuacji. Na początku koledzy mi mówili: „Nie bój się, ta kula, która świszczy, nie jest dla ciebie. Swojej nie usłyszysz, przyjdzie cicho”. Takie mieli nastawienie. Przeczłapałam się na drugą stronę. Schroniłam się w bramie i nagle zostałam ranna w nogę, bo dom obok został zbombardowany i jakiś metalowy odłamek włożył mi w ciało. Do dziś tam siedzi”. To fragment wywiadu rzeki z Danutą Szyksznian-Ossowską „Sarenką”. Opisana wyżej scena rozegrała się w trakcie operacji „Ostra Brama”. „Sarenka” była bowiem łączniczką Wileńskiego Okręgu AK.

W rozmowie przeprowadzonej przez Magdalенę Semczyszyn Danuta Szyksznian-Ossowska opowiada o pełnej niebezpieczeństw działalności konspiracyjnej i partyzanckich walkach z Niemcami. A także o czerwonym „wyzwoleniu”, „Sarenka” w Wigilię Bożego Narodzenia 1944 r. została aresztowana przez NKGB. „Dostałam pięścią w twarz od śledczego – opowiada »Sarenka« – z nosa trysnęła krew, a ja osunęłam się po ścianie. Szok. Nikt nigdy dotąd nie podniósł na mnie ręki. Byłam drobna i delikatna, a tu rosły mężczyzna zaczął się nade mną znęcać i wyzywać od najgorszych. Widać było, że lubi bić, wyżywał się. Po pierwszym przesłuchaniu wróciłam z podbitym okiem, rozciętą wargą i spuchniętą twarzą. Dalej wyglądało tak samo”.

Polska łączniczka była wyzywana od „bladzi”, bita pałą po plecach i piętach. Gdy traciła przytomność, bolszewicy cucili ją wiadrzem wody. Do dziś ma uszkodzony kręgosłup. Według śledczych pani Danuta była członkinią kontrewolucyjnej organizacji, która prowadziła „wrogą robotę przeciwko władzy sowieckiej”. Została skazana ze słynnego paragrafu 58. Wyrok: 10 lat łagrów. Sposobu, w jaki „Sarenka” wyrwała się z sowieckiego piekła, nie będę zdradzał. Nie chcę bowiem psuć lektury. To jedna z najciekawszych książek historycznych, które ostatnio czytałam. Stanowi potwierdzenie starej prawdy, że wspomnienia świadka historii mówią nam więcej o epoce niż opasłe tomy pisane przez zawodowych historyków. ©©



★★★★★
**DANUTA
SZYKSZNIAN-
OSSOWSKA,
MAGDALENA
SEMCZYSZYN**
„WILEŃSKA
ŁĄCZNICZKA AK”
IPN SZCZECIN



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Niedoszły (?) prezydent RP

Historycy i prawnicy do dzisiaj się spierają, czy Bolesława Wieniawę-Długoszowskiego można uznać za prezydenta Polski. Został nim zgodnie z konstytucją mianowany przez prezydenta Mościckiego po jego internowaniu w Rumunii, ale nigdy nie objął stanowiska. Zdecydował o tym zamach stanu przeprowadzo-

tego prowadził „fantazyjny sposób bycia, pod pozorem rozległej kultury skrywający tyleż nieumiarkowanego dziwactwa, co i niepomiarowania w obyczajach”. W tej sytuacji Paryż uznał jego kandydaturę za „niepoważną, a nawet gorszą”.

Sikorski nie zaniedbywał żadnego szczegółu. Odwiedził Łukasiewicza i chociaż nie zajmował jeszcze żadnego stanowiska (!!!), to oficjalnie oświadczył, że jego kandydatem jest Ignacy Paderewski.

Polacy nie ugięli się przed Hitlerem, a teraz nie zamierzali grzecznie słuchać sojuszników. Alianci byli zobowiązani do współpracy, ale nie mieli prawa mieszać się w wewnętrzne sprawy Polski. Jednak Sikorski i jego francuscy mocodawcy czuwal nad sytuacją.

Gdy Wieniawa przybył do Paryża i rozpoczęto druk „Monitora Polskiego” (publikacja decyzji Mościckiego była jednoznaczna z objęciem władzy przez Długoszowskiego), jego przeciwnicy zastosowali metodę faktów dokonanych. Drukarnia została otoczona przez francuskie wojsko oraz policję i skonfiskowano cały nakład. W tej sytuacji 30 września 1939 r. Wieniawa poprosił Mościckiego o zwolnienie ze stanowiska. Prezydentem został Władysław Raczkiewicz, który powołał rząd z Sikorskim jako premierem, a Długoszowski powrócił do Rzymu. Pierwszy ułan RP po raz kolejny pokazał klasę, dla niego najważniejsze było dobro Polski, a nie osobiste ambicje. ©©

**30 września 1939 r.
Wieniawa poprosił
Mościckiego
o zwolnienie
ze stanowiska**

ny przez gen. Sikorskiego przy poparciu władz francuskich.

Sikorski od chwili przybycia do Paryża zajął się oczernianiem Wieniawy w oczach sojuszników. Przedstawiał go jako zajadłego zwolennika sanacji, a przy okazji: alkoholika, erotomana, narkomana i hazardzistę. Gdy ambasador RP w Paryżu Juliusz Łukasiewicz złożył oficjalną notę o desygnowaniu Długoszowskiego, usłyszał, że rząd francuski nie aprobuje wyboru. Złudzeń nie pozostawił też ambasador Francji w Bukareszcie, komunikując obcesowo Mościckiemu, że jego mocodawcy „nie mają zaufania do wyznaczonej osoby” i że Paryż „nie uzna jakiegokolwiek rządu powołanego przez generała Wieniawę”. Stwierdził ponadto, że Długoszowski jest „dawnym oficerem Piłsudskiego, którego zabawiał swoimi wyskokami i facecjami”, a do

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

JAK NIEMCY
MORDOWALI POLAKÓW
W DOLINIE ŚMIERCI

- Jacek Komuda – **Polscy jeźdźcy apokalipsy**
Tadeusz Kisielewski – **Jak zginął generał Sikorski**
Mikołaj Iwanow – **Krwawa dintojra w PPR**
Joshua D. Zimmerman – **Armia Krajowa i Żydzi**
Sławomir Koper – **Burzliwe związki Jana Kiepury**
Maciej Rosalak – **Heroizm Orląt Lwowskich**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Czy Mickiewicz był Żydem?**
Torbjørn Færøvik – **Ludobójstwo Mao Zedonga**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



Plaża w Zaleszczykach,
lata 30. XX w. FOT. NAC

Ostatnie winobranie w Zaleszczykach



Piotr Włoczyk

Osiemdziesiąt lat temu Polacy ostatni raz obchodzili wielkie święto winobrania w Zaleszczykach. Ten malowniczo położony, najcieplejszy kurort II RP okrzyknięty był mianem „letniej stolicy Polski”

Lato – pisała Maria Pawlikowska-Jasnorzewska – odchodziło stamtąd leniwie, przeciągając się jak kot, a wracało szybko pikującym lotem jaskółki”.

Zauroczona Zaleszczykami była również Maria Dąbrowska. Pod datą 26 września (!) 1937 r. zapisała w swoich „Dziennikach”: „Pobyt w Zaleszczykach okazał się istnym wprost cudem. Cały czas letnia pogoda, upały, błogie powietrze, moc winogron i przepysznych owoców wszelkiego rodzaju – po prostu raj ziemski zalany słońcem”.

Zachwyt nad niezwykłym klimatem tego kurortu wynikał z jedynej w swoim rodzaju lokalizacji. Leżące nad potężnym Dniestrem Zaleszczyki z trzech stron oblانة są wodami rzeki – od wschodu, południa i zachodu. Przyjezdni nazywali to miasteczko „półwyspem”, a miejscowi „rondlem”. Zaleszczyki położone są w jarze – po drugiej stronie wznosi się bardzo wysoki i stromy brzeg, który zabezpiecza miasto przed wschodnimi wiatrami. Stwarza to idealne warunki dla wczasowiczów.

TO BYŁY CZASY!

W przedwojennym przewodniku po polskich uzdrowiskach pisano, że Zaleszczyki położone są na „półwyspie pełnym ogrodów, sadów i winnic, otoczonym Dniestrem, który w tym miejscu tworzy granicę polsko-rumuńską. Klimat Zaleszczyk jest łagodny, ciepły, prawie południowy, toteż miejscowość nazywają Polskim Meranem. Zaleszczyki posiadają największą liczbę pogodnych dni w Polsce, a dzięki nachyleniu terenu ku południowi – spotęgowany wpływ słońca. Powietrze szczególnie w okolicy Dniestru jest ciche i czyste”.

Tłumy turystów dowoziły w sezonie pociągi jeżdżące po najdłuższej w II RP trasie Gdynia – Zaleszczyki. Najzamożniejsi mogli się wybrać w podróż lukstordą, która również docierała nad Dniestr.

– Kiedyś to miasteczko miało w sobie mnóstwo życia. Tłumy ludzi wypoczywały na naszych pięknych naddniestrzańskich plażach. My w domu również wynajmowaliśmy pokoje wczasowiczom. Pamiętam, że co roku przyjeżdżała do nas aż z Łodzi pewna pani z dzieckiem – wspomina w rozmowie z „Do Rzeczy” lata świetności Zaleszczyk 94-letnia Maria Wereszczuk, najstarsza mieszkanka miasteczka. Pani Maria posługuje się piękną polszczyzną – wychowywała się w rodzinie polsko-ukraińskiej. – Dzisiaj Zaleszczyki w niczym nie przypominają miasteczka z mojej młodości. Wszystko porozwalane, aż przykro to porównywać. A przed wojną z urzędu miasta chodzili nawet kontrolować ogródki, czy porządek każdy utrzymuje, bo Zaleszczyki musiały błyszczeć. Szczególnie przyjemnie było tu we wrześniu, w czasie wielkiego święta winobrania. To były czasy! – mówi pani Maria.

Ciepły klimat sprzyjał uprawie winorośli. Przed wojną władze państwowe dostrzegły potencjał Podola i postawiły na rozwój tego sektora rolnictwa. W 1931 r. utworzono Państwową Rolniczą Szkołę Sadownictwa, Warzywnictwa i Pszczelarstwa w Zaleszczykach.

Winnice w okolicy Zaleszczyk zaczęły rosnąć jak grzyby po deszczu.

Każdego roku we wrześniu obchodzono tu głośnie na całą Polskę święto, na którym widać było cały ludowy koloryt mieszkańców Podola. W 1938 r. odbyło się ostatnie takie święto w Zaleszczykach.

„Największą ilość przyjezdnych skupia doroczny obchód winobrania, rozpoczynający się z końcem września. Tysiące gości zjeżdża wtedy do Zaleszczyk” – opisywał to wydarzenie przedwojenny przewodnik turystyczny. PKP oferowały z tej okazji turystom bilety na „winne dożynki” nawet za jedną trzecią ceny.

Zaleszczyki zyskały na znaczeniu, gdy w dwudziestolecie międzywojennym stworzono tu dwie piękne naddniestrzańskie plaże: tzw. cieniastą i słoneczną. Szczególnie ta druga uznawana była za perłę podolskiego „półwyspu”. Na

słynnym przedwojennym zdjęciu widać, jak gigantyczny termometr ustawiony na plaży pokazuje w słońcu ponad 50 st. C. Przy plaży słonecznej zbudowano też promenadę z równo przyciętymi klonami.

„Zaleszczyki objawiły się jako mekka dla turystów z centralnej Polski w latach 20. XX wieku. Stały się wówczas »orientalną sensacją« – pisze Stanisław Sławomir Niciejka w swojej książce »Kresowa Atlantyda«. – Jechało się tam nie tylko leczyć reumatyzm, wygrzewać się w słońcu na kamienistym brzegu i masować ciało w bystrej wodzie Dniestru. Przyjeżdżało się tam również, aby zająć wyjątkowo smaczne owoce – Zaleszczyki bowiem już z nastaniem wiosny zamieniały się w wielki sad. Wille i budowane w latach trzydziestych pensjonaty z oszklonymi fantazyjnymi werandami tonęły w ogrodach, a każdy dom we wrześniu obwieszony był kiściami winogron. Łagodny, ciepły klimat powodował obfitość owoców: moreli, brzoskwiń, miodowych gruszek”.

W związku z największą liczbą słonecznych dni w Polsce kuracje na zaleszczyckich plażach szczególnie polecano rodzinom z dziećmi chorującymi na gruźlicę kostno-stawową oraz krzywicę.

WSPOMNIENIE PO PIŁSUDSKIM

Dzisiaj po tamtym miejscu pozostało niewiele pamiątek. Obie plaże zostały po 1945 r. kompletnie zrujnowane. – Strasznie to wszystko wygląda, a przecież to miejsce znów mogłoby ściągać tysiące turystów – kiwa głową Nikołaj,

70-letni mieszkaniec Zaleszczyk. Nikołaj zawiózł nas w miejsce, które – jego zdaniem – najlepiej nadaje się dziś w Zaleszczykach do wypoczynku nad Dniestrem. Jego jedyną zaletą jest to, że można tam dojechać autem bezpośrednio nad samą rzekę, ale poza tym brzeg jest tu tak samo zarośnięty krzakami jak gdzie indziej w Zaleszczykach. – Nikt tu o nic nie dba, „bardak” zrobili tu nie do wytrzymania. A przed wojną tu przecież nawet wasz Piłsudski przyjechał na wypoczynek! – mówi Nikołaj.

Marszałek przyjechał do Zaleszczyk we wrześniu 1933 r. Z jego wizytą wiąże się historia, która do dziś opowiadana jest przez starszych mieszkańców miejscowości. Najbogatszą mieszkanką Zaleszczyk była wówczas „Pani Majorowa” – Stella Turnau – jedna z ostatnich właścielek pięknego pałacu Brunickich, położonego nad samym Dniestrem przy moście wiodącym do Rumunii. Dzisiaj pałac popada powoli w ruinę – po wojnie Sowietci zamienili go w szpital, jednak już od lat stoi pusty.

W 1933 r. pałac, położony w przepięknym parku w stylu angielskim, uchodził za najbardziej prestiżowe miejsce w miasteczku. Adiutant Marszałka, chcąc zaaranżować jego wizytę w pałacu, odwiedził Majorową. Adiutant, jeżeli wierzyć plotce, usłyszeć miał wówczas od właścicielki: „Nigdy, pani kapitanie, bo to za wysokie progi dla tego socjalisty!”. W ten sposób współpracownik Józefa Piłsudskiego miał się zorientować, że Stella Turnau jest wielką zwolenniczką endecji.

Drugą pozostałością po czasach II RP jest przepiękny kościół katolicki św. Stanisława. Jego proboszcz, polski ks. Marek Hułyk, od lat walczy o doprowadzenie świątyni do odpowiedniego stanu. – Komuniści zamienili nasz kościół w magazyn soli. Budynek niszczał przez wiele lat, więc potrzeba jeszcze dużo pracy i nakładów, by przywrócić mu dawny blask – mówi „Do Rzeczy” ks. Hułyk. – Staram się przekonać obecne władze Zaleszczyk, by trochę bardziej zadbały o to przepiękne miejsce, by lepiej je zagospodarować i znów zacząć korzystać z naszego cudownego Dniestru, ale na razie moje apele nic nie dają. Serce się kraje, że to wszystko tak niszczy – mówi ks. Hułyk.

Kościół św. Stanisława i tak miał więcej szczęścia niż zaleszczycka synagoga. Po tym, jak Niemcy wymordowali lokalną społeczność żydowską, synagoga zamieniona została w kotłownię.

Wkroczenie Sowietów na zawsze zmieniło to miejsce. – Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam kolumny żołnierzy Armii Sowieckiej, aż zemdlałam – tak strasznie wyglądali ci ludzie. Przynieśli ze sobą tylko nieszczęście, na zawsze niszcząc Zaleszczyki – mówi pani Maria. I dodaje: – Człowiek, który pamięta stare Zaleszczyki, może tylko załamać ręce nad tym, co się dziś dzieje z tym miasteczkiem. Tylko pogodę wciąż mamy tak samo piękną.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Każdy, kto chciałby wspomóc renowację kościoła św. Stanisława w Zaleszczykach, proszony jest o kontakt z Archidiecezją Lwowską Kościoła Łacińskiego na Ukrainie (www.rkc.lviv.ua/Zalishchiki-pl) lub o bezpośredni kontakt z ks. Markiem Hułykiem – marekh@ukr.net.

REKLAMA

**ZŁO JEST NAMACALNE.
I WSZECHOBEĆNE.**

FASCYNUJĄCA POWIEŚĆ, KTÓRA NAWIĄZUJE DO JEDNEGO
Z NAJBARDZIEJ PRZERAŻAJĄCYCH WYDARZEŃ W HISTORII AMERYKI.

Wydawnictwo Albatros Książki dostępne w KSIĘGARNIE Świat Książki i na swiatksiazki.pl



Tomasz P. Terlikowski

Sąd nad Węgry, który przeprowadzono w Parlamencie Europejskim, jest w istocie sądem nad ojcami założycielami Wspólnoty Europejskiej. A Orbán jest, kto wie, czy nie jedynym ich prawdziwym spadkobiercą

Parlament Europejski przegłosował uruchomienie art. 7 traktatu unijnego, który wcześniej Komisja Europejska zastosowała wobec Polski. Tym razem celem jest zdyscyplinowanie Węgier i zmuszenie ich do zaprzestania własnej, chroniącej zresztą Unię Europejską, polityki, a także wymuszenie zmian w polityce wewnętrznej. Ostateczną sankcją, jeśli do nich w ogóle dojdzie, a do tego daleka jeszcze droga, może być wykluczenie Węgier z procesu decyzyjnego w UE, a nawet wydalenie tego państwa z Unii.

mijanie się z prawdą, naruszanie honoru Węgier, a także próbę zamordystycznego wprowadzania jedynie słusznej ideologii ponad głowami obywateli. – Mamy inne wyobrażenie chrześcijaństwa w Europie, inne rozumienie znaczenia narodów i kultur, inaczej myślimy także o celu i samej istocie europejskiej rodziny i o migracji. Jeżeli chcemy, by Unia była zjednoczona w różnorodności, to te różnice nie powinny być powodem, by naznaczać takim piętnem jakiekolwiek państwo, by wykluczać je z procedury podejmowania decyzji – grzmiał Orbán w znakomitym zresztą przemówieniu.

Europejski

Jakie są przyczyny? Oficjalnie mówi się o naruszeniu standardów unijnych, wartości, na których zbudowana jest Unia Europejska. – Rząd Węgier uciszył niezależne media, nałożył kaganiec na świat akademicki, zastąpił sędziów takimi, którzy są bliżsi rządzącej partii, zdecydował, które Kościoły mogą działać, a które nie – mówiła sprawozdawczyni projektu Judith Sargentini (Zieloni). A wtórował jej wiceszef Komisji Europejskiej Frans Timmermans. – Społeczeństwo obywatelskie to jest tkanka demokracji i jest ono niestety ograniczane przez działania rządu Węgier – zaznaczył. – Będziemy nadal kontrolować sytuację na Węgrzech. KE nie zawaha się podejmować odpowiednich działań, jeśli to konieczne. Obiecuję, że będziemy czujni – wskazał Timmermans.

ATAK NA HONOR I NA WARTOŚCI

Odpowiedź Węgier była jednoznaczna. Viktor Orbán zarzucił autorom raportu

Nie zabrakło w nim także odniesienia do kwestii migracji, która – jak się zdaje – pozostaje głównym kamieniem obrazy w relacjach Węgier i Unii Europejskiej. – Węgry będą skazane, bo ludność Węgier zdecydowała, że nie będzie krajem migrantów. Z całym szacunkiem, ale też z całą stanowczością muszę odrzucić ten szantaż, że musimy wspierać migrację i migrantów, wbrew opinii naszego narodu. Niezależnie od waszej decyzji Węgry nie poddadzą się – mówił Orbán. Premier Węgier przypomniał także europarlamentarzystom, którzy głosowali (chwilę później) nad wszczęciem procedury związanej z art. 7, że ogromna większość z nich i z ich partii może pomarzyć o porównaniu porównywalnym choćby z tym, jakim cieszy się Fidesz na Węgrzech. A wszystko to robił z pełną świadomością, że... i tak głosowanie przegra, a procedura zostanie wszczęta.



FOT. VINCENT KESSLER/REUTERS/FORUM

Dlaczego tak się stało? Wiele wskazuje na to, że Orbán trafnie zdiagnozował przyczynę, i to wcale nie w tym fragmencie, który odnosił się do migracji, a we wcześniejszym, w którym opisywał podziały wewnątrz obecnej Unii Europejskiej. Fundamentalny spór, z jakim mamy do czynienia we współczesnej Europie, wcale nie dotyczy bowiem migracji, ale tego, jaki charakter ma mieć w przyszłości Stary Kontynent. Migracja jest tylko narzędziem, za pomocą którego ów nowy projekt ma być wprowadzany w życie. Istotą sporu jest więc właśnie pytanie o to, jak rozumiemy naród, kulturę, cywilizację i wreszcie, jaką rolę przypisujemy chrześcijaństwu. Orbán pozostaje w tych kwestiach tradycyjny, przywiązany do myśli ojców założycieli Wspólnoty Europejskiej, którzy mieli świadomość nie tylko wartości narodów, lecz także fundamentalnego znaczenia chrześcijaństwa dla przetrwania Europy. II wojna światowa, tak jak dwa wielkie totalitaryzmy, które spustoszyły nasz

wprowadzana polityka prorodzinna ograniczyła liczbę aborcji i przyczyniła się do wzrostu demograficznego, a powracające odwołania do chrześcijaństwa – przynajmniej w przestrzeni publicznej – odwracają trend laicyzacyjny.

O konieczności kontrrewolucji mówił zresztą Orbán już kilka lat temu w Krynicy. – Europie potrzebna jest kontrrewolucja kulturalna. Musimy ruszyć jak husarze – mówił już w 2006 r. premier Węgier. – Elita europejska, decydenci polityczni, liderzy mediów wmówili sobie, że właściwym kierunkiem rozwoju ludzkości jest to, aby zlikwidować nasze tożsamości. Że to nie jest nowoczesne być Polakiem, Czechem, Węgrem. Nie jest nowoczesne – być chrześcijaninem. W miejsce tego pojawiła się nowa tożsamość: europejska. [...] Brytyjczycy powiedzieli: nie. Chcieli pozostać Brytyjczykami. Jest możliwość kontrrewolucji kulturalnej. Nie ma czegoś takiego jak tożsamość europejska. Są Polacy i Węgrzy – dodawał, odnosząc się do brexitu.

wiedź jest prosta: zachować system odpornościowy. Niestety, zrobienie tego nie jest takie łatwe, bowiem – jak wskazywał Orbán w tym samym przemówieniu – „system odpornościowy Europy jest celowo osłabiany”. – Oni chcą, abyśmy przestali być tym, kim jesteśmy. Chcą, abyśmy stali się tymi, którymi nie chcemy być – podkreślał Orbán. – W świetle św. Bożego Narodzenia wyraźnie widać ataki na kulturę chrześcijańską, próby rozbicia Europy. Oni chcą nam zabrać nasze życie i zamienić je na coś, co nie jest naszym życiem – zaznaczał premier Węgier.

STRAŻNICY WARTOŚCI UNII

Ciekawe, że do postawy obrony Europy, do obrony systemu odpornościowego, nawiązywał Orbán także w ostatnim przemówieniu w Parlamencie Europejskim. Tam również padły słowa o tym, że Węgry są osądzone za to, że odgrywały rolę obrońcy wartości unijnych i chroniły UE przed niekontrolowaną migracją. – Bronili-

bezpiecznik

kontynent, jest smutnym dowodem na to, jak kończy się zastąpienie chrześcijaństwa ateistyczną ideologią czy rozmaitej maści neopogaństwem.

KONTRREWOLUCJA ORBÁNA

Istotą programu (realizowanego w sposób umiarkowany, z politycznym wyczuciem i na spokojnie) Orbána jest powolna kontrrewolucja kulturowa, która ma odmienić oblicze kraju. Węgierski lider ma pełną świadomość, że jego państwo jest głęboko zniszczone przez ateistyczny reżim komunistyczny, zlaicyzowane i zdechrystianizowane. Węgierskim Kościołom daleko do polskich, wiernych w nich zdecydowanie mniej, a chrześcijańska moralność wcale nie jest głęboko zakorzeniona. A jednak, powoli i ostrożnie, Orbán przywraca przez decyzje polityczne nie tylko znaczenie chrześcijaństwa w życiu społecznym, lecz także tradycyjne postawy. Sprawnie

Rok później zaś rozwijał swoją myśl w orędziu bożonarodzeniowym. – Musimy chronić chrześcijańską kulturę – podkreślał w opublikowanym na łamach „Magyar Idők” bożonarodzeniowym przesłaniu Viktor Orbán. – Nasza kultura jest kulturą życia. Naszym punktem wyjścia, alfą i omegą naszej filozofii, jest wartość życia, otrzymana od Boga godność każdego życia – bez tego nie moglibyśmy cenić praw człowieka i wielu innych współczesnych zjawisk – zaznaczał Orbán. Jego zdaniem te właśnie fundamenty są obecnie atakowane. – Nie chcemy, by nasze bożonarodzeniowe jarmarki zmieniały nazwę i by trzeba je było otaczać betonowymi murami. Nie chcemy, by nasze bożonarodzeniowe nabożeństwa odbywały się w atmosferze strachu i cierpienia. Nie chcemy, by nasze córki były molestowane w czasie sylwestrowych zabaw – podkreślał premier Węgier.

Jak do tego nie dopuścić? Co zrobić, by zachować korzenie Europy? Odpo-

śmy Węgier i bronimy Unii Europejskiej. To jest pierwszy przypadek, gdy społeczność potępia własną straż graniczną – zaznaczał w PE Orbán. I nawet jeśli ktoś go nie lubi albo uznaje, że część jego słów to polityczna fanfaronada, to trudno nie dostrzec, że m.in. dzięki niemu masakra migracyjna jest mniejsza, niż mogłaby być.

Trudno też nie dostrzec, że proponowana przez niego polityka zakorzeniona jest w tym, jak o Europie myśleli ojcowie założyciele, których celem było nie tylko wprowadzenie w życie chrześcijańskich wartości, lecz także zbudowanie bezpieczników, które uchronią ją przed rewolucyjnym czy ideologicznym szaleństwem. Obecne władze Unii nie tylko pozbawiły ją owych bezpieczników, lecz także same realizują program szaleńczego samobójstwa. Węgry (czy w pewnym stopniu Polska) próbują zaś owe bezpieczniki przywracać. I za to są obecnie karane.



KRZYŻ, KTÓRY PRZESZKADZAŁ

W parku miejskim w Pensacoli (USA) od 1941 r. stał wielki drewniany krzyż. Musi zostać usunięty. Federacyjny sąd apelacyjny przyznał rację czterem osobom uznającym, że krzyż w miejskim parku narusza amerykańską konstytucję. I teraz najlepsze – dwie z tych osób na stałe mieszkają w Kanadzie, a trzecia w dużej odległości od miejskiego parku. Burmistrz przekonuje, że krzyż stanowi część kultury i historii miasta. W obronę krzyża zaangażował się kongresmen Ron DeSantis.

FOT. WWW.EURODAPOLITICS.COM

CIEMNOSKÓRE PODRÓBKİ

Francuska artystyczna szkoła z Lyonu w ciągu dwóch lat planuje otworzyć swoją filię w Los Angeles. Wejście na rynek edukacyjny zaczęła z przytupem – inter-nauci wyłapali, że zdjęcie użyte do reklam na rynek USA zostało zmanipulowane. Część francuskich uczniów przemalowano i zrobiono z nich ciemnoskórych. Rzeczniczka zaprzeczyła, by była to celowa manipulacja. Szkoła zerwała też umowę z amerykańską agencją reklamową i zawiesiła stronę internetową skierowaną do osób z USA.

HYMN DYSKRYMINUJĄCY

Pewna dziewięcioletnia Australijka przestała wstawać na uroczystościach szkolnych podczas odgrywania hymnu państwowego. Uznała bowiem (zapewne nie sama na to wpadła, bo ojciec wspiera ją, twierdząc, że jest „bardzo odważna”), iż słowa pieśni odnoszą się jedynie do białych potomków kolonizatorów. A konkretniej – jej zdaniem np. zwrot „jesteśmy młodzi” to brak

szacunku dla rdzennych mieszkańców kraju, bo oni byli tam... przed białymi, i to przez 50 tys. lat. Po nagłośnieniu sprawy w mediach nie wytrzymała prawicowa senator Pauline Hanson i stwierdziła, że dziecko ma „wyprany mózg” i należy usunąć ją ze szkoły. Były premier Australii Tony Abbott też orzekł, że dziewczynka powinna dostosować się do regulaminu placówki. Jednak dyrekcja szkoły zapewniła, że nie zamierza usunąć ani zawiesić uczennicy z tego powodu, że dziecko nie wstaje podczas hymnu.

ZROBILI KROWOM ŚWIŃSTWO

Obroncy praw zwierząt zakradli się na farmę Lebenwalder Agrar w północno-wschodnich Niemczech i wypuścili z zagrod trzymane tam krowy. Wypuszczone zwierzęta dobrały się do skoncentrowanej paszy – niektóre z nich zjadły po 10 kg, choć norma dzienna dla nich wynosi 2 kg. Efekt tej „pomocy” dla zwierząt? Kilka krów padło z przejedzenia, a kilkadziesiąt znajdowało się w stanie krytycznym. Właściciele farmy zaoferowali 1 tys. euro nagrody za wskazanie sprawców. ©

Łukasz Zboralski

PIECZEŃ RZYMSKA

ONZ czy Klub Pickwicka?



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

Wysokim komisarzem ds. praw człowieka ONZ została była prezydent Chile, Michelle Bachelet, przyjaciółka braci Castro i Hugona Cháveza. W pierwszym wystąpieniu zapowiedziała, że wyśle do Włoch misję specjalną w związku z „silnym wzrostem aktów przemocy i rasizmu wobec migrantów pochodzących z Afryki i Romów”.

Decyzja oburzyła całą Italię, wyjmując wiwatujących włoskich postępców, którzy kontakt z narodem i rzeczywistością utracili bezpowrotnie. Ze statystyk wynika, że we Włoszech liczba incydentów motywowanych rasizmem

znacznie spadła, i w tym roku było ich kilkanaście. Za to spośród 700 przestępstw zgłaszanych dziennie policji jednej trzeciej dopuszczają się obcokrajowcy, w większości migranci.

Włosi pytają, dlaczego wysoka komisarz nie wysła swoich inspektorów np. na Kubę, do Sudanu, Wenezueli, Iraku, Chin czy Pakistanu, gdzie prawa człowieka są fikcją, choć wszystkie te kraje należą do Rady Praw Człowieka ONZ. Mało tego – w komisjach ONZ zajmujących się emancypacją kobiet zasiadają Iran i Arabia Saudyjska. Z kolei Turcja przewodniczy komisji ds. organizacji pozarządowych.

Inna agenda ONZ – Światowa Organizacja Zdrowia 27 września zajmie się problemem chorób niezakaźnych i ich związkami z odżywianiem. Na indeksie mają się znaleźć produkty zawierające zbyt dużo soli, cukru i tłuszczów. Na czarną listę mają trafić: parmezan, szynka parmeńska i oliwa – podstawa diety Włochów, którzy po Japonii-czykach żyją najdłużej na świecie.

Jednak od kiedy UNESCO ogłosiło, że Wzgórze Świątynne w Jerozolimie nie ma nic wspólnego z judaizmem i chrześcijaństwem, a wszystko z islamem, trudno się czemukolwiek dziwić. ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

Już 8 października w **DO RZECZY** dodatek



DODATEK SPECJALNY część II

Polska - ojczyzna Żydów

- Co zabory oznaczały dla Żydów
- Historia pewnego sztetlu
- Żydzi w powstaniach narodowych
- Fenomen sekty frankistów



Berek Joselewicz – grafika według Juliusza Kossaka



Dofinansowano ze środków
Narodowego Centrum Kultury
w ramach programu
„Kultura – Interwencje 2018”





Paul Manafort był jednym z najbardziej zaufanych ludzi Donalda Trumpa. Na zdjęciu między prezydentem a jego córką Iwką Trump

FOT. RICK WILKING/REUTERS/FORUM



Jacek Przybylski

Zeznania byłego szefa kampanii prezydenckiej Donalda Trumpa, który przyznał się do udziału w spisku przeciw USA, mogą zatrzęść sceną polityczną

Paul Manafort jest jednym ze współautorów zwycięstwa Donalda Trumpa. Kiedy w marcu 2016 r. dołączył do jego zespołu, wcale nie było pewne, kto zdobędzie prezydencką nominację. Czterdziestoletnie doświadczenie Manaforta – który jako polityczny konsultant pracował przy republikańskich kampaniach od 1976 r., gdy o Białym Dom walczył Gerald Ford – sprawiło, że kampania Trumpa stała się bardziej uprządkowana. Zamiast improwizowanych wystąpień miliarder częściej korzystał z wcześniej napisanych przemów, które wygłaszał za pomocą telepromptera. Nowa strategia szybko przyniosła efekty, a Manafort błyskawicznie awansował na szefa kampanii Donalda Trumpa.

Długoletni działacz Partii Republikańskiej stał się też jednym z najbardziej zaufanych ludzi przyszłego prezydenta.

Wcześniej Manafort pracował m.in. dla Ronalda Reagana, George’a H.W. Busha i Boba Dole’a. Z jego usług chętnie korzystali też zagraniczni przywódcy, tacy jak dyktatorski prezydent Filipin Ferdinand Marcos, przywódca angolskich rebeliantów Jonas Savimbi czy też dyktator Demokratycznej Republiki Konga Mobutu Sese Seko.

Od 2006 do 2015 r. Paul Manafort wspierał również byłego prezydenta Ukrainy Wiktora Janukowycza. Według dziennika „The New York Times” za pomoc Janukowyczowi miał zainkasować co najmniej 12 mln dol., a zdaniem amerykańskiej prokuratury – aż 60 mln dol.

Kontrowersje wzbudzały też kontakty Manaforta z rosyjskimi oligarchami, a także z osobami podejrzanymi o współpracę z rosyjskimi służbami specjalnymi. Pod jego wpływem Partia Republikańska złagodziła stosunek wobec Moskwy, a kandydat republikańców na prezydenta, podczas wystąpienia dotyczącego planów polityki zagranicznej, bardzo ciepło wypowiadał się o Rosji. Ze sztabu Trumpa Manafort odszedł w sierpniu 2016 r., gdy wyszło na jaw, że dla Janukowycza pracował aż do jego ucieczki do Rosji, tuż przed aneksją Krymu.

NAJWIĘKSZY KOSZMAR TRUMPA

Gdy w 2017 r. FBI weszło do domu Manaforta, agenci wynieśli z niego notatki ze spotkania z rosyjską prawniczką Natalią

Weselnicką, do którego doszło w Nowym Jorku w roku 2016. Rosjanka proponowała wówczas doradcy Trumpa, jego zięciowi Jaredowi Kushnerowi oraz synowi Donaldowi Trumpowi juniorowi zebrane przez Rosjan haki na kandydatkę demokratów Hillary Clinton.

Kiedy Manafort usłyszał pierwsze prokuratorskie zarzuty, sąd – pod warunkiem wpłacenia kaucji w wysokości 10 mln dol. – zgodził się na areszt domowy. W połowie czerwca Manafort trafił jednak za kratki – okazało się bowiem, że próbował wpływać na zeznania świadków.

W sierpniu sąd uznał go za winnego ośmiu zarzutów dotyczących przestępstw podatkowych oraz finansowych. Donald Trump chwalił go wówczas za to, że nie poszedł na współpracę z prokuraturą. W połowie września, na kilkanaście dni przed rozpoczęciem swojego drugiego procesu, lobbysta i polityk uznał jednak, że nie będzie czekał na kolejny werdykt, i grzecznie przyznał się do zarzutu udziału w spisku przeciw Stanom Zjednoczonym oraz spisku mającego utrudnić działanie wymiaru sprawiedliwości.

W zamian za przyznanie się do winy prokuratorzy odstąpili od pozostałych pięciu zarzutów, w tym prania brudnych pieniędzy. Manafort może więc liczyć na łagodniejszy wyrok – do 10 lat w więzieniu federalnym – ale najpierw musiał wyśpić wszystko, co wie.

Kto pogrążył Manaforta? Kolejna legenda Ameryki: Robert Swan Mueller III. 74-letni amerykański prawnik, który przeszedł do historii jako jeden z najdłużej urzędujących szefów Federalnego Biura Śledczego. Na czele FBI stał od 2001 aż do 2013 r., czyli najdłużej od rządów słynnego J. Edgara Hoovera. Wcześniej absolwent prestiżowego Uniwersytetu Princeton dostał medal za odwagę podczas walk w czasie wojny w Wietnamie.

W maju ubiegłego roku rozpoczął zań misję, która sprawiła, że zaczął mówić o nim cały świat. Departament Sprawiedliwości mianował go na specjalnego prokuratora do sprawy śledztwa w sprawie zarzutów o rosyjską ingerencję w amerykańskie wybory prezydenckie 2016 r.

I stał się największym koszmarem Donalda Trumpa.

UMOCZONY KWAŚNIEWSKI?

W raporcie specprokuratora Muellera, który ujrzał światło dzienne 14 września, pojawił się też polski wątek. Kilkakrotnie w dokumencie pojawia się z imienia, nazwiska i funkcji Aleksander Kwaśniewski. Były prezydent Polski miał być członkiem współpracującej z Manafortem „grupy Habsburg”, która – według amerykańskiej prokuratury – składała się z byłych przywódców krajów europejskich. Poza Kwaśniewskim mieli do niej należeć również były kanclerz Austrii Alfred Gusenbauer oraz były premier Włoch, a także dawny przewodniczący Komisji Europejskiej Romano Prodi. Według aktu oskarżenia „grupa Habsburg” od 2011 r. miała lobbować na rzecz Ukrainy. Jej członkowie mieli sprawiać wrażenie, że nie ma „żadnych widocznych związków” między nimi a rządem Wiktora Janukowycza, „ale w rzeczywistości byli to po prostu opłacani lobbyści”. W latach 2012 i 2013 premier Ukrainy zabiegał o zawarcie umowy stowarzyszeniowej z Unią Europejską. Zadania nie ułatwiało mu jednak to, że więził swoich konkurentów politycznych z piękną Julią Tymoszenko na czele. Ostatecznie część więźniów uwolniono, a UE była gotowa do podpisania układu, Janukowycz odrzucił go jednak, wybierając zbliżenie ukraińsko-rosyjskie. To zaś doprowadziło do masowych protestów, obalenia szefa rządu w Kijowie, a w następstwie do zajęcia Krymu przez rosyjskich okupantów oraz rozpoczęcia wojny domowej na wscho-

dzie Ukrainy. Według amerykańskich prokuratorów w zamian za lobbując na rzecz Ukrainy politycy mieli otrzymywać tajne przelewy. W sumie między rokiem 2012 a krwawymi protestami podczas Euromajdanu w 2014 r. Manafort miał wydać na wynagrodzenia dla członków grupy ponad 2 mln euro, czyli – licząc po bieżącym kursie – równowartość 8,6 mln zł.

Sam Kwaśniewski po ogłoszeniu raportu Muellera przyznał w mediach, że spotykał się z Paulem Manafortem, doradcą Wiktora Janukowycza. W rozmowie z Radiem RMF FM utrzymywał jednak, że żadnych pieniędzy od Manaforty ani od Ukraińców nie otrzymywał. – Uczestniczyłem w różnych konferencjach międzynarodowych jako zapraszany spiker i tam oczywiście wypłacano honoraria – tłumaczył były prezydent. Podobnie w lutym tego roku – gdy w Waszyngtonie

„Manafort powiedział swoim lobbyistom, aby podkreślali w rozmowach z senatorami, że był polski prezydent, który opowiada się przeciwko rezolucji, został niedawno wyznaczony jako reprezentant przewodniczącego Parlamentu Europejskiego”. Jeśli Kwaśniewski rzeczywiście nie wiedział, że jest w ten sposób wykorzystywany, to musi się więc teraz czuć jak ostatni frajer. Zwłaszcza że Manafort przyznał, iż organizował wizytę Kwaśniewskiego w USA, i umieścił jego artykuł w „istotnej publikacji w Waszyngtonie”.

BEZ PRAWA ŁASKI

Donald Trump konsekwentnie śledztwo Muellera nazywa „polowaniem na czarownicę”. Rozważał nawet ułaskawienie Manaforty. Teraz na taki ruch jest już jednak za późno. Przyciśnięty do muru musiał już powiedzieć wszystko, co wie – inaczej prokuratura nie poszłaby na żaden układ. Prokurator tak czy owak może więc zmusić byłego doradcę prezydenta do składania zeznań przed sądem, a jeśli dawałby inne odpowiedzi niż podczas śledztwa, to mógłby usłyszeć zarzut krzywoprzysięstwa.

Uгода Manaforty może być niebezpieczna nie tylko ze względu na to, co powie on sam, lecz także dlatego, że jest to już drugi – po osobistym prawniku Donalda Trumpa Michaelu Cohenie, który opowiadał śledczym o przestępstwach finansowych zleconych przez swego szefa – zaufany człowiek prezydenta, który zdecydował się pójść na współpracę z prokuraturą.

Kolejni oskarżeni mogą więc dojść do wniosku, że skoro prawda tak czy owak wyjdzie na jaw, to lepiej nie zwlekać i zgodzić się na współpracę, jeśli prokuratura jeszcze oferuje jakąś ugodę. To zaś może wpłynąć na wynik listopadowych wyborów do Izby Reprezentantów i senatu. A stawka jest wysoka: zwycięstwo demokratów w którejkolwiek z izb otworzy im drogę do wszczęcia procedury impeachmentu przeciwko Donaldowi Trumpowi. Partia Demokratyczna do przejęcia kontroli nad izbą potrzebuje 24 dodatkowych miejsc. Wszystko zależy więc od frekwencji po obu stronach barykady. We wrześniu prezydent powiedział zatem wprost swoim sympatykom, że jeśli dojdzie do odwołania go z urzędu, to będzie to ich вина. – To może się zdarzyć tylko, jeśli nie pójdziecie zagłosować – ostrzegł Trump.

Działania prokuratury mogą wpłynąć na wynik listopadowych wyborów do Izby Reprezentantów i senatu

jawnie spekulowano już o nazwiskach europejskich polityków zamieszanych w amerykańską aferę – tłumaczył się też Romano Prodi. Były włoski premier deklarował, że pieniądze co prawda dostawał, ale – co podkreślał – jego zdaniem nie pochodziły one od Manaforty. Były kanclerz Alfred Gusenbauer zapewniał z kolei, że nigdy nie dostawał pieniędzy od prezydenta Janukowycza.

W raporcie Muellera czytamy jednak, że chodziło o coś więcej niż tylko konferencje. Manafort miał wyciągać od Kwaśniewskiego wewnętrzne informacje dotyczące działań podejmowanych przez Unię Europejską wobec Ukrainy. Według dokumentu amerykańskiego prokuratora, gdy jesienią 2012 r. amerykański senat rozważał przyjęcie przełomowej rezolucji w sprawie traktowania przez Janukowycza byłej premier Tymoszenko, Manafort robił wszystko, aby ją utrudnić lub chociaż opóźnić. Z raportu wynika, że w ramach szeroko zakrojonej kampanii członkowie „grupy Habsburg” mieli rozmawiać z senatorami, aby doprowadzić do wstrzymania rezolucji.



Tomasz Wróblewski
z Kanady

Kanada przeszła długą drogę od legalizacji małżeństw jedнопłciowych w 2005 r. do delegalizacji chrześcijańskich uczelni. Kanadyjska rewolucja obyczajowa o lata świetlne wyprzedza nawet progresywną Europę Zachodnią

W swojej wojnie o świat wolny od obciążeń biologicznych i tradycyjnego podziału ról w społeczeństwie na te odgrywane przez kobiety i te będące domeną mężczyzn, na chłopców i dziewczynki Kanada pokonała sztywny podział na męskie i damskie toalety, dając prawo wyboru transwestytom i coraz popularniejszej płci niezdecydowanej/-a. Poradziła sobie ze słownikiem i przestarzałe terminy, takie jak „mama” i „tata”, udało się zastąpić numerycznymi przypisami – rodzic jeden, dwa, a jeśli trzeba, to i trzy czy cztery.

NO I CO, ŻE NAJLEPSZA?

Symbolem cywilizacyjnych zwycięstw jest bogata ikonografia miejska LGBT. W najbardziej progresywnych miastach, takich jak Vancouver, przyjezdnych z mniej nowoczesnych państw uderza kolorystyka wystaw sklepowych, kwietników, pasów dla przechodniów, ławek w parkach, mostków, kładek czy poręcz w miejscach publicznych – pięknie odmalowanych na tęczowo. Otwartości i symbolom solidarności ze środowiskami LGBT coraz częściej jednak towarzyszy brak tolerancji dla tych, którzy wyznają tradycyjne, „wsteczne” wartości rodzinne i bez zażenowania chcą bronić przywiązania do wiary, a w szczególności chrześcijańskich obrzędów.

I choć pewnie nikogo nie powinna dziwić czerwcową decyzją kanadyjskie-



go Sądu Najwyższego, odbierająca akredytację chrześcijańskiej uczelni prawnej przy Trinity Western University, to jednak przekroczona została kolejna granica w drodze do w pełni zsekularyzowanego i bezpłciowego społeczeństwa. Uczelnia straciła akredytację, bo w przekonaniu sądu credo instytucji i jej moralne przesłanie na temat małżeństwa oraz wychowania w duchu wartości chrześcijańskich mogłyby urazić studentów innej orientacji płciowej.

Co ciekawe, w uzasadnieniu ani Sąd Najwyższego, ani ministerstwa nauki nie znalazły się żadne krytyczne uwagi co do samego programu nauczania.

Przeciwnie, uniwersytet od lat zdobywał pochwały i nagrody dla najlepszych uczelni w Kanadzie. Dowodem tego niech będą miliony dolarów co roku przekazywane przez prywatne osoby i firmy na potrzeby dydaktyczne, w tym na stypendia dla mniej zamożnych studentów. Trinity od lat plasuje się w czołówce najlepszych uczelni w kraju. W rankingach sporządzonych na podstawie ocen samych studentów i absolwentów uczelnia uważana jest za jedno z najlepszych miejsc do studiowania.

SZKOŁA BIGOTÓW

Wyraziste poglądy kierownictwa fundacji zarządzającej uczelnią wielokrotnie były w przeszłości obiektem krytyki liberalnych środowisk w Kanadzie. Sprawa już wcześniej trafiała przed oblicze sądów. Niemniej w 2001 r. Sąd Najwyższy orzekł, że samo przesłanie nie dyskwalifi-



Tęczowa dyskryminacja



FOT. MARC BRUNELLE/ALAMY STOCK PHOTO/BEW

fikuje uniwersytetu ani w żaden sposób nie ogranicza nikogo z innymi poglądami czy preferencjami seksualnymi.

Problem pojawił się dopiero w 2012 r., kiedy Trinity otworzyła wydział prawny – pierwszą prywatną uczelnię prawną w Kanadzie, która na każdym kroku podkreślała wartości chrześcijańskie w swoim nauczaniu. Od początku szkoła miała pod górę, mimo ogromnej liczby chętnych do podjęcia tam studiów. Trzy stowarzyszenia prawnicze zapowiedziały, że nie będą uznawać dyplomów z Trinity. Co ciekawe, wszystkie organizacje rządowe i dydaktyczne, po przeanalizowaniu programu nauczania i składu kadry naukowej, uznały, że Trinity spełnia wymogi kanadyjskich uczelni prawnych i zasługuje na rządową akredytację.

Izby prawnicze nie dały za wygraną. W całym kraju organizowano publiczne

debaty na temat wartości i tolerancji, które powinny cechować współczesnych prawników. Dość burzliwe spotkania zwykle kończyły się oskarżeniami pod adresem kadry naukowej Trinity i samej uczelni „kształcącej bigotów”. Przyszłych studentów ostrzegano, że żadna izba prawnicza nie przyjmie ich w swój poczet z takim wykształceniem.

Sprawa trafiła do sądu i w listopadzie 2017 r. jedna z najstarszych organizacji prawnych w Kanadzie (The Law Society of Upper Canada) argumentowała w Sądzie Najwyższym w Ottawie, że akredytując jakąkolwiek uczelnię głoszącą religijne poglądy, rząd naruszy kanadyjską Kartę praw podstawowych. Rząd, według prawników, udzielając akredytacji, utożsamiałby się z „nietolerancyjną” polityką uczelni, co byłoby sprzeczne z zapisami o tolerancji i równych prawach wszystkich obywateli.

Przy czym warto dodać, że Trinity nigdy nie dyskryminowała, nie zamykała drzwi przed wykładowcami ani studentami, niezależnie od ich preferencji seksualnych, tak długo, jak nie kwestionowali ani prawa innych do wyznawania wartości chrześcijańskich. Po prostu uczelnia w oficjalnych dokumentach i przekazach okolicznościowych zwracała się do całego środowiska akademickiego o respektowanie i uszanowanie tradycji chrześcijańskich w życiu.

Izby adwokatów uznawały to za niewystarczające tłumaczenie i ostrzegły rząd, że kancelarie prawne będą zmuszone bojkotować rządowy system akredytacji i stworzyć własny. Skoro państwo nie przestrzega konstytucji ani nie chroni wolności obywatelskich, to prawnicy będą zmuszeni wziąć to we własne ręce. Brzmi znajomo?

LEPSZA I GORSZA DYSKRYMINACJA

Ostatecznie 15 czerwca Sąd Najwyższy wydał wyrok, przyznając rację środowiskom LGBT. Uznał, że normy i wartości przyświecające uczelni mogą godzić w godność studentów i pracowników naukowych należących do mniejszości seksualnych. Co najciekawsze, sąd uznał też, że naruszenie wolności religijnej i wolności słowa na Trinity, polegające na odmowie akredytacji z uwagi na przekonania religijne, będzie mniej szkodliwe dla środowisk chrześcijańskich niż potencjalne straty moralne dla środowisk LGBT. Sąd uznał naruszenie wolności religijnej za mniejsze zło od naruszenia praw mniejszości seksualnych. To potencjalnie historyczna decyzja, przed którą uczelnia ostatecznie się ugięła.

W sierpniu władze Trinity, stojąc przed widmem bankructwa, ponieważ inne wydziały również mogły wkrótce utracić akredytację, wycofały się z dotychczasowej praktyki apelowania o uszanowanie wartości chrześcijańskich w oficjalnych komunikatach czy ich nauczania. Dyrekcja zapewnia, że dalej pozostaje wierna swoim ideałom, ale nie będzie nikomu narzucać się ze swoimi naukami, jeżeli ten ktoś nie wyrazi takiej zgody.

Na razie ławeczki wielokolorowej miłości nie wyrosły jeszcze w Trinity Park na uczelni, ale to chyba tylko przecenienie, bo przecież i to mogłoby być odebrane jako objaw dyskryminacji.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



fundusz Eton Park Capital. Amerykanie rejestrują w Holandii fundusz Lurena Investments BV. I to on kupił akcje Ruchu nie tylko od państwa, lecz także od innych akcjonariuszy. Ruch został wycofany z giełdy. Fundusz Lurena wydał 630 mln zł.

Chalupec zostaje blisko. Icentis doradza funduszowi przy biznesie. Trudno uwierzyć, by menedżer z takim doświadczeniem nie wiedział, w co za jego radami Amerykanie pakują pieniądze – a jednak potem opowiada mediom, że nie przewidywano, jak zaniedbana jest ta spółka.

Początek jest jednak niezły. Już pierwszy rok udało się zakończyć na wielomilionowym plusie. Czy od razu po sprywatyzowaniu firma zaczęła nagle lepiej sprzedawać klientom gazety i inne rzeczy w kioskach? Nie stąd brał się finansowy sukces. Sporo przez lata musiała przynieść restrukturyzacja – zwłaszcza zatrudnienia. W firmie z ok. 3,6 tys. pracowników zostało ich kilkuset. Ruch miał też jednak wiele nieruchomości. Ich wyprzedaż rozpoczęła się właśnie w 2011 r. – i tylko w tym roku do spółki wpłynęło dzięki temu ponad 180 mln zł. Kolejne aktywa – choć nie gotówka – pojawiły się dzięki wyprowadzeniu do odrębnego podmiotu znaku towarowego. Nagle zyskał na wartości setki milionów złotych. Szacuje się, że od 2010 r. Ruch z wyprzedaży nieruchomości pozyskał blisko 400 mln zł.

Pozornie wszystko było nieźle. Firma brała też pożyczki. Na co poszły zgromadzone pieniądze? Między innymi na... wykup obligacji funduszu, który kupił Ruch. Do Lureny popłynęło ponad 200 mln zł. Zakup tych obligacji nadzorował Chalupec. W ubiegłym roku Lurena była Ruchowi winna blisko 240 mln zł. A sam Ruch zakończył rok potężną, 30-milionową stratą.

We wrześniu tego roku wydawcy zaczęli ogłaszać wycofywanie swoich tytułów ze sprzedaży w sieci dystrybucyjnej Ruchu – a przecież dla coraz trudniej sprzedającej się prasy papierowej, zwłaszcza dzienników, utrata ważnego kanału dotarcia do czytelników to kolejne kłopoty. Jeśli się na to decydują widać, to jak mocno zaczęło im ciążyć to, że w zasadzie w pewnym stopniu kredytowali działalność Ruchu, i jak przestali wierzyć w to, że te pieniądze będą odzyskiwać?

Najpierw Agora SA, wydawca „Gazety Wyborczej”, poinformowała o rozwiąza-

Midas i tombak



Łukasz Zboralski

Jak to się stało, że Igor Chalupec, menedżerskie złote dziecko III RP, zanotował spektakularną biznesową porażkę z Ruchem?

Przez 100 lat swojego istnienia – jubileusz przypada właśnie w tym roku – Ruch tak mocno wpisał się w świadomość konsumentów, że wyjście „do kiosku” po prasę czy papierosy potocznie rozumiane jest jako wizyta w kiosku Ruchu. Tak silną markę

miał dawniej jeszcze CPN – a dziś Orlen – i zdarzają się jeszcze kierowcy, którzy mówią, że jadą na „cepeen”. W obu tych firmach menedżerski epizod odegrał Igor Chalupec.

RUCH I ROZRUCH

Rok 2010. Skarb Państwa decyduje się sprzedać Ruch SA – od 2007 r. spółkę giełdową, która poprzedni rok zakończyła gigantyczną stratą przekraczającą 70 mln zł. Do gry wkracza Igor Chalupec, były prezes Orlenu, który po usunięciu z koncernu po objęciu władzy przez pierwszy rząd PiS wraz z innymi menedżerami z byłej firmy paliwowej założył firmę doradczą Icentis Corporate Solutions. To on miał do zakupu Ruchu namawiać amerykański

FOT. MAREK WIŚNIEWSKI/POLSKA BIZNES/FOCUS

niu długoterminowych umów z Ruchem SA. Powód? „Milionowe zaległości w płatnościach wobec Agory”. Dwa dni później podobną decyzję podjęła Grupa ZPR Media, która wydaje m.in. „Super Express” i „Muratora”.

NA KRAWĘDZI ZA MILIONY

Chalupec już kilka lat temu z funkcji doradczej przesunął się do bezpośredniego sterowania spółką. To on jest prezesem Ruchu, który dziś jest w sytuacji ekstremalnie trudnej. W ubiegłym roku przymierzał się do następnego ruchu – informował UOKiK, że poprzez cypryjską spółkę chciałby dokonać menedżerskiego wykupu kolportażowego biznesu od Amerykanów.

Duże kontrowersje wzbudziło ujawnienie, że gdy firma borykała się coraz mocniej z problemami finansowymi, gdy wydawcy prasy wciąż czekali na milionowe zapłaty – firma doradczą należącą do prezesa Ruchu Igora Chalupca zarabia miliony. Jak ujawnił „Dziennik Gazeta Prawna”, w sumie w latach 2010–2016 firma prezesa Ruchu za prace dla spółki dostała 34,5 mln zł.

To niejedyny kontrowersje. Sam Chalupec na posadzie prezesa w tak trudnej dla firmy sytuacji pobierał co miesiąc pensję w wysokości 350 tys. zł.

Co będzie dalej z Ruchem – nie wiadomo. Od 7 września toczy się w sądzie przyspieszone postępowanie układowe w celu zawarcia układu z największymi wydawcami (Grupa ZPR Media wniosowała pod koniec sierpnia, by ogłosić upadłość Ruchu). Ruch ma jeszcze tysiące kiosków w kraju w świetnych lokalizacjach. A Chalupec od jakiegoś czasu stara się wejść na rozwijający się rynek usług związanych z dystrybucją paczek – paczki od kurierów można zamawiać do kiosków i tam odbierać. Na razie usługa nie okazała się złotym pomysłem, ale Chalupcowi trzeba oddać to, że potrafi myśleć w długiej perspektywie – udowodnił to w Orlenie.

BIZNESMEN Z URODZENIA

Rok 2004. Kiedy we wrześniu Igor Chalupec zostaje wybrany na prezesa PKN Orlen (zaproponowali go zagraniczni head hunterzy – pokonać miał 12 innych kandydatów), ma już bogate menedżerskie CV.

Biznes wciągnął go od razu po ukończeniu studiów. A studiował handel zagraniczny w Szkole Głównej Planowania i Statystyki – choć w oficjalnych notkach woli podawać późniejszą nazwę uczelni, czyli Szkołę Główną Handlową. Kierunek studiów nie był chyba przypadkowy – matka Chalupca przez wiele lat była szefową PRL-owskiej Centrali Handlu Zagranicznego Budownictwa Budimex. W 2000 r. Budimex został sprywatyzowany – pakiet kontrolny wykupili Hiszpanie – ale związki rodzinne z koncernem nie zniknęły. Igor Chalupec jest dziś członkiem rady nadzorczej tego koncernu, który jest jedną z firm wygrywających najwięcej kontraktów na budowę polskich dróg (zasiada jeszcze w kilku radach nadzorczych, m.in. PZU Życie i Banku Handlowego w Warszawie).

Z rodzinnych ciekawostek wspomnieć można jeszcze dalekie pokrewieństwo z Polą Negri, która była córką brata dziadka Chalupca. Sam Igor, zanim został biznesmenem, też miał zresztą krótką przygodę z kinem – zagrał w nakręconym pod koniec lat 70. ubiegłego wieku popularnym później serialu telewizyjnym „Dziewczyna i chłopak” ze

REKLAMA

PRENUMERATA

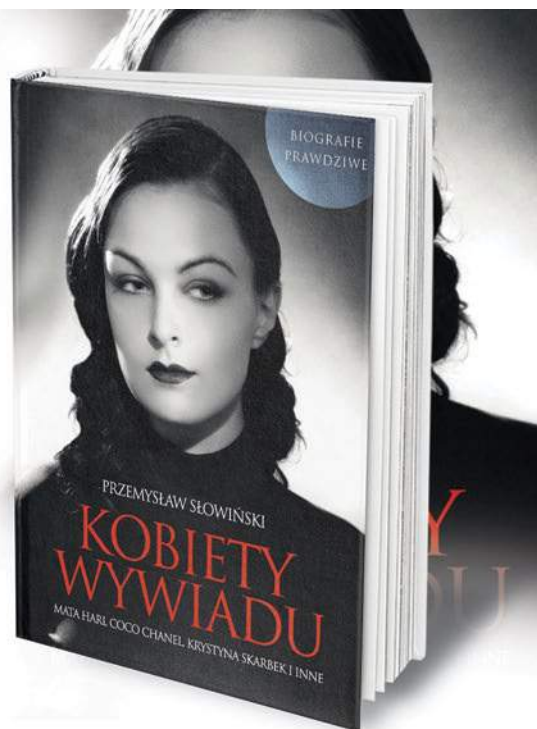
ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY”
+ KSIĄŻKA

PRZEMYSŁAWA SŁOWIŃSKIEGO
„KOBIEТЫ WYWIADU”

Cena: 230 zł

Oszczędność: 174 zł



JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPLATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl



Ruch tak mocno wpisał się w świadomość Polaków, że wyjście „do kiosku” po prasę potocznie rozumiane jest jako wizyta w kiosku

Ruchu FOT. WŁODZIMIERZ WASYLUK/EAST NEWS

■ scenariuszem nawiązującym do książki Hanny Ożogowskiej.

Jeszcze na studiach (1989–1990) pracował jako konsultant w spółce Prolexport oraz (od 1990 r.) w spółce Proexim. W tym samym roku, w którym opuścił mury SGPiS – rok później ukończył jeszcze prawo na UW – zatrudnił go Bank Pekao. W ręce 24-latkę oddano zadanie stworzenia pierwszego biura maklerskiego. Chalupec sam zrobił licencję maklera nr 45 w Polsce. Wielokrotnie w wywiadach wspominał potem, że dwa razy podchodził do egzaminu i że w praktyce nigdy nie pracował jako makler.

Zaledwie pięć lat po rozpoczęciu pracy w banku, jeszcze przed trzydziestką, Chalupec wchodzi do zarządu Pekao. Cztery lata później, w 2000 r., jest już wiceprezesem banku.

FLIRT Z POLITYKĄ

W roku 2003, gdy po dymisji rządu Leszka Millera SLD-UP utworzyła rząd Marka Belki, Igor Chalupec porzucił wiceprezeturę banku i wskoczył do polityki jako wiceminister finansów. W resorcie zajmował się m.in. negocjowaniem spraw związanych z akcesją polski do Unii Europejskiej. Odpowiada też za rozwój polskiego rynku finansowego. W pracach nad jednym z dokumentów udział bierze razem z ówczesnym szefem polskiej giełdy – Jackiem Sochą. Ta znajomość procentuje już chwilę później, bo w 2004 r. Chalupec zamienia posadę na mniej typową dla finansisty. Socha, który został u Belki ministrem skarbu, wybiera właśnie bankowca i maklera na szefa państwowego giganta paliwowego.

Trafia tam krótko po wielkiej aferze wokół PKN Orlen, które kilka lat później badała sejmowa komisja śledcza. W skró-

cie – chodziło o jednodniowe zatrzymanie prezesa Orlenu Andrzeja Modrzejewskiego, po którym stracił on stanowisko. Były minister skarbu Wiesław Kaczmarek powiedział później „Gazecie Wyborczej”, że była to zaplanowana operacja, w której chodziło nie tylko o wykluczenie Modrzejewskiego, lecz także o zablokowanie kontraktu na dostawy ropy. W sprawę zamieszani byli nie tylko politycy lewicy będący wówczas u władzy, lecz także służby specjalne – Urząd Ochrony Państwa.

W Orleniu Chalupec przeprowadza restrukturyzację. To za jego czasów polski koncert przejmują dwie wielkie rafinerie – czeski Unipetrol i litewskie Możejki. Polska firma zaczyna dominować w tej części Europy. Zakup Możejek – który wspierał m.in. ówczesny prezydent Lech Kaczyński – jest potem latami krytykowany. Bariery tej inwestycji tworzą Rosjanie, Litwini nie pomagają i np. demontują tory, którymi do Możejek mogły dojeżdżać pociągi.

Za czasów PO rząd rozglądał się nawet za kupcem na litewską rafinerię. Chalupec wciąż publicznie tej decyzji bronił. I wskazywał, że krytyka tego projektu polega głównie na tym, iż poprzez poparcie Lecha Kaczyńskiego zaczął być postrzegany jako projekt PiS.

„Transakcja zakupu litewskiej rafinerii przez PKN Orlen miała charakter biznesowy i w takich kategoriach ją w końcu rozpatrywano. Nie znaczy to, że nie szukaliśmy od początku poparcia dla naszego projektu wśród polityków. Było to niezbędne z uwagi na skomplikowane międzynarodowe polityczne uwarunkowania tej transakcji – pisał Chalupec w 2014 r. do »Forbesa« rozżalony prasową krytyką. – Choć pomagali nam politycy i z lewej, i z prawej strony sceny politycznej, to z per-

spektywy czasu oceniam jednak, że nie doceniliśmy ryzyka obciążenia tej inwestycji niepotrzebnym balastem politycznym. Szczególnie zaangażowanie prezydenta Lecha Kaczyńskiego przypisało ją jednej z opcji, czyli PiS. To spowodowało, że – wraz z postępującym zantagonizowaniem polskiej sceny politycznej – zakup Możejek stał się trefny niezależnie od rzeczywistej sytuacji rafinerii”.

KWESTIA ZAUFANIA

Dzisiaj nie ma wątpliwości, że długoterminowo decyzja była korzystna. W 2016 r. Rafineria Możejki była już na dużym plusie – przyniosła ok. 900 mln zł zysku. Ubiegły rok był trzecim z kolei, gdy litewska inwestycja okazała się zyskowna. W dodatku polski rząd w końcu nacisnął Litwinów – tamtejsze koleje musiały zapłacić 28 mln euro kary za demontaż torów. W sierpniu tego roku litewska spółka kolejowa rozpoczęła odbudowę torów do Możejek.

Pomysł zakupu Możejek nie uratował Chalupeca przed odwołaniem z Orlenu. O jego dymisji mówiono od wyborów w 2005 r., gdy po raz pierwszy rządy zaczął PiS (wówczas jeszcze w koalicji z Samoobroną i LPR), ale wyczekano do finalizacji transakcji z Litwinami, która nastąpiła w grudniu 2006 r. Pod koniec roku nowy rząd wymienił radę nadzorczą i mogło już bez problemów zmienić zarząd. Na początku nowego roku Igor Chalupec musiał pożegnać się z prezesurą. Na osłodę została mu odprawa w wysokości 12-miesięcznej pensji wynosząca w sumie ok. 1,5 mln zł.

Dlaczego właściwie musiał odejść, skoro kondycja finansowa koncernu była niezła i udało się planowane przejście na Litwie? Uzasadnienia polityków były dość enigmatyczne. Prezes PiS Jarosław Kaczyński dał wówczas do zrozumienia, że przeważała kwestia związana z zapewnieniem bezpieczeństwa energetycznego państwa. Sugerował, że następca Chalupeca – Piotr Kownacki, wiceprezes Orlenu i wieloletni współpracownik Lecha Kaczyńskiego jeszcze z NIK – ma doświadczenie, które jest lepsze w zabezpieczeniu interesów państwa.

Igor Chalupec po Orleniu rozpoczął własny biznes konsultingowy i przygodę z Ruchem. Tym razem – jak się wydaje – całkowicie na własną rękę, bez połączeń biznesowych i politycznych. Na razie zanoszą się na to, że zmierza do wielkiej przegranej.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



NOWY
SERIAL HISTORYCZNY

ZWYCIĘZCY

OD 24
WRZEŚNIA
2018

CZTERNASTY ODCINEK SERII

Imperium husarii.

I RP była najsilniejszym państwem zbudowanym przez Polaków w całej ponad tysiącletniej historii. Wyjaśniamy, jak udało się je zbudować i czemu 'zawdzięczaliśmy sukces.

ZWYCIĘZCY.DORZECZY.PL | SUPERHISTORIA.PL/ZWYCIĘZCY

PARTNER PROGRAMÓW HISTORYCZNYCH
„ZWYCIĘZCY”



Polska Grupa
Energetyczna

Zachodniopomorska gmina Ostrowie, której zadłużenie według MSWiA przekroczyło 437 proc. dochodów, zostanie zlikwidowana 1 stycznia 2019 r. Mimo to – szczególnie w roku wyborów samorządowych – nie wydaje się, by lokalni władarze zastopowali wydatki swoich gmin. Przecież chcą wygrać kolejne wybory.

Firmy realizujące samorządowe inwestycje w tym roku znacznie podniosły swoje ceny. „Koniec kadencji powoduje, że władarze wszystkich miast i gmin starają się zrealizować jak najwięcej inwestycji, często chcąc nadgonić stracony wcześniej czas. Zapanowało więc na rynku cenowe szaleństwo. Firmy budowlano-remonto-

jątkowo szeroko otworzył kasę gminy od początku kadencji. Otwiera nowe obiekty kultury, odnawia parki, stawia kolejne pomniki, fontanny i buduje place zabaw. Najnowszymi pomysłami są budowa ścieżek rowerowych, remont stadionu i kilku innych obiektów w mieście, co po części ma zostać sfinansowane z dotacji UE.

Tymczasem kłopotem są nie tylko pieniądze na nowe inwestycje, lecz także koszty późniejszego ich utrzymania. Utrzymanie wyremontowanej Kamienicy Konarzewskich w Czeladzi rocznie będzie kosztowało miejski budżet 398 900 zł, Cechowni – 805 619 zł, Warsztatów Elektrycznych – 210 900 zł, a centrum przesiadkowym – 276 000 zł.

z innych miast. Poznań kwotą ok. 5 mln zł rocznie dofinansowuje Interaktywne Centrum Historii Ostrowa Tumskiego. Z kolei dotacje z budżetu Krakowa dla Muzeum Sztuki Współczesnej od jego uruchomienia w 2011 r. do końca 2017 r. wyniosły prawie 48 mln zł. Zygmunt Frankiewicz, rządzący od 1993 r. prezydent Gliwic i prezes Związku Miast Polskich, takie obiekty nazywa „skarbankami”, które będą wymagały utrzymywania „i to po wsze czasy”.

Czasem miejskie inwestycje są zbyt drogie i użytkowane w niewielkim stopniu. Kielczanom władze zafundowały wiaty przystankowe po 400 tys. zł. Lotnisko w Radomiu kosztowało co najmniej 120 mln zł i niedawno ogłosiło upadłość,

Druga epoka Gierka



Tomasz
Cukiernik

Aby wygrać kolejne wybory, samorządowcy zadłużają mieszkańców, a ci się z tego cieszą

we oraz producenci materiałów budowlanych i drogowych, wiedząc, jak gminnym urzędnikom zależy na realizacji zapowiadanych inwestycji, bezlitośnie wykorzystują tę sytuację, windując ceny do niebotycznych rozmiarów. Tak jest i u nas, od jakiegoś czasu niemal w każdym kolejnym przetargu ceny zaproponowane przez firmy, na realizację zaplanowanych zadań, przekraczają kosztorys inwestorski czasem więcej niż o 50 proc.” – ubolewa na swoim profilu na FB Zbigniew Szaleniec, burmistrz Czeladzi (woj. śląskie). Sam wy-

– To nie są żadne inwestycje. To jest konsumpcja, która na dodatek nie jest jednorazowa w momencie budowania, ale potem jest konsumpcją przez lata dlatego, że przez lata trzeba będzie do tego dopłacać – komentuje przedsiębiorca i czeladzki radny Stanisław Pisarek.

Włodarz Czeladzi nie jest wyjątkiem. Podobną politykę prowadzą samorządowcy

a pochłonie kolejne setki milionów. Absolutnym szczytem gigantomanii jest dworzec kolejowy Łódź Fabryczna, który kosztował 1,75 mld zł, a jego przestrzeń zioną pustkami.

Gminą z drugim po Ostrowicach największym zadłużeniem (około



300 proc. dochodów) jest nadmorski Rewal.

PODSTAWĄ BAZA EKONOMICZNA

– Tak jak gminę Ostrowice zabiły przeszacowanie własnych sił i konieczność zwrotu dotacji, tak gminę Rewal zgubiły megalomania i sny o potęgę – mówi Jacek Jędrzejko, były przedsiębiorca z Rewala. Na toaletę publiczną wydano 1,3 mln zł, a wykorzystywana jest przez dwa miesiące w roku. Potworne pieniądze poszły na tzw. projekty morskie, które nigdy nie zostały zrealizowane, bo pociągnęłyby na dno gminę dziesięciokrotnie większą! Tylko po co były zamawiane? – Każda budowla, nawet ta, na którą udało się zdobyć pieniądze, musiała być z przytupem. Centrum Ratownictwa (dawniej remiza) to budynek, który nie mógł być prostą funkcjonalną konstrukcją, ale musiał być drogim „dziełem sztuki”. Właśnie przez takie kwiatki mieszkańcy tej małej gminy do dziś płacą najwyższe w Polsce podatki od nieruchomości – opowiada Jędrzejko. – To problem głównie ludzki. Megalomania, ogromne wydatki na architektów, na projekty. Wszystko po to, żeby pokazać swoją wielkość i dzięki temu zdobyć oraz utrzymać władzę. Gdyby nie było dofinansowania unijnego, byłyby kredyty. Z tym że

kredyty można było zaciągnąć jedynie na połowę inwestycji. Można więc powiedzieć, że łatwe pieniądze z dofinanso-

wania odpowiadają za połowę problemów.

Jednak najważniejszą są mimo wszystko czynnik ludzki i pazerstwo na władzę – dodaje.

Realizacja niepotrzebnych czy zbyt drogich projektów powoduje,

że brakuje pieniędzy na potrzebne cele. W podłódzkim Tuszynie lokalne władze zamiast inwestować w rozwój tar-

gowiska, które przynosiło gminie dochody z tytułu opłat targowych, wołały budować z rozmachem dom kultury, pływalnię i halę sportową. W rezultacie z roku na rok handlowcy i klienci przenosili się do nowocześniejszych prywatnych hal w sąsiednim

Rzgowie, aż tuszyński handel podupadł. – Jeżeli do budowy aquaparku zabierają się małe, biedne gminy albo nawet większe miasta, ale bardzo biedne, to wtedy nie będą miały tej nadwyżki operacyjnej, czyli wolnych pieniędzy na inwestowanie w coś, co może zwiększać dochody. Tym samym to nie jest droga do szybkiego rozwoju, tylko do stagnacji – wyjaśnia prezydent Frankiewicz. – Najpierw trzeba zbudować bazę ekonomiczną, później można poprawiać jakość życia – dodaje.

Właśnie tą drogą poszły swego czasu Gliwice. – Byliśmy jednym z najbiedniejszych miast ówczesnego województwa katowickiego. Postawiliśmy na to, żeby nasze skromne pieniądze efektywnie zainwestować. Krytykowany byłem jeszcze na początku tego wieku, czyli po roku 2000, za przeznaczenie ogromnych pieniędzy, jak na nasze możliwości w połowie lat 90. zeszłego wieku, czyli ponad 70 mln zł, na uzbrojenie terenów pod strefę ekonomiczną dla tych „bogatyh kapitalistów z Zachodu” – opowiada prezydent Frankiewicz. – Teraz nikt do tego nie wraca dlatego, że z samego podatku od nieruchomości tylko ze strefy mamy rocznie ponad połowę tej kwoty, którą żeśmy w całości wydali na uzbrojenie. Widać, że to bardzo dobrze zadziałało. Jesteśmy jednym z najbogatszych miast na prawach powiatu z dochodem na jednego mieszkańca blisko czołówki – podkreśla prezydent Gliwic, których zadłużenie jest wręcz symboliczne: na poziomie 14 proc. dochodów.

Nie wszędzie tak to działa. Na początku lat 90. ekipa Stefana Oleszczuka, burmistrza Kamienia Pomorskiego, rządziła bardzo oszczędnie, obniżyła podatki, spłaciła wcześniejsze długi, doprowadziła do nadwyżki budżetowej, ograniczyła zatrudnienie w urzędzie, uwłaszczyła mieszkańców i... ludziom się to nie podobało. Kolejne wybory Oleszczuk przegrał. – Dobry gospodarz to pojęcie całkowicie odmienione. Dzisiaj nie jest nim ten, kto gospodaruje oszczędnie, lecz ten, kto co chwila przecina wstęgę na zakończonej właśnie inwestycji. Takiego właśnie osobnika ludzie, którzy mają mętne pojęcie o finansach, uważają za dobrego gospodarza – komentuje Jędrzejko. Burmistrz Szaleniec cieszy się olbrzymim poparciem w Czeladzi.

KLIENTELIZM

Problem jest dość głęboki. – Istnieje ścisła symbioza między zdemoralizowa-

wanymi rządzącymi a zdemoralizowanymi wyborcami. Polacy powszechnie wybierają na kolejne kadencje polityków realizujących hulaszczę życie „na kreskę” – uważa Marcin Janowski, autor kanału „Na Argumenty” na YouTube, który pracuje nad filmem poświęconym marnotrawstwu pieniędzy podatników. – Włodarze zadłużający samorząd i wspólnotę lokalną cieszą się dużą popularnością, bo fundują gminie życie ponad stan. Nikt nie pyta, skąd wzięto pieniądze na budowę pływalni, amfiteatru czy hali widowiskowej. Duża część Polski lokalnej przeżywa obecnie „drugą epokę Gierka” i bawi się jak na „Titanicu”, pijana możliwością łatwego życia na kredyt. Świadczy to o niedojrzałości i nieodpowiedzialności ogromnej części wyborców, którzy przyzwalają na złe rządy prowadzące do finansowej katastrofy i zadłużania kolejnych pokoleń.

Jest jednak jeszcze jeden element tej układanki – wzajemne uzależnienie władzy i mieszkańców. Dlaczego społeczeństwo zbankrutowanej gminy Ostrowice pozwalało bowiem aż przez cztery kadencje na funkcjonowanie złego systemu zarządzania? Dlaczego zmieniająca się co cztery lata rada zawsze głosowała za pomysłami i działaniami wójta? – Wójt potrafił omamić i okrećić tych ludzi. Zawsze to wiązało się z pieniędzmi – mówi Bronisław Sech, emerytowany działacz społeczny z Ostrowic, były nauczyciel akademicki Uniwersytetu Łódzkiego. – Istnieje mnóstwo narzędzi finansowych w gestii wójta, za pomocą których może on manipulować tymi ludźmi, poczynając od podatków. Poprzez umorzenia części gruntów gminy można sprzedać określonym osobom – dodaje.

Zadziałał system budowania klientelizmu i betonowania sceny politycznej. – Jeżeli są dwa tysiące osób, bo 500 osób wyjechało za granicę, to wójt wygrywał [wybory – przyp. red.], kiedy na niego głosowało 560 osób. Kiedy policzy się liczbę osób zatrudnionych w gminie Ostrowice i ich rodziny oraz rolników, którzy czerpali określone korzyści z łaskawości wójta, jest to właśnie te 560 osób – wylicza Sech.

Podobnie problem ten wygląda w wielu innych polskich miejscowościach. Co więcej, wydaje się, że krajowy szczebel polityki nie jest wolny od tych negatywnych zjawisk.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Nie wystarczy nie kraść

Wystarczy nie kraść! – to hasło od niemal trzech lat daje PiS dużą przewagę nad politycznymi konkurentami. Hasło nośne, głównie przez to, że dość powszechnie odczytywane w taki oto – rozszerzający – sposób: wystarczy nie kraść, a na wszystko – i dla wszystkich – wystarczy! To znaczy na wszystkie prezenty socjalne – „500+”, „300+”, „Mieszkanie+”, „Dostępność+”, wcześniejsze emerytury, „500+” dla emerytów itd.

A to nieprawda. Nie wystarczy nie kraść, by na wszystko i dla wszystkich – i do tego zawsze – starczyło. Nigdy i nigdzie tak nie było i nie będzie, nie ma więc powodu sądzić, by Polska miała być pod tym względem wyjątkiem. Nawet jeśli obecny rząd – rząd PiS – lepiej od poprzednich radzi sobie ze ściąganiem podatków, a więc zapełnianiem kasy państwa.

Czy Polska będzie miała szczęście do polityka, który znajdzie w sobie dość odwagi, by to przyznać? I to polityka nie byle jakiego, lecz naprawdę ważnego, naprawdę liczącego się – najlepiej z partii rządzącej, ale być może wystarczyłby też odpowiednio wpływowy polityk z partii opozycyjnej, kto wie? Na pewno świadomy tego wszystkiego jest obecny premier, który przecież, jeszcze jako wiceszef rządu i minister rozwoju, zauważył na jednym ze spotkań z sympatykami PiS, że – tu cytuję – „500+» jest na kredyt; zadłużyliśmy się o dodat-

kowe 20 mld zł, bo chcemy promować dietność”. Jednak premier zapewne zapamiętał także i to, jak wielka fala nieprzychylnych komentarzy z własnego obozu politycznego wylała się na niego po tamtej chwili szczerości.

Tymczasem bez takiego – ważnego, liczącego się, mającego wpływ na opinię publiczną – polityka, a najlepiej kilku polityków, którym starczy odwagi, by – nawet za cenę nadwężenia swojej popularności – bronić tej oczywistej oczywistości, daleko nie zajedziemy. Bronić oczywistej oczywistości, czyli nieprawdziwości hasła, że „wystarczy nie kraść”, rozumianego w zasygnalizowany wyżej, rozszerzający sposób – taki, że „wystarczy nie kraść, by dla wszystkich na wszystko wystarczyć”.

Bez tego szalony wyścig, którego jesteśmy świadkami – wyścig w dzieleniu pieniędzy, których Polska nie ma, pieniędzy, które są na kredyt – pieniędzy z długu, który jest zaciągany przez kolejne rządy i który będziemy musieli spłacić my sami, nasze dzieci i wnuki, musi się fatalnie skończyć. I to prędzej niż później.

Hasło „Wystarczy nie kraść” w istocie więc wyrządza Polsce ogromne – oby nie niepowetowane – szkody, tworząc z gruntu nieprawdziwe wrażenie, że od władzy można zażądać właściwie wszystkiego, a ta – jeśli tylko jest uczciwa i nie kradnie – musi to coś dostarczyć. A która władza nie chciałaby się cieszyć opinią uczciwej? ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Jak innowacyjna jest Polska?

W latach 2009–2018 Polska zajmowała kolejno następujące miejsca w Globalnym Rankingu Innowacyjności: 56., 47., 43., 44., 49., 45., 46., 39., 38., 39. Widać, że stopniowo poprawiamy swoją międzynarodową pozycję, z kilkuletnim okresem przerwy, kiedy to osłabło zainteresowanie innowacjami na rzecz projektów, których celem było wykorzystanie środków unijnych. Widać też pewną stagnację w minionych trzech latach, zatem warto porównać dane z 2018 r. z danymi z 2015 r., gdy byliśmy na 46. miejscu. W 2018 r. znacznie gorzej wypadamy pod względem „stabilności politycznej”, spadek z 20. na 38. pozycję, za to poprawiliśmy otoczenie regulacyjne i ułatwiłmy działalność biznesu.

Warto przypomnieć, że „indeks stabilności politycznej” mierzy prawdopodobieństwo, iż demokratycznie wybrany rząd zostanie obalony przez niekonstytucyjne lub siłowe działania, włączając polityczne motywowane ataki i terroryzm. Cóż, w ocenie autorów raportu, czyli m.in. wiodących światowych uczelni i Światowej Organizacji Praw Własności (WIPO), w Polsce wzrosło ryzyko, że polityczni terroryści obalą demokratycznie wybrany rząd. I chyba należy się z tym zgodzić.

W części „kapitał ludzki i badania” awansowaliśmy z 45. na 44. miejsce, w „infrastrukturze” mamy poprawę z 47. na 41. miejsce, w „rozwoju rynku innowacji” mamy postęp z 60. na 57. miejsce, w „rozwoju innowacyjnego

biznesu” dokonaliśmy skoku z 66. na 44. miejsce, w „produkcji wiedzy i technologii” awansowaliśmy z 56. na 44. miejsce, a w „kreatywnej produkcji” z 53. na 42.

Jak widać, w większości szerokokich wskaźników zajmujemy miejsce w piątej dziesiątce. Jest jednak kilka wskaźników, według których zdecydowanie odstajemy na tle innych krajów. Na przykład „łatwość zakładania firmy” lokuje nas na 92. miejscu na świecie, stopa inwestycji na 90. miejscu, jakość współpracy uczelni z biznesem na 86. miejscu, liczba filmów fabularnych na 69. miejscu, liczba stworzonych modeli organizacyjnych w obszarze ICT na 65. miejscu, wykorzystanie kredytu przez sektor prywatny na 62. miejscu, mobilność w szkolnictwie wyższym (przejeżdżający) na 59. miejscu, liczba nowych firm na 58. miejscu.

Oczywiście rolą rządu nie jest maksymalizacja pozycji kraju w rankingach. Niemniej te rankingi pełnią pożyteczną funkcję, wskazując obszary, w których Polska radzi sobie lepiej lub gorzej niż inne kraje. Widać, że wiele słabości polskiej innowacyjności ma związek z problemami szkolnictwa wyższego, trzeba też poprawić niektóre regulacje i usprawnić ekosystem wspierający powstawanie start-upów. A szczególną uwagę trzeba zwrócić na rosnące ryzyko obalenia demokratycznie wybranego rządu przez grupy interesów lub terrorystów politycznych. ©©

Autor pełni funkcję chief ideator w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

STRAŻNIK PAMIĘCI

2018

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski



VI EDYCJA NIEZWYKŁEJ NAGRODY

Tytuł STRAŻNIK PAMIĘCI przyznawany jest corocznie
w trzech kategoriach:

TWÓRCA – osoba lub osoby fizyczne, autorzy dzieła,
które przyczynia się do odnowienia pamięci

INSTYTUCJA – muzea, stowarzyszenia, fundacje,
organizacje, które w minionym roku podjęły nowe
inicjatywy służące krzewieniu pamięci historycznej

MECENAS – podmioty publiczne lub komercyjne, które
w szczególny sposób materialnie wspierają dbałość
o pamięć historyczną

PROJEKT REALIZOWANY W RAMACH OBCHODÓW STULECIA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Zgłoszenia można dokonać do 30.09.2018 r. drogą mailową: straznikpamieci@dorzeczy.pl
lub pocztą: Redakcja "Do Rzeczy", Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, z dop. Strażnik Pamięci

PATRONAT HONOROWY



niepodległa | POLSKA
KRAJOWA AGENCJA
WSPÓŁPRACY



WSPÓŁORGANIZATOR



PARTNER STRATEGICZNY



SPONSOR



PARTNERZY



NASZ TEST: MERCEDES-BENZ S 560 COUPÉ

Bora-Bora, Mauritius czy Seszele łączą śnieżnobiały piasek, zielone palmy, turkusowa woda oraz to, że do każdej z tych wysp najwygodniej dolecieć własnym samolotem. Mercedes klasy S to z kolei drogowy odpowiednik prywatnego odrzutowca. Podstawowe cechy: zmysłowy design, ociekające luksusem wnętrze, potężny silnik V8 oraz cena porównywalna z nowoczesnym apartamentem w centrum Warszawy.

W KABINIE

Czterooosobowe auto o długości ponad 500 cm i szerokości niemal 190 cm jest w środku wyjątkowo przestronne. Naprawdę komfortowo będzie jednak tylko tym, którzy podróżują na przednich fotelach, z tyłu miejsca nie jest już tak dużo.

W kabinie dominują skóra oraz nowoczesne gadżety: dwa potężne ekrany ciekłokrystaliczne (każdy o przekątnej 12,3 cala), gładziki do sterowania menu etc.

Pasażerowie z przodu mogą też schłodzić lub podgrzać sobie fotele (można wybrać, czy chcemy podgrzać cały fotel, czy np. tylko plecy) lub skorzystać z wielu różnych rodzajów masażu (w tym niektórych wykonywanych „na cieple”).

Specjalny system potrafi również samodzielnie dobrać rodzaj masażu, a także zapach, muzykę, oświetlenie i temperaturę, tak aby zapewnić pasażerom jak najlepsze samopoczucie.

Sposób spასowania poszczególnych elementów oraz ich jakość są na najwyższym poziomie. Pojemność bagażnika wynosi 400 l.

JAZDA

Czterolitrowy, podwójnie doładowany silnik V8 o mocy 469 KM i maksymalnym momencie obrotowym wynoszącym aż 700 Nm rozpędza ważące ponad 2 t auto od zera do pierwszej setki w zaledwie 4,5 s. Jeżeli na autostradzie nagle musimy

ostro przyspieszyć, to wystarczy odpowiednio mocno nacisnąć pedał gazu, aby auto znów wystrzeliło niczym z procy.

Prędkość maksymalna została elektronicznie ograniczona do 250 km/godz.

Dynamicznemu przyspieszaniu w trybie sportowym towarzyszą piękne pomruki dochodzące spod maski, a także głośne wystrzały z rury wydechowej. Na autostradzie takie odgłosy dyskretnie przypominają innym uczestnikom ruchu, że w Polsce obowiązuje ruch prawostronny, i skłania ich do ustąpienia nam miejsca na lewym pasie lepiej niż syrena policyjnego auta.

Król uwodzących drogowych bestii jest jednocześnie bardzo dobrze wyciszony.

Jak przystało na coupé, które ma być pokazem możliwości niemieckiej firmy, auto świetnie się prowadzi, co jest zasługą zarówno napędu na obie osie (4Matic), jak i bardzo sprawnie przełączającej biegi dziewięciostopniowej automatycznej przekładni.

Hydrauliczne zawieszenie umożliwia komfortową jazdę po nie najlepszych drogach, a także wybór trybu sportowego, w którym wygodny mercedes szybko się usztywnia i błyskawicznie zamienia w auto sportowe.

Przy spokojnej jeździe samochód w cyklu mieszanym spala ok. 10 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

Auto wyposażone jest w bogaty pakiet rozwiązań mających obniżyć ryzyko wypadku. System komputerowy rozpoznaje więc znaki ograniczenia prędkości, zakazy wjazdu czy wyprzedzania. Elektroniczny asystent zapobiega również najechaniu na poprzedzający pojazd (w razie potrzeby mercedes potrafi autonomicznie zahamować), a także rozpoznaje pieszych i wyraźnie



zaznacza ich na wyświetlanym na monitorze obrazie drogi. System pre-safe w przypadku wykrycia krytycznego hamowania szybko przestawia fotel pasażera w miejsce, które sprawi, że wypadek będzie miał mniej dotkliwe skutki, automatycznie zamyka szyby, a także pompuje poduszki pneumatyczne w bokach foteli, aby lepiej ustabilizować pozycję pasażera.

CENA

Podstawowa wersja modelu S 560 Coupé to wydatek 607 tys. zł. Kto by jednak kupował takiego gołasa?! Niestety, dopłacić trzeba nawet za pakiet KeylessGo, czyli uruchamianie auta za pomocą przycisku Start-Stop (to akurat trochę wstyd dla Mercedesa, bo tego typu udogodnienia ma już wiele nowych aut budżetowych). Za pakiet wspomagający bezpieczeństwo jazdy trzeba dopłacić 13 tys. zł. Pakiet zwiększający ekskluzywność wnętrza (czytaj: w kabinie jest jeszcze więcej skóry i drewnianych elementów) to koszt 32 tys. zł. Do tego konieczne panoramiczny dach za 22,3 tys. zł. Fajnie jest też mieć wyświetlacz Head-Up, klimatyzowane przednie siedzenia oraz system ogrzewania karku – dopłacamy więc kolejne 46 tys. zł. A po dorzuceniu niemal 16 tys. zł można zamówić reflektory LED z kryształami Swarovskiego. W końcu kto bogatemu zabroni?

KONKURENCI

Aston Martin DB11 Coupé, Bentley Continental GT W12 Coupé, BMW M850i Coupé, Maserati Porsche Panamera Turbo, Rolls-Royce Wraith Coupé ©©

Jacek Przybylski



Ruszaj przed siebie z Rentis.

Dokąd tylko zechcesz.



+48 720 200 500

www.rentis.pl

info@rentis.pl

OGÓLNOPOLSKA WYPOŻYCZALNIA SAMOCHODÓW

📍 **BIAŁYSTOK** +48 519 535 331 📍 **BYDGOSZCZ** +48 519 535 300 📍 **GDAŃSK** +48 519 535 311 📍 **GORZÓW WLKP** +48 519 535 327
📍 **KATOWICE** +48 519 535 301 📍 **KIELCE** +48 519 535 304 📍 **KRAKÓW** +48 519 535 305 📍 **LUBLIN** +48 519 535 318
📍 **ŁÓDŹ** +48 519 535 308 📍 **OLSZTYN** +48 519 535 314 📍 **OPOLE** +48 519 535 309 📍 **PŁOCK** +48 519 535 334 📍 **POZNAŃ** +48 519 535 303
📍 **RZESZÓW** +48 519 535 306 📍 **SZCZECIN** +48 519 535 310 📍 **WARSZAWA** +48 519 535 302 📍 **WROCŁAW** +48 519 535 307

TEST „DO RZECZY”: MIJIA 4K ACTION CAMERA

Atrakcyjna cena, stosunkowo duży wyświetlacz oraz możliwość nagrywania filmów w rozdzielczości 4K – to największe zalety pierwszej kamerki sportowej całkowicie stworzonej przez chińską firmę Xiaomi.

Tego typu gadżet przyda się do uwieczniania górskich wspinaczek, szybkich rajdów rowerowych, zjazdów po stromych narciarskich szlakach, a także nurkowania wśród setek kolorowych rybek. Za kamerę chińskiego producenta trzeba zaś zapłacić 550 zł, czyli co najmniej trzy razy mniej niż za jeden z najnowszych modeli GoPro.

Design kompaktowego urządzenia jest minimalistyczny. Xiaomi Mijia Action Camera 4K ma minimalnie większe wymiary od konkurencyjnych kamer sportowych: 7,15 x 4,27 x 2,95 cm. Dla porównania GoPro HERO 6 mierzy 6,2 x 3,3 x 4,4 cm. Waga (99 g) jest za to mniejsza od modeli GoPro (117 g).

Plusem testowanej kamerki jest stosunkowo duży ekran o przekątnej 2,4 cala i rozdzielczości 960 x 480 pikseli. Wyświetlacz ma jednak niską jasność maksymalną, co utrudnia korzystanie z niego w ostrym słońcu. Kamerę za pomocą



Wi-Fi można sparować ze smartfonem i sterować Mi Action za pomocą specjalnej aplikacji. Zaletą tego modelu jest też intuicyjna obsługa.

Xiaomi Mijia Action Camera 4K potrafi rejestrować filmy w rozdzielczości 4K (maks. 30 klatek na sekundę), Full HD (maks. 100 klatek na sekundę) oraz HD (maks. 200 klatek na sekundę). Dzięki sensorowi Sony IMX317 jakość obrazu nagranych w trybie Full HD jest przeważ-

nie co najmniej akceptowalna. Filmy rejestrowane w jasnym naturalnym świetle robią dobre wrażenie. Przy gorszych warunkach jakość spada jednak tak bardzo, że większość nagrań ze względu na ilość szumu trzeba wyrzucić do kosza. Bardzo słaba jest również jakość rejestrowanego dźwięku.

Nagrania w technice time lapse robią dobre wrażenie. Tryb slow motion działa jednak źle. Na pochwałę zasługuje jakość zdjęć.

Teoretycznie ważną funkcją jest też 6-osiowa elektroniczna stabilizacja, ale nie działa ona w ogóle w rozdzielczości 4K. W Full HD widać już efekty jej działania, ale szau nie ma. Inne wady? Kamera nie jest wodoodporna. Aby używać jej pod wodą lub na śniegu, trzeba więc dokupić oddzielną obudowę.

Zaletą jest bateria o pojemności 1450 mAh, co wystarcza na nagrywanie filmików mniej więcej przez dwie godziny.

Mijia Action Camera 4K jest gadżetem dla osób, które nie chcą wydawać zbyt dużo pieniędzy na kamerę sportową, ale chciałyby mieć jakąś pamiątkę z szalonych wyjazdów. Ma sporo wad, ale stosunek ceny do jakości wychodzi bardzo dobrze. ©©

Jacek Przybylski

TABLICA Z CHMURĄ

Zapominacie? W szalonym pędzie codziennego dnia, w natłoku problemów, w nawale spraw zapominacie o rocznicach, urodzinach najbliższych, ważnych spotkaniach? Ba, zapominacie nawet zażyć lecytynę na poprawę pamięci? A notatki na rozmaitych karteluskach giną w tajemniczych okolicznościach i nigdy nie ma ich tam, gdzie je zostawiście? Znam ten ból. Pomocna może się okazać Think Board X. To naklejana, cieniutka niczym folia samoprzylepna tablica wielkości kalendarza ściennego, którą można przywiesić w pokoju czy gabinecie. W czym tkwi jej sekret? W dostosowanej do niej specjalnej aplikacji – pozwalającej na szybkie i proste zeskanowanie notatek z tablicy do smartfona, tabletu czy innego urządzenia (dane przechowywane są w chmurze). Aplikacja pozwala na edytowanie notatek, wykresów – po ich zaktualizowaniu (oczywiście zmieniają się wyłącznie w urządzeniu, nie na tablicy), czyli jeśli imieniny Ziuty

zostaną przeniesione o dwie godziny, wówczas będzie można to szybko edytować i ustawić powiadomienie. Twórcy Think Board X koła nie wynaleźli – tablica nie jest żadnym cudem techniki, smartfonem można dziś zeskanować każdą notatkę i wrzucić ją do chmury, plusem jest jednak aplikacja pozwalająca na obrabianie i edytowanie takich zeskanowanych z tablicy notatek. I wygląda na to, że pod pretekstem „wyjątkowego gadżetu” to właśnie ją próbują sprzedawać twórcy Think Board X. Skutecznie, bo pulę środków, których potrzebowali, by

uruchomić produkcję, dzięki zainteresowaniu nabywców na Kickstarterze przekroczyli prawie czterokrotnie. Tablica w dużym rozmiarze wraz z aplikacją to koszt ok. 150 zł, w mniejszym – ok. 50 zł. Dostawa w listopadzie.

JESZCZE JEDNĄ KAWĘ POPROSZĘ...

Wielu znajomych uważa jednak, że lepiej niż notatki na pamięć wpływają filiżanki kawy. Kolejne filiżanki, a później kolejne. Moda na dobrą kawę nie słabnie, zwłaszcza po wprowadzeniu na rynek ekspresów pozwalających na sporządzenie jej również na zimno – w wersji – cold brew coffee. Dla tych, którzy nie lubią ekspresów kapsułkowych, preferują za to delektowanie się zapachem świeżo zmielonych ziaren kawy, a później świeżym aromatem napoju, przydatnym urządzeniem może być FrankOne – ekspres do kawy z technologią ekstrakcji próżniowej. Zastosowany w nim mechanizm Vacuum Extraction Technology wykorzystuje podciśnienie, aby przepuścić wodę przez kubeczek zmielonej kawy, przy czym różne rozmiary młynków dają możliwość przygotowania szerokiej gamy napoju: od tradycyjnej gorącej kawy przez latte do zimnego napoju. Zamawiać można na Kickstarterze, cena to ok. 380 zł. ©©



Wojciech Wybranowski





100 %

**polski
produkt**

JUŻ NIEBAWEM RUSZA
**III EDYCJA
KONKURSU**

KTÓRY WYWOŁAŁ OGÓLNOPOLSKĄ, POWSZECHNĄ MODĘ
NA WSZYSTKO CO JEST W 100% POLSKIE!

**NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA,
KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY**

PATRONAT HONOROWY



PARTNERZY



PARTNER MERYTORYCZNY



Z ks. prof. Stanisławem Dziekońskim,
rektorem Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Chcemy kształcić lekarzy z misją



KATARZYNA PINKOSZ: UKSW do tej pory kształcił głównie w naukach humanistycznych i społecznych. Nie ma tradycji prowadzenia wydziału lekarskiego. Czym medycyna na UKSW będzie się wyróżniać od tej na innych uczelniach?

KS. PROF. STANISŁAW DZIEKOŃSKI: Wieloma aspektami. Chcę jednak podkreślić to, co nas łączy z wydziałami medycznymi na innych uczelniach. Otóż zachowujemy wszystkie przepisy i spełniamy wszystkie wymagania adresowane do kierunku lekarskiego oraz pielęgnarskiego. Wy różniac będzie nas na pewno program studiów – w tzw. godzinach fakultatywnych chcemy przekazywać studentom doświadczenia wypracowane na kierunkach humanistycznych i społecznych UKSW. Chcemy kształcić lekarzy z misją. Wychodzimy z założenia – jest ono oczywiste, jednak w praktyce ta oczywistość gdzieś została zagubiona – że zawód lekarza nie jest zwykłym zawodem. To powołanie związane ze służbą drugiemu człowiekowi.

Dzisiaj takie rozumienie zawodu lekarza jest raczej zapomniane. Wydaje się, że jest to praca jak każda inna, za którą należy się godziwe wynagrodzenie. Młodzi lekarze, co zresztą zrozumiałe, chcą dobrze zarabiać. Albo wyjeżdżają z Polski...

Oczywiście, zawód lekarza jest pracą jak każda inna w takim sensie, że wymaga trudu, kompetencji. Natomiast są takie obszary pracy lekarza, które wymagają czegoś znacznie więcej. Jeśli nauczyciel będzie uczył tylko dla pieniędzy, to uczniowie czy studenci szybko to wyczują. Podobnie lekarz. Ma on rozpoznać chorobę, pomóc choremu z niej wyjść albo ją złagodzić. Jednak chory oczekuje czegoś więcej: odpowiedniej komunikacji ze strony lekarza. Pacjent nie może być traktowany jako jednostka chorobowa, tylko jak człowiek, który potrzebuje pomocy.

Podkreśla ksiądz rektor wysoką jakość kształcenia. Z kim UKSW chce w tym zakresie współpracować?

Przygotowując się do utworzenia kierunku lekarskiego, już na etapie tworzenia programu rozpoczęliśmy szukanie silnych partnerów zagranicznych. Chcieliśmy dać możliwość naszym studentom spotkania się z najlepszą kadrą międzynarodową. To jest ważne w celu stworzenia międzynarodowego środowiska badań w obszarze medycyny. Chcemy, by nasi absolwenci z jednej strony ciągle udoskonalali swój warsztat,

a z drugiej wnosili nasze polskie rozwiązania do światowej medycyny, a także do nas wnosili to, co w niej najlepsze.

Konkretnie z jakimi ośrodkami chcecie współpracować?

Mamy już podpisaną umowę z Kliniką Gemelli w Rzymie – kliniką papieską o światowej renomie. Dzięki tej współpracy otworzyły się nam drzwi do wielu klinik zagranicznych, w tym najlepszych amerykańskich. Chcemy też współpracować z kliniką w Nawarze, niemiecką kliniką Isar-Klinik w Monachium, która specjalizuje się w badaniach na komórkach macierzystych, a w obszarze okulistyki – z Europejską Szkołą Zaawansowanych Badań Okulistycznych (ESASO) przy Szwajcarskim Uniwersytecie w Lugano. Wprowadza ona nowe techniki operacji okulistycznych. Siegamy więc po najlepsze wzorce. Wyróżnia nas to, że już na etapie tworzenia programu nawiązaliśmy współpracę międzynarodową. Chcemy umożliwić naszym studentom, przyszłym lekarzom, najpełniejszy rozwój w obszarze nauk medycznych, co przełoży się potem na jakość ich pracy.

A baza kliniczna?

Współpracujemy z Wojskowym Instytutem Medycznym w Warszawie, Szpitalem MSWiA, Instytutem Kardiologii w Aninie, Instytutem Matki i Dziecka. Wiele ośrodków zgłasza się do nas i zabiega o to, by z nami współpracować, widząc, jak podchodzimy do tworzenia nowego kierunku. Nasza baza kliniczna jest bardzo szeroka.

Uda się tak kształcić studentów medycyny, by chcieli zostać w Polsce?

Głęboko w to wierzę. Kwestia emigracji dotyczy nie tylko lekarzy, lecz także najlepszych fachowców z wielu dziedzin. Może to, co powiem, jest naiwne, jednak w tym roku upamiętniamy 100-lecie odzyskania niepodległości przez Polskę. Ważna jest kwestia formacji, przygotowania przyszłego lekarza, które nie będzie polegało tylko na tym, by wykształcić jego kompetencje medyka. Chcemy też uformować w nim człowieka, który będzie związany z Polską, a także czuł się wyróżniony, że jest kimś, kto uprawia zawód z misją. Zawód, który z jednej strony jest rzemiosłem, ale z drugiej sztuką, zawód najwyższego zaufania społecznego. Wielu polskich naukowców nie zrobiło wielkiej kariery finansowej, ale

do dziś korzystamy z ich osiągnięć. Nie chcieli wyjeżdżać, bo czuli się związani z miejscem, z ludźmi.

Zdaję sobie sprawę z tego, że wiele osób, czytając te słowa, powie, iż jestem naiwny. Uważam jednak, że to nie jest naiwność. Dzisiejszy świat jest skomercjalizowany, jednak żyją w nim ludzie, a każdy z nas chce być szczęśliwy i zrealizować się w tym, do czego został powołany.

Znam wielu lekarzy z Włoch, którzy wyjeżdżają na kilka lat na misję. Nie zarabiają tam nic, wręcz do tego dokładają. Jednak wracają szczęśliwi.

W Polsce też są lekarze, którzy wyjeżdżają na misję i tam pomagają.

Dałem przykład kraju, który jest bogatszy niż my. Wiele osób wyjeżdża na misję. Dlaczego? Mają w sercu coś więcej. Liczą się nie tylko pieniądze. Samo tworzenie wydziału medycznego przy Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego daje pewien sygnał kandydatom, że idą na studia, gdzie nauka będzie na najwyższym poziomie, a w proces kształcenia będą wpisane najwyższe wartości. To bardzo ważne. Gdy przepro-

Mamy już podpisaną umowę z papieską Kliniką Gemelli w Rzymie. Dzięki tej współpracy otworzyły się nam drzwi do wielu klinik zagranicznych

wadzaliśmy sondę i pytaliśmy, dlaczego studenci wybierają UKSW jako miejsce studiowania, wiele osób podkreślało, że jest to uniwersytet, w którym ważne są wartości. Wielu pracodawców zatrudniających np. naszych prawników mówi, że to nie tylko dobrzy prawnicy, lecz także ludzie bardzo odpowiedzialnie podchodzący do pracy. Uważam, że dzieje się to dzięki pewnej formacji, dzięki temu, że studiowali w kampusach, w których są miejsca modlitwy, skupienia. Studiowali na uniwersytecie, w którym kształcimy prawników, informatyków, ale też księży. W jednej przestrzeni naukowej, społecznej, dydaktycznej spotykają się ludzie o różnym zapatrywaniu na życie, którzy jednak odkrywają znaczenie wartości, na jakich trzeba budować swoje życie, także zawodowe.

Ruszyście ze studiami medycznymi w tym roku?

W tym roku na pewno ruszamy z pielęgniarstwem – w języku polskim i angielskim.

Pojawiły się zarzuty, że pielęgniarcom wykształconym w języku angielskim łatwiej będzie od razu wyjeżdżać...

Robimy to nie dlatego, żeby wykształconym u nas pielęgniarcom łatwiej było wyjeżdżać z Polski. Uważam, że bez współpracy z Zachodem nie pójdziemy szybko do przodu, jeśli chodzi o naukę, również medycynę. Poza tym Polska staje się krajem, do którego przyjeżdża wielu obcokrajowców posługujących się językiem angielskim. Coraz częściej są problemy z zajmowaniem się pacjentem, który nie mówi po polsku. Dlatego zależało nam także na kształceniu w języku angielskim. Kolejnym powodem było to, że kształcimy też misjonarzy. Być może niektórzy nasi absolwenci studiów pielęgniarstwa będą chcieli pracować na misjach.

A jeśli chodzi o kierunek lekarski, to mam nadzieję, że uda się go otworzyć także od tego roku. Wszystko zależy od oceny Polskiej Komisji Akredytacyjnej. Jeśli otrzymamy akredytację we wrześniu, to być może rekrutację zaczęlibyśmy od października. Mam nadzieję, że pan premier, minister nauki i szkolnictwa wyższego, dałby nam ten przywilej możliwości przesunięcia startu nowego roku akademickiego. Bardzo bym chciał, żebyśmy rozpoczęli kształcenie jeszcze w tym roku. Wydział medyczny traktujemy jako wotum wdzięczności w 100-lecie niepodległości Polski dla tych, którzy walczyli o niepodległość, wspominając szczególnie dwie osoby: kard. Stefana Wyszyńskiego, który wiele robił, by Polska była Polską, oraz Jana Pawła II, który rozślawił imię Polski w świecie.

Medycyna stanie się w przyszłości „mocną nogą” UKSW?

Tak byśmy chcieli. W najbliższych dwóch-trzech latach chcemy na UKSW rozwijać wydział medyczny, który będzie wpisywał się w nową jakość medycyny. Chcemy też rozwijać szkołę IT. W tym roku powołaliśmy Centrum Cyfrowej Nauki i Technologii z wyodrębnionym modułem medycyny cyfrowej.



JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Ataman Morza Bałtyckiego

Przygotowując się w 1635 r. do wojny ze Szwedami, która miała przynieść odblokowanie ujścia Wisły i odzyskanie portów takich jak Elbląg, Tolkmicko czy Braniewo, król Władysław IV nakazał sprowadzenie na Pomorze Gdańskie oddziału Kozaków. Wykorzystując łodzie – czajki – mieli oni atakować szwedzką flotę na Bałtyku.

Dowódcą pułku liczącego 1,5 tys. mołojców został zaufany człowiek hetmana Stanisława Koniecpolskiego, Konstanty Wołk, który w 1630 r. był pisarzem wojska zaporoskiego, a cztery lata później – pisarzem ziemskim czernihowskim. Cieszył się łaskami króla, hetmana i Marcina Kalinowskiego, od którego dzierżał kilka majątków. Wołk przeprowadził Kozaków z Ukrainy do Jurborka nad granicą Prus Książęcych, wzbudzając przestrach mieszkańców Wielkiego Księstwa obawiających się rabunków. Jednak mołojcy zachowywali się powściągliwie – od Grodna piesi płynęli rzeką, a konni przemykali lasami. W Jurborku oczekiwało na nich 15 czajek – łodzi, które zostały zbudowane w Królewcu przez wysłanego tam wcześniej Zaporozca. Pozostałych 15 przysposobiono z zarekwirowanych batów – jedno-masztowych łodzi.

Licząc łącznie 30 łodzi flotylla była gotowa do walki na początku sierpnia, a czajki wyposażono w broń, proch, działka i przyrządy nawigacyjne. Ostatniego dnia tego miesiąca Wołk przeprowadził pierwszą akcję bojową – blokując zajęta przez wroga Piławę. Kozacy wypłynęli nocą, czym wywołali rankiem zdumienie Szwedów, którzy najpierw otworzyli do nich ogień z dział, a kiedy nie skutkowało: „Przez posłów pytali, co by za ludzie byli, za czym mandatem i po co przyszli? Odpowiedzieli, że są Kozacy Zaporoscy, przyszli na wezwanie królewskie i jego



rozkazu czekają”. Przybysze nie tylko wzbudzili strach, lecz także kompletnie zablokowali Piławę. Wkrótce zdobyli szwedzki galeon wiozący proch, kule i prowiant dla żołnierzy, a kiedy nadeszła burza, czajki rozproszyły się, przetrwały ją bez strat, a potem zebrały się znowu w okolicy portu.

Do dalszego wykorzystania flotylli nie doszło, 12 września 1635 r. zawarto bowiem rozejm w Sztumskiej Wsi, w którym Szwedzi zgodzili się oddać bez walki porty bałtyckie i część Inflant. Kozacy musieli dodatkowo zwrócić zdobyty galeon, „jednak wyjedli to, co dało się zjeść, z przyrodzonej żarłoczności”. Ogołocili statek nie tylko z prowiantu, lecz także z całego wyposażenia, które miało jakąkolwiek wartość. Chociaż ich akcja pokazała, że czajek można skutecznie używać na Bałtyku, to Konstanty Wołk otrzymał rozkaz powrotu z ludźmi na Ukrainę. Król Władysław wynagrodził Kozaków, którzy zdobyli szwedzki statek, a łodzie razem z uzbrojeniem polecił przechować w okolicach Kowna, w specjalnie przygotowanych do tego szopach. Do ich wykorzystania w przyszłych wojnach jednak nie doszło.

Za zasługi Konstanty Wołk został nobilitowany, co jednak – jak podaje Pietro Kułakowski – nie uchroniło go przed utratą urzędu pisarza czernihowskiego, i to pomimo potwierdzenia nobilitacji na sejmie 1638 r. Nie mamy też wiele informacji, co się stało z nim później. Jak pisał Albrycht Stanisław Radziwiłł, był to „człowiek staranny, przezorny i surowy”. Kanclerz podejmował bowiem jego i całą starszyznę miodem oraz gorzałką w czasie przemarszu w okolicach Kowna. Zarówno Radziwiłł, jak i inni dygnitarze koronni nie mogli nadziwić się sprawności bojowej Kozaków. „Zaiste, podobne do cudu jest to, że w malutkim stateczku otoczonym więzankami trzciny, tak się przeciwstawiają nawałnicy morskiej, że rzadko ich fale zwyciężają. Zuchwałość zapewnia im bezpieczeństwo, więc albo przy północno-wschodnim wietrze wznoszącym spienione fale do gwiazd, gdy zdaje się, że się rozbijają, zgodnością z ruchem morza i umieszczonymi po obu stronach trzciny zaporami, bronią się przed wdarciem się wody, albo przy ciszy poruszającej morze igraszką fal, zwykli płynąć przy pomocy wiosel”.

Tak zakończył się bałtycki epizod Zaporozców. Szkoda, że nie dał powodów do ścisłego związania Kozaków z Rzeczpospolitą. Powracający na Ukrainę mołojcy trafiali w wir kolejnego buntu, który zapoczątkował Iwan Sulima, także morski rabuś i ataman, ale z Morza Czarnego. Kiedy bowiem flotylla Wołka szykowała się do boju ze Szwedami, zdobył podstępem i zniszczył budowaną nad Dnieprem twierdzę Kudak, mordując jej dowódcę Jeana de Marion i całą załogę. Wkrótce twierdza została odbudowana w celu wzięcia Kozaków w karby. Jednak w rzeczywistości wywołała ich wściekłość i przygotowała grunt pod kolejne powstania. ©

KACZKA Z JABŁKAMI ANDRZEJA ZABORSKIEGO

W kuchni najlepiej wychodzą mi mięsa, a prawdziwie popisowym daniem jest pieczona kaczka nadziewana. Jej przygotowanie jest bardzo proste, ale mimo nieskomplikowania potrawy wszyscy, którzy mieli okazję jej skosztować, twierdzili, że smakuje znakomicie. Najważniejsze, by dopiekała się powoli i abyśmy co jakiś czas podlewali ją tłuszczem, który wytapia się z kaczki. Dzięki temu mięso będzie miękkie i nie wysuszy się podczas pieczenia. Kaczkę pieczemy w temperaturze 180 st. C. Przyjmuje się, że czas pieczenia zależy od wagi ptaka, tzn. jeśli kaczka waży 1,5 kg, to pieczemy ją półtorej godziny. Niezwykle istotne jest również przełamanie smaku słodką nadzienią – jabłkiem i rodzynkiem.

Składniki:

- kaczka
- jabłko
- rodzynki
- masło
- sól
- pieprz
- majeranek

Przygotowanie:

Oczyszczoną kaczkę nacieramy na zewnątrz i od środka solą, pieprzem oraz majerankiem. Odstawiamy ją do lodówki na ok. 2 godz., by przeszła przyprawami. Kroimy jabłko w ósemki i nadziewamy kaczkę – warstwa po warstwie – jabłkami, rodzynkami i masłem. Gdy jest wypełniona, zszywamy kaczkę i przekładamy ją na blachę lub do naczynia żaroodpornego. Na początek pieczenia możemy położyć na wierzch trochę masła, później nie będzie ono potrzebne, bo kaczka będzie się piekła we własnym tłuszczu. Rozgrzewamy piekarnik do 180 st. C i pieczemy kaczkę ok. 1,5–2 godz., zależnie od jej wielkości. Pamiętajmy o podlewaniu mięsa tłuszczem podczas pieczenia. ©©

oprac. raw

Andrzej Zaborski
jest aktorem.

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Zjeść Włochy



JOANNA BOJAŃCZYK

Nie ma kuchni narodowej, która załadowałaby światem do tego stopnia co kuchnia włoska. Jest w niej element ludowej prostoty, nie wymaga drogich składników, jest zdrowa i odpowiada wymaganiom współczesnej diety. Może zadowolić również bardziej wymagające podniebienia, bo pozornie proste smaki, żeby się rozwinąć, wymagają finezyjnego wykończenia. A tu już wkracza haute cuisine. Włoch rozróżni smak startego gotowego „parmezanu” z supermarketu od sera z autentycznego źródła.

Na włoskiej kuchni pierwsi poznali się Amerykanie – w końcu to oni, nie Włosi, zarzucili świat pizzą. Niestety, pizza z amerykańskiej sieciówki ma tyle wspólnego z pizzą na włoskiej wsi co te dwa parmeżany.

A jednak to Amerykanie stworzyli sieć, która ma szansę poprawić opinię o ich niewyszukanych gustach kulinarnych. Jest to Eataly, sieciówka z „wyższej półki”, rodzaj gigantycznej sklepo-restauracji, gdzie można zjeść i kupić sery, makarony, mięso, ciasto, designerski ekspres do kawy. Towaru tyle, jakby ogłocono z niego całe Włochy. No i ta nazwa: Eataly. Italia do zjedzenia. Rzeczywiście.

Gdy w Nowym Jorku w roku 2010 otwarto pierwszy oddział na Madison Square, zaprowadzili mnie tam znajomi i tak jak oni



byłam pod wrażeniem. Na półtorahektarowej powierzchni znajdowały się: restauracja, kawiarnia, rzeźnik, ryby, oliwy, słodycze, piekarnia... Imponujący wybór win, roztaczająca zapachy i uroki galeria serów. Wśród tego wszystkiego wił się zachwycony, zgłodniały i spragniony tłum. Przed sklepem kolejka chętnych czekała na wypuszczenie.

W sierpniu byłam w drugim oddziale Eataly otwartym w najbardziej odwiedzanym przez turystów miejscu na Manhattanie – przy pomniku World Trade Center.

Wrażenia takie same, tłum taki sam. Wybór towarów jest chyba jeszcze większy, wszystko tu chciałoby się zjeść. Te zapachy, ci piekarze nad różnymi wypiekami, sprzedawcy ryb nad gatunkami, których się na oczy nie widziało, aromat focacii. Zjedliśmy doskonałą pizzę, obsługiwani jak to w NYC: kelner przychodzi po trzech minutach od zajęcia stolika, po pięciu przyjmuje zamówienie, po 15 jedzenie świeże i pachnące wjeżdża na stół. Ceny są jak na Nowy Jork średnie, jak na polską kieszeń już nie tak bardzo...

Eataly, sieć założona w 2003 r. w Turynie przez Oscara Farinettiego, poszła jak burza – ma filie w Bostonie, Chicago, wkrótce otwiera się w Los Angeles. No i Włochy. Gdzie może są i lepsze miejsca do jedzenia, ale zaletą Eataly (zwłaszcza dla Polaka) jest to, że można tam zjeść, gdy włoska gastronomia odpoczywa. Ja na pewno pójdę. ©©



MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Nie było zabawy w kotka i myszkę

MARCIN MAKOWSKI: Prezydent Andrzej Duda po raz pierwszy pojawił się w Białym Domu. Warto było czekać prawie trzy lata? Jak wyglądało spotkanie z Donaldem Trumpem zza kulis? Byłeś przecież na miejscu.

MATTHEW TYRMAND: To prawda, uczestniczyłem w całym wydaniu, które obserwowałem z perspektywy mediów. Dobrze się stało, że do wizyty doszło w 2018 r., czyli w setną rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości, w czym pomógł również prezydent Woodrow Wilson. Jeśli Andrzej Duda ma pretensje, że do wyjazdu nie doszło wcześniej, to

ny administracji Trumpa, kwestia baz została potraktowana naprawdę poważnie i wygląda na to, że jesteśmy na prostej drodze, aby trafiła ona z rekomendacją prezydenta do Kongresu. Na pewno na plus przemawia to, że w przeciwieństwie do większości państw NATO, które chcą, aby Ameryka dokładała do ich bezpieczeństwa, Polska przyjęła odwrotną strategię i jest gotowa partycypować w kosztach. Podobna mi się ten ton biznesowy, i podchwycił go również sam Trump. Może to da niektórym do myślenia odnośnie do autentycznego kierunku dyplomacji Białego Domu, w tym relacji z Rosją. Chyba nic bardziej nie zaburza interesów Putina niż stała baza US Army tak blisko jego „strefy wpływów”.

Powiedz mi, jak wyglądały relacje Dudy z Trumpem od strony personalnej. Widziałeś jakieś gesty, które umknęły kamerom? Czy można mówić o realnej poprawie naszych stosunków? Była „chemia”?

Obserwując cały briefing prasowy w Gabinetie Ovalnym, mogę potwierdzić, że Donald Trump czuje się swobodnie w towarzystwie polskiego prezydenta. On nie ukrywa swoich emocji, nie stara się grać kogoś, kim nie jest. Gdy do Waszyngtonu przylatuje Angela Merkel, mówi bardzo mało, zaciska usta i ręce. W tym przypadku na korzyść Dudy działają również świeże wspomnienia Trumpa z Warszawy z 2016 r., o których mówił otwarcie na spotkaniu jako o jednym z najlepszych momentów swojej prezydentury w kwestiach międzynarodowych. Takie rzeczy procentują później podczas negocjacji i rozmów w cztery oczy. Dyplomacja na wysokim szczeblu to również kwestia zbieżności charakterów i zwykłego ludzkiego zaufania.

Relacje Trumpa z Polską są silne, wiele osób z Polonii pracuje w jego otoczeniu oraz w Trump Tower. Patrząc na nie od strony dyplomatycznej, nie ma natomiast klasycznej zabawy w kotka i myszkę, którą stosuje wobec Kanady, Meksyku czy Niemiec. To pozytywne sygnały.

Nie było żadnych rozczarowań?

Zdziwiłem się nieco brakiem poruszenia tematu wizowego, ale rozumiem, że wynikało to z dobrej pracy, którą w kwestii redukcji odrzucił wniosków wizowych wykonuje polska dyplomacja. Warszawa zbliża się do progu, który uprawnia do wejścia programu Visa Waiver – dlatego być może nie było sensu marnować czasu na załatwianie sprawy, która powinna się szybko sama wyjaśnić. Priorytetem było przecież twarde bezpieczeństwo (wojsko) oraz miękkie (handel i energetyka).

Widziałeś zapewne zdjęcie opublikowane przez Biały Dom, na którym przy biurku w Gabinetie Ovalnym Donald Trump podpisuje deklarację o strategicznej współpracy, a Andrzej Duda schyla się do dokumentu na stojąco. Wpadka dyplomatyczna?

Właściwie na każdej konferencji prasowej, gdy prezydent coś podpisuje, sytuacja wygląda podobnie. On siedzi, reszta stoi. Praktycznie nigdy nie zdarza się jednak, żeby przy biurku Resolute (taka jest jego nazwa) doszło do podpisania dokumentu przez dwie osoby. Może to różnice kulturowe, ale dla mnie to jednak wyróżnienie i przejaw nieformalnej atmosfery między głowami państw. To nie było ustawienie Polski w szeregu. Jeśli opozycja nie ma niczego lepszego do atakowania Dudy po wizycie w Waszyngtonie, to znaczy, że nie mają niczego. Wpada tylko współczuć. ©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



może je kierować do autorów ustawy o IPN, która stała na drodze aż do momentu, w którym Mateusz Morawiecki nie pociągnął za sznurki i wszystkiego nie odkręcił. Zostawiając na boku personalne konflikty, rozmowy polsko-amerykańskie i wspólną konferencję Duda-Trump oceniam jako udaną. Jeśli celem numer jeden było zakomunikowanie światu, że Polska czeka na stałe bazy wojsk amerykańskich, to udało się to z nawiązką. Widziałem już wiele delegacji w Białym Domu i gdybym miał oceniać po składzie personalnym wyznaczonym do rozmów ze stro-

OKIEM JASTRZĘBIA

Scelebrycili nam polityków

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

Kiedy wszystko idzie naprawdę dobrze, wtedy, kochane dzieci, wtedy wkracza Korwin i on, i on wtedy, on wtedy MÓWI (część młodej publiki na te słowa płacze, a część lekko się tarza ze śmiechu, co kto lubi). Przyznam, że to jedna z moich ulubionych teorii spiskowych dotyczących polskiej sceny politycznej.

„Na tym polega wolność, przede wszystkim wolność słowa” – Marcin Dobski

Chociaż może powinienem napisać polityczno-celebryckiej? Powiem bowiem państwu, że niełatwo tak zawsze precyzyjnie odciąć od polityka celebrytę, a od celebryty polityka.

Weźmy na przykład Aleksandra Kwaśniewskiego – poważny polityk, a tak nam go scelebrycili... O! Już widzę, że parę osób się skrzywiło na słowo „poważny”: prezydentem był, dwie kadencje! Nie ma co dys-

kutować! Poważny! Do pana Olka jednak jeszcze wrócimy, bo warto, a teraz do Korwin-Mikkego.

Spiskowa teoria mówi, że barwnemu Panu Januszowi z Muszką zależy na niezbyt gwałtownym wzroście, na tak niegwałtownym, żeby w zasadzie nie rosnąć, tylko tak sobie być, bo w ogóle to fajnie jest być, ale robić przy byciu, o, to jest jednak kłopot. Kiedy już jakiejś jego partii (te partie zmieniają nazwy, ale niezmiennie czują odragę do podatków i na przykład demokracji) rośnie poparcie, wtedy na scenę wkracza Janusz Korwin-Mikke, coś mówi, po czym wszystkim natychmiast opada wszystko na sam dół i tam się wierci nieswojo. Poparcie dla jego partii też wtedy opada. Wypowiedzi Pana Janusza są niezwykle ciekawe, bo niektóre z nich próbują urodzić się w najczarniejszych zakamarkach naszych dusz, ale im nie pozwalamy wychynąć na światło dzienne, ponieważ jesteśmy empatią uczłowieczeni w trudnym procesie edukacji. A Pan Janusz pozwala im buszować po wolności.

Wypowiedzi Pana Janusza charakteryzuje nie do końca stosowny uśmiech odkrywcy towarzyszący słowom krążącym generalnie wokół jednego z kilku tematów. Najczęściej coś o Hitlerze i jego polityce, o niepełnosprawnych, o „homosiach”, o demokracji, oczywiście o wstrętnej Unii Europejskiej i o kobietach. Są to wypowiedzi konserwatywnego macho, który nie będzie schlebiać plebsowi ani proletariuszom, gdyż demokracją ustrojowo pogardza.

I ja tu w tym momencie chciałem o czymś na pograniczu sportu ekstremalnego i jakby komandostwa czy też MMA. Zawsze z lekkim uśmiechem i podziwem obserwuję łamańce, do których zmuszani są rzecznicy prasowi partii Korwin-Mikkego. Od niedawna partia Wolność, której liderem jest właśnie

J.K.M., ma nowego jakby rzecznika, byłego dziennikarza Marcina Dobskiego. Byłem ciekaw, jak długo będziemy musieli czekać, aż rzecznik powie, że słowa J.K.M. są jego prywatnymi słowami albo że nie to chciał powiedzieć, albo że został źle zrozumiany. Niecały tydzień.

Czekałem na to niecały tydzień, kiedy J.K.M. wrzucił do mediów społecznościowych swoje szokujące „przemyślenia” dotyczące odszkodowania dla dziewczynki gwałconej przez księdza (że teraz nastolatki będą czytać na księży z powodów ekonomicznych), a redaktor Dobski uściślił: „Wpis prezesa Janusza Korwin-Mikkego jest jego opinią na temat doniesień GW, co nie znaczy, że członkowie partii Wolność zgadzają się ze słowami, które padły. Na tym polega wolność, przede wszystkim wolność słowa”. Tak tylko napomknę, że przed tą wypowiedzią partia Wolność miała wysokie dla siebie pięcioprocentowe poparcie, gwarantujące wejście do parlamentu. I wtedy właśnie zadziałała teoria spiskowa, o której wspominałem na początku, czyli J.K.M. zaczął MÓWIĆ. Ciekawe, ciekawe, będziemy to sobie obserwować.

I tak króciutko tylko wróć do Aleksandra Kwaśniewskiego, który udzielił kilku poważnych wywiadów na temat oceny polityki bieżącej krajowej i międzynarodowej, i co? I co się do mediów z tego przekazu przebiło? Że poważnym jest politykiem? No, to się przebiło rachitycznie, natomiast z pełną mocą przebiło się, że... Aleksander Kwaśniewski nie pije już mocnych alkoholi. Setki memów wytwarzane przez lata przez wrogię byłemu prezydentowi ośrodki znowu zdradziecko zaatakowały. Najbardziej atakowały „Nigdy nie rozumiałem problemu w znalezieniu drugiej połówki” i „500 mililitrów na każde dziecko”. To bardzo krzywdzące, ale czy warto potępiania? ©



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

I ty zostaniesz antysemitą

Kilka lat temu, chyba jeszcze za pierwszego PiS, Waldemar Kuczyński oskarżył blogera o antysemityzm, bo ten zilustrował blogowy wpis poświęcony Kuczyńskiemu rzekomo antysemickim zdjęciem tegoż. „Z dużym talentem dobrane moje zdjęcie, które kiedyś na mur-beton pochwyliły i opublikował »Der Sturmer«. U nas z podobnym gustem i mam cię nadziei, że nie w podobnej intencji, umieścić na swoim blogu Pan o pseudonimie Galba. A potem inni” – pisał Kuczyński i na nic się zdały tłumaczenia blogera, że

potrzebne żadne dowody winy oskarżonego, a jeśli oskarżony próbuje się tłumaczyć – cóż, wiadomo kto się tłumaczy. Tylko winny.

Do podobnej sytuacji doszło całkiem niedawno, przy okazji wyemitowania przez TVP dość żenującego teatrzyku „Plastusie” twitterowej satyryczki Barbary Piel. Niszowa artystka produkuje amatorskie filmiki przedstawiające karykatury rozmaitych postaci z życia politycznego, skupiając się na ośmieszaniu i zohydźzaniu opozycji, która u niej zawsze jest brzydka i głupia.

Nie inaczej przedstawiony został Farmazon – osoba znana głównie po prawej stronie, bo choć jest znaczącą postacią w Komitecie Obrony Demokracji, mainstreamowe media niespecjalnie go eksponują po tym, gdy wyszły na jaw liczne kontrowersje wokół niego. „Więcej mam szacunku dla k... spod latarni niż dla ciebie. Tamta przynajmniej wie, o co chodzi, a ty jesteś sprzedajna za nic” – wykrzykiwał do dziennikarki TVP, a towarzyszącemu jej operatorowi groził „połamaniem łap”. Ten i inne wybryki Farmazona sprawiły, że antypisowskie media wolą udawać, iż go w szeregach pozaparlamentarnej opozycji nie widzą, choć na prawie każdej antyrządowej demonstracji jest

w ścisłym gronie organizatorów.

Nic dziwnego, że wymierzony w opozycję teatrzyk „Plastusie” docenił go jego własną figurką. Pech chciał, że kilkoro dziennikarzy w figurce Farmazona zobaczyło Żyda, co w zupełności wystarczyło do oskarżenia autorki o antysemityzm. Autorki, a potem każdego, kto próbował tłumaczyć, że rzekomy „stereotypowy Żyd w chałacie” to Farmazon w bojowym rynsztunku, w którym pojawia się na każdej demonstracji. I choć część dziennikarzy, którzy opacznie wzięli Farmazona za Żyda, wycofała się z oskarżania autorki o antysemityzm, afera dawno żyje własnym życiem, a kolejne osoby upierające się, że figurka nie przedstawia Żyda, dostają trudno zdzieralną etykietkę antysemitę, co byłoby nawet zabawne, gdyby nie było tak rujnujące dla publicznej debaty.

Okazuje się bowiem, że dzisiaj do zostania antysemitą wystarczy nie widzieć Żyda w Farmazonie. Wygodne dla oskarżycieli, nie do wygrania dla oskarżonych. I bardzo pouczające dla obserwatora, zwłaszcza w kontekście odpowiedzialności mediów, bo ta afera jest wyłącznie dziełem dziennikarzy, z których tylko niektórzy umieli się wycofać, gdy poznali fakty. ©©

Dzisiaj do zostania antysemitą wystarczy nie widzieć Żyda w Farmazonie

antysemickie zdjęcie, jakiego nie powstydziliby się „Der Sturmer”, pochodziło z... „Gazety Wyborczej”, a jego autorem był jej fotograf. Nie miało najmniejszego znaczenia, że Waldemar Kuczyński nie jest Żydem, że zdjęcie pochodziło z oficjalnego serwisu fotograficznego „Gazety Wyborczej” i było wtedy pierwszym, które wyskakiwało w internetowej przeglądarce, gdy się do niej wrzuciło nazwisko „Kuczyński”. Do oskarżenia o antysemityzm nie są bowiem

PODSŁUCHANE

Pragmatyzm

Piotrek, musimy wymyślić jakąś dobrą wersję na wypadek, gdyby cię pytali, dlaczego wywieszałeś na Ursynowie tęczowe flagi.

Jasne, Patryk, ale co tu wymyślać? Wszyscy wiedzą, że wywieszałem, bo byłem lewakiem. Tu się nic nie da wymyślić.

No dobra. Ale w takim razie co teraz? A jak ktoś zapyta, czy jak wygramy, to będziesz wywieszał w całym mieście?

To powiem, że nie będę.

No dobra, ale jak ci ktoś powie, że jak to nie będziesz, skoro jesteś lewakiem?

Ale ja już nie jestem lewakiem.

Piotrek, ta narracja musi być chociaż trochę spójna. No jak nie jesteś, jak jesteś? Wszyscy wiedzą. Nie jestem.

No to co niby – jesteś prawakiem? Przecież PiS-owcem nie zostałeś,

to by było bez sensu zresztą, nie po to cię wzięłem, żeby mieć w ekipie kolejnego PiS-owca.

Ja teraz jestem otwartym na różne trendy i prądy pragmatycznym politykiem miejskim. Będzie trzeba, to wywieszę tęczowe, będzie trzeba, to papieskie, w Paradyżu Równości pójdę, potem w Marszu dla Życia i Rodziny. Co tylko sobie życzysz.

Dobra. Niech będzie. To może zaczniemy od czegoś prostego: przynies mi kawę. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Słyszałam wypowiedzi i czytałam omówienia, całej nie czytałam”.

KATARZYNA LUBNAUER, przewodnicząca Nowoczesnej, krytykując deklarację Polski i USA w Radiu Plus

Wypróżnianie słów (2) — zagrańca



fol. Jerzy Gumowski

Istnieją różne rodzaje chamstwa, m. in. złe maniery (ergo: fatalna „*kinderstuba*”), zaśmianie ulic, obsrywanie ulic, drogowe „*piractwo*”, nalożowe pijactwo, modne od kilku lat „*roasty*” (czyli „*standupy*” polegające na wulgarnym prowokowaniu z estrady widzów), sztuka pseudoawangardowa (obsceniczna i bluźniercza), wreszcie kwestie językowe — wulgaryzowanie mowy, używanie „*brzydkich wyrazów*”. O czym zapomniał rokokowy poeta Stanisław Trembecki, charakteryzując wierszem „*Cztery żywioły*” siebie i swego bliźniego, człowieka:

„Człowiek z ziemi zlepiony:
w środku ogień grzeje,
przodkiem woda ucieka,
a z tyłu wiatr wieje”.

Zapomniał o żywiole przeklinania zionącym z otworu gębowego. Inna sprawa, że pędzący jak rakiet balistyczna postępowość pacyfikuje mnóstwo kolokwializmów/wulgaryzmów, włączając te uważane przed pół wiekiem za „*soczyste*” do kręgu łagodnych i wręcz potocznych (dziesięciolatki używające dziś słowa „*zajebisty*” nie traktują go jako wulgaryzmu). Kłania się werbalna/leksykalna i retoryczna/semantyczna teoria względności. Na czym bowiem polega względność? Polega ona na tym, że istnieją rzeczy, które są równocześnie bardzo piękne i bardzo głupie, jak choćby seksowne blondynki, etykieta dworska czy piosenka Gilberta Becauda „*Nathalie*” ulepiona „*de stercore*” (z gówna), bo stanowiąca hołd dla sowieckiego komunizmu. Niektóre epitety katapultowane w człowieka przez człowieka budzą większe zadowolenie niż obrzydzenie, choćby wśród zaciekrzewionych polityków (znany aktor, Franciszek Pieczka: „*— Jaki jest poziom dyskursu w naszym kraju, w Sejmie! Jak politycy ze sobą rozmawiają! Kiedyś było nie do pomyślenia, żeby używać tak brutalnych słów, jakie są teraz w użyciu*”, 2018).

Nobilizację schamieniu językowemu dało stosowanie go przez geniuszy. Józef Maria Ruzar, pisząc o „*gruboskórnych inwektywach*” w „*Boskiej komedii*” Dantego, napomyka: „*Ach, jak on umiał wyzywać wrogów! Lis, Pochanke i Olejnik powinni się od niego uczyć szczucia*” (2015). Jednak „*co wolno wojewodzie...*” — paszkodzenie języka „*potoczne*”, zwłaszcza

ulicznego/publicznego stosowanego przez masę, zawsze uchodziło za godny ubolewania symptom zepsucia obyczajów. Genialny amerykański pisarz Mark Twain narzekał: „*Charakterystyczną cechą Amerykanów stanowi grubiaństwo. Jesteśmy narodem ordynusów. Pod tym względem przewyższamy inne narody, zarówno pierwotne, jak i cywilizowane. Owszem, mamy też plusy, jak chociażby zmysł wynalazczości, ale tym mogą się pochwalić również inne społeczeństwa, więc jedynie gdy idzie o brak uprzejmości, o nieokresanie i o brutalność, pozostajemy, wobec braku aktualnych informacji z piekła, bez konkurencji, notując mistrzostwo*” (1895). W następnych dekadach niewiele się zmieniło, czego dowodem były bardzo popularne u Amerykanów szyderstwa z Polaków („*polish jokes*”), pełne obrażające nasz naród skatologii, czy też film Burt Reynoldsa „*The End*” (1978), propagujący tezę, że polski hymn narodowy wykonuje się odbytnicą, pierdząc.

Zeszlotygodniowy felieton poświęciłem wypróżnianiu (głównie politycznemu) tzw. „*brzydkich słów*” nad Wisłą, niniejszy mówi o cudzoziemcach. Cytowany wyżej Mark Twain, chociaż bez pardonu krytykował językową gruboskórność, sam się nie patyczkował gdy walczył politycznie. O senatorze

Bluzg się bluzgiem odciska

Clarku z Montany pisał: „*Kreatura ta to obrzydliwe i chyba najbardziej zdemoralizowane stworzenie w całym naszym kraju. Jego nikczemność dawno już powinna być zaprowadzić go do celi, a jego ordynarna głupota i nieokresane prostactwo winno budzić powszechny wstręt*” (1907). Dziś tego rodzaju obelgi nie tylko nie budzą wstrętu, lecz i zdumienia, nawet jeśli są ciskane w salach parlamentarnych:

Parlamentarny ranking wyzwick przyznał globalne pierwsze miejsce epitetowi „*świnia!*” (drugie miejsce: „*idiota!*”), co zdezaktualizowało (przynajmniej parlamentar nie) sławną sentencję generała Omara Bradleya („*Gdy ktoś ci powie, że jesteś świnia, nie przejmuj się. Gdy powie ci to pięciu ludzi — czas wyjść z chlewa*”), bo w salach parlamentarnych wykrzykiwać tak może kilkudziesięciu posłów, a lżony nie wychodzi z chlewa, tylko ripostuje pełen gniewu. Wśród ripost królują: na Zachodzie zwrot „*fuck you!*” (słowo „*fuck*” najbardziej mi się podobało, gdy za Jaruzelskiego gość z Zachodu wszedł do polskiego sklepu i jęknął: „*— Fuck! Dlaczego pochowali towaru?!*”), na Wschodzie zaś „*job twoju mat!*”. Na Wschodzie jeszcze nie wlepią się mandatów przeklinających parlamentarzystom, lecz żurnalistom już od paru lat: A. D. 2013 uchwalono w Rosji prawo, zgodnie z któ-

rym za wyzwicka oraz wulgaryzmy dziennikarze i redakcje płacą grzywnę.

Jeśli ktoś spośród Państwa myśli, że mianowanie epitetów to najbardziej karygodne zachowanie parlamentarne — robi błąd. Te słowne wypróżnienia są dopiero na trzecim miejscu w rankingu. Na drugim są rękoczyn, bójki parlamentarzystów, które tak często pokazuje telewizja obrazkami z Ukrainy, Tajwanu czy Korei Południowej. Na pierwszym zaś „*usypiające gadulstwo*”, o którym nie raz pisywali „*ludzie pióra*” światowi (Oscar Wilde: „*Jak wszyscy, którzy próbują wyczerpać temat — wyczerpał swoich słuchaczy*”) tudzież rodzimi, exemplum Józef Mayor (pseudonim Mariana Józefowicza):

„Paw, udowadniając swą rację
wpadł w deklamację
i w ton tak dyktatorski,
że głupie świnki, gąski
i rozmaite bydelko zwolane
na wiec, strókane
stoi przy płocie
w kłopotcie...”.

Parlamentarzystom, politykom, dyplomatom dzisiejszych „*krajów cywilizowanych*” (choćby zachodnioeuropejskich) żadnego kłopotu nie sprawia strzelanie „*gównem słownym*” do przeciwników. Dla przykładu weźmy trzy duże państwa Starego Kontynentu: Niemcy, Włochy i Francję. W Niemczech wydano „*Księgę przekleństw parlamentarnych*”, której autor, Günter Pursch, zebrał wypróżnieniowe perełki deputowanych Bundestagu (czołówkę stanowią następujące określenia przeciwników: „*śmierdziele*”, „*kukły*”, „*dupowłazy*”, „*cymbały*”, „*pajace*”, „*gnofe*”, „*łgarze*”, „*onaniści*”, „*alfonsy*”, „*kurwy polityczne*” i „*kupa nihilistycznego motłochu*”). Podczas jednej tylko kadencji parlamentarnej wyrzucanych jest z sali za takie słownictwo średnio 20 posłów, natomiast ponad 150 karanych jest upomnieniem. Deputowani francuscy bluzgają identycznie (prezydent Nicolas Sarkozy dawał przeciwnikom miano „*cepów*”), a tamtejsza prasa nie oszczędza żadnego fotela (lewicowy dziennik „*Libération*” zwał prezydenta Valéry’ego Giscarda d’Estainga „*szczurem rynsztokowym*”, „*gównojadem*” i „*kurzą dupą*”). We Włoszech premier Silvio Berlusconi wyzywał oponentów od „*kapo*”, „*dziwek*”, „*pedałów*” i „*chóru fiutów*”.

Władimir Putin jest subtelniejszy. Swego czasu warknął o prezydencie Turcji, Recepie Erdoğanie, starym (XIX-wiecznym, pono z ust cara Aleksandra III) zgryźnięciem: „*— Czo to snowa zattiewajet etot obier-skot, no czo imiennie niezwiestno!*” (Coś znowu zamyśla to ober-bydlę, jednak co konkretnie — nie wiadomo). Ale później panowie dogadali się i pobratali, jak to w „*Realpolitik*”, zwanej niegdyś „*polityką stosowaną*”. ©©

Waldemar Łysiak



Twoje bezpieczeństwo to teraz Santander Bank Polska

**Bank Zachodni WBK
to teraz Santander Bank Polska**

 **Santander**
bank jaki chcesz

Bank Zachodni WBK S.A. zmienił nazwę na Santander Bank Polska S.A. Santander Bank Polska S.A. z siedzibą w Warszawie, przy al. Jana Pawła II 17, 00-854 Warszawa, zarejestrowana w Sądzie Rejonowym dla m.st. Warszawy w Warszawie, XII Wydział Gospodarczy Krajowego Rejestru Sądowego pod nr. KRS 0000008723, utworzona na podstawie Rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 11 kwietnia 1988 r. w sprawie utworzenia Banku Zachodniego we Wrocławiu (Dz. U. z 1988 r. Nr 21, poz. 142), NIP 896-000-56-73. Wysokość kapitału zakładowego 993 334 810 zł. Wysokość kapitału wpłaconego 993 334 810 zł.



1 9999



santander.pl

Koszt połączenia zgodny z taryfą danego operatora.